www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 13 (899)
27.03-2.04.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Wacława Myśliwska
Pierwsza czytelniczka męża

Dr Jarosław Flis
PiS będzie miało kłopoty

Jak przeżyć Zalewską i nie zwariować

Poradnik dla rodziców i nauczycieli

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl

Akademia Humanistyczna
im. Aleksandra Gieysztora

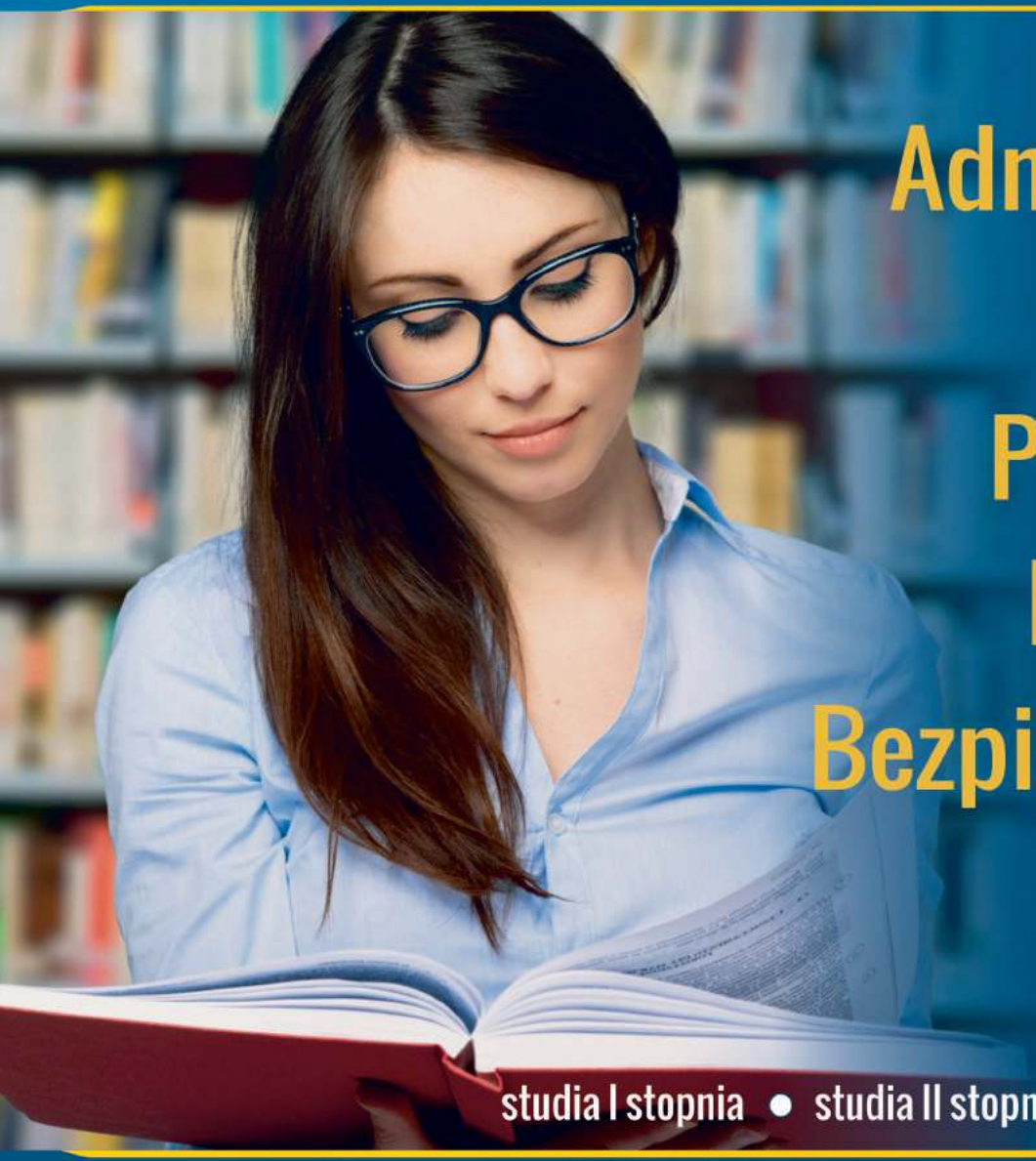

Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo Narodowe

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

seminaria doktorskie w dyscyplinie historii i nauk o polityce

INFORMACJE I ZAPISY

Biuro Rektora
ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk
tel. 23 692 98 13 do 16, e-mail: rektorat@ah.edu.pl

www.ah.edu.pl

eprasa.pl b7ef0e37e9

CYTATY

KS. STANISŁAW WALCZAK, MISJONARZ
Silna grupa polskich biskupów i wielka rzesza duchownych popiera kłamstwa na temat katastrofy smoleńskiej.
Facebook

STANISŁAW TYM, SATYRYK, AKTOR
Finansowe i ideologiczne wspieranie Kościoła nie zna dzisiaj granic wstydu.
„Polityka”

JOANNA SZCZEPKOWSKA, AKTORKA
Największym błędem KOD jest dopuszczanie do mikrofonu polityków o zgranych twarzach.
„Rzeczpospolita Plus Minus”

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI, SEKSUOLOG, PEDAGOG
10% Polaków żyje w równoległych związkach.
„Polska The Times”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Sobiepanki pod drabinką

Z naszym członkostwem w Unii Europejskiej jest jak z małżeństwem. Nie da się w nim być tylko w dobre dni, a na złe wybierać rozwód albo separację. Czyli dopóki można, posługując się sławnym powiedzeniem premiera Pawlaka, „wyciskać brukselkę”, to jesteśmy zadowoleni z własnego sprytu w ogrywaniu eurokratów. Dobrze jest też, gdy ogrywani przymykają oko na to, jak wydajemy środki unijne. I gdy studenci wyjeżdżają za darmo w ramach Erasmusa. Gdy jednak ta sama Unia nie tylko mówi o wspólnych wartościach, ale także ocenia ich realizację – mamy kampanię pod hasłem obrony naszej suwerenności. Rzekomo deptanej przez najsilniejsze państwa Wspólnoty, Niemcy i od pewnego czasu Francję. Z logiką nie ma to wiele wspólnego. Branie środków finansowych z Unii jest aktem suwerennym, a trzymanie się zasad państwa prawa prowadzi do poddaństwa.

Machanie flagą narodową i rzekoma obrona zagrożonej suwerenności zawsze pomogą przyciągnąć jakąś grupę wyborców. Na szczęście nie można zbyt długo tak rządzić krajem, którego większość obywateli ma bardzo odmienną od pisowskiej koncepcję na własne życie w Europie.

Choć dopóki dla wielu Polaków Unia to będą „oni”, a nie „my”, próby wywrócenia stolika wspólnotowego mogą kiedyś się skończyć sukcesem. Jeśli nie populistów, którzy na wszystko mają proste recepty, to autokratów, jawnie kontestujących wartości unijne. Autokraci rozwiązanie problemów widzą w odrzuceniu reguł liberalnego i demokratycznego państwa prawa na rzecz silnej władzy. Wiara w nieomylnego wodza jest tak stara jak gatunek ludzki. Ciągle zresztą się odradza. W Polsce przybrała teraz dość karykaturalną formę człowieka na drabince. Ale niech ta forma nikogo nie zmyli. Pełna władza w rękach wodza grozi wywrotką przede wszystkim tym, którzy biernie obserwują jego kolejne wybryki. I nie reagują na przekraczanie kolejnych granic. Nie może być neutralności w takich momentach jak teraz w Polsce. Gdy rujnuje się podwaliny naszego miejsca w Europie. Brak reakcji i stanie z boku tego, co się dzieje z polityką zagraniczną, jest wspieraniem żałosnej działalności władz.

Unia jest oparta na kulturze kompromisu. Nikt nie może mieć wszystkiego. Ale też nikt nie może zostać z niczym. Niestety, dla ekipy „dobrej zmiany” kompromis jest z założenia rozwiązaniem złym. Mają swój pomysł na uprawianie polityki. Wierzą w siłę argumentu *liberum veto*. Są jak mamuty. Minęło 300 lat od nieszczęść, jakie spotkały Polskę szarpaną przez tabuny sobiepanków wykrzykujących: *liberum veto*! I znowu pojawili się na scenie. Teraz jako dwór nowego wodza.

BĄKOWSKI

eprasa.pl b7ef0e37e9

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

8 **Jak przeżyć Zalewską i nie zwariować**
Reforma edukacji – konflikt i chaos

10 **Lekcja przestawiania wajchy**
– rozmowa z dr. hab. Piotrem Mikiewiczem

KRAJ

14 **Falowanie i spadanie**
– rozmowa z dr. Jarosławem Flisem

17 **Nie jesteśmy robotami**
Związkowcy z Inicjatywy Pracowniczej

20 **Ptaki ciernistych krzewów**
– rozmowa z Anną Machalicą-Pułtorak

ZAGRANICA

26 **Europejczyk z karabinem na ramieniu**
Organizacje paramilitarne przeciw muzułmanom

28 **Czynnik nieobliczalny**
Korespondencja z Berlina

52 **Kobiety są ofiarami miejsca urodzenia**
Wspomnienia fotoreporterki wojennej

OPINIE

31 **Bogdan Galwas**
Ludzie i granice

POLEMIKA

33 **PKWN rodził się w Londynie**
Rozmowy z Mikołajczykiem

KULTURA

36 **Chciałbym posklejać pęknięty stół**
– rozmowa z Wawrzyńcem Kostrzewskim

40 **Artysta zniknął, smutne miasteczko zostało**
Rodzinny portret Wojciecha Młynarskiego

46 **Qulturalia**

48 **Od lat układam jeden erotyk**
– rozmowa z Wacławą Myśliwską

66 **Krzysztof Grzondziel: Auto-lustracja**

ZDROWIE

56 **Zawał, szpital… i czarna dziura**
Problemy opieki kardiologicznej

KSIĄŻKI

58 **Wiosenny detoks**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Sobiepanki pod drabinką

25 **Tomasz Jastrun**
Wentylacja mózgu

35 **Edward Mikołajczyk**
Fejki do szkoły

45 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Całkowite zaćmienie

20 KRAJ

PTAKI CIERNISTYCH KRZEWÓW
– rozmowa z Anną Machalicą-Pułtorak

28 ZAGRANICA

CZYNNIK NIEOBLICZALNY
Korespondencja z Berlina

36 KULTURA

CHCIAŁBYM POSKLEJAĆ PĘKNIĘTY STÓŁ
– rozmowa z Wawrzyńcem Kostrzewskim

Projekt: Agnieszka Szeszko
Fot. Michał Kość/Agencja Wschód/Reporter/East News

eprasa.pl b7ef0e37e9

FAULE

Szanujcie listonoszy

Listonosze mają dość. I nudno się dziwić. Zarobki tragicznie niskie, a roboty coraz więcej. 10 lat temu InPost Rafała Brzoski pracowników zatrudniał na umiejętnościach, płacił im grosze i wygrywał przetargi z Pocztą Polską. Ku radości rządu Tuska, dla którego agenta firmy państwowej była dowodem wyższości wolnego rynku. Najchętniej by zrosztą firmy państwowe sprzedali albo zaorali. Na szczęście PO wykopał wyborcy. Tyle ze wcześniej Poczta Polska zwolniła 5 tys. listonoszy i zatrudniła im place. Gdy oszukańczy InPost upadł, listonosze dostali dodatkową robotę. Ale nie kasę. Choć zarząd ma na film „Smoleńsk" i „wyklętych".

Mamy do Poczty Polskiej wiele pretensji? Prenumerata to horror i kompletny bałagan. Ale listonoszy szanujemy. I popieramy.

CIĘŻKA TORBA LISTONOSZA

Pracowałem krótko jako listonosz. Najpierw w InPoście, potem w Poczcie Polskiej. Pierwsza firma pod koniec nie płaciła kilometrówek, a wcześniej mocno je zaniżała. Druga, owszem, płaci, ale pracuje się za trzy osoby, a wymagania są bardzo wygórowane. Listy to zaledwie dodatek do innych obowiązków, jak sprzedaż znaczków, ubezpieczeń, roznoszenie ulotek i gazet itp. I nikt z rządzących tego nie widzi, bo po co?

Piotr Czekalski

ŚWIATŁA NIE GAŚCIE!

ŚWIATŁA NIE GAŚCIE!

Stanowczo nie zgadzam się z opinią dr Materskiej-Sosnowskiej, że SLD nie ma potencjału ani perspektyw. SLD wciąż jest największą organizacją na lewicy i mimo nieobecności w parlamencie ma struktury we wszystkich powiatach. Ponadto niemal wszystkie tegoroczne sondaże pokazują, że SLD wróci do Sejmu. W partii jest wielu młodych ludzi, którzy na co dzień wykonują świetną pracę, m.in. w samorządach.

Artur Jaskulski

*

Pani doktor zapomniała, że SLD jest obecny w samorządach, gdzie realizuje socjaldemokratyczną politykę. To nie jest tak, że partii nie ma w Sejmie, więc nie istnieje. Wielkim plusem jest obecność z ludźmi w powiatach i miastach, a niekoniecznie w programie „Kawa na ławę". Do tego jeszcze SLD ma bardzo mocną pozycję w Unii Europejskiej, gdzie ostatnio wiceprzewodniczący partii Bogusław Liberadzki został wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Jestem spokojny o przyszłość, po rządach PiS potrzebna będzie sensowna, ale i merytoryczna alternatywa. SLD właśnie taki jest.

Damian Syjczak

*

Ani Razem, ani Barbara Nowacka nie szukają dla siebie elektoratu w PiS czy PO, bo nie mają na to żadnego pomysłu. Ale jak się wyrwie 1-2% wyborców SLD, to być może dostanie się dotacje z budżetu i jakoś przeżyje kolejne cztery lata... Tak wygląda sytuacja na lewicy. Jedyna partia, która próbuje zmienić układ polityczny i nie walczy z nikim po lewej stronie, to SLD. Nigdy z ust polityków tego ugrupowania nie słyszałem złego słowa ani o Razem, ani o Nowackiej, a w drugą stronę nagonka trwa cały czas. A w końcu może się okazać, że ani Nowacka, ani Razem, ani być może SLD nie znajdą się w Sejmie, bo dla liderów ważniejsze będzie, kto komu na lewicy wyciągnie więcej elektoratu.

Artur Pejas

ZA TYDZIEŃ

PROF. ANDRZEJ SZAHAJ, filozof polityki
Kłamstwo i oszustwo są jak rak

JOANNA KOSSAK, pisarka
Czego człowiek może nauczyć się od zwierząt

ADAM BIELECKI, HIMALAISTA
Ośmiotysięczniki nie są sensem życia

POTOMKOWIE MAJÓW
Życie na łasce turystów

ZDJĘCIE TYGODNIA

Jan, Paulina i Agata Młynarscy żegnają ojca – pogrzeb Wojciecha Młynarskiego w Alei Zasłużonych na Starych Powązkach, 24 marca, Warszawa.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b7ef0e37e9

Sąd Apelacyjny w Warszawie wydał bezprecedensowy wyrok w sprawie windykacji długu **Szpitala Dzieciątka Jezus** przez handlującą długami firmę Magellan, nakazując zwrócić szpitalowi 320 tys. zł. Zdaniem sądu Magellan nie miał podstaw prawnych, by windykować długi. W podobnej sytuacji są setki szpitali, które zapłaciły windykatorom ponad 1 mld zł.

Film „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego otrzymał dziewięć statuetek Polskiej Akademii Filmowej, w tym za film roku i nagrodę publiczności.

Płk Agata Mazur jest pierwszą kobietą powołaną na stanowisko wiceszefa Służby Wywiadu Wojskowego.

Aleksandra Płusa jest **pierwszą kobietą wśród prawie 1,2 tys. maszynistów** zatrudnionych przez PKP Intercity. Zdobyła uprawnienia do prowadzenia zarówno nowoczesnych pociągów Pesa DART, jak i oczywiście tradycyjnych.

Elektrownia Połaniec o mocy 1,8 GW, sprzedana kiedyś francuskiej firmie Engie, została wykupiona przez państwową spółkę Enea za 1,26 mld zł.

Anna Seniuk otrzymała od polskiej sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Teatralnych **Nagrodę im. Ireny Solskiej** za osiągnięcia aktorskie, ze szczególnym uwzględnieniem kreacji stworzonych w Teatrze Narodowym.

56,5% Polaków źle ocenia działalność **prezydenta Dudy**, a 39,7% dobrze. Jeszcze gorsze są oceny **premier Szydło**, którą źle ocenia 62,3%, a dobrze 33,7% (sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej").

Zdaniem Państwowej Inspekcji Pracy na 12,5 mln osób zatrudnionych w 2015 r. aż 600 tys. pracowało na czarno. Na nielegalnym zatrudnieniu budżet mógł stracić ponad 6 mld zł.

Bulwersujący pomysł ściągnięcia uczniów do wielkanocnej spowiedzi zaprezentowali klerycy **Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Szkole Podstawowej nr 343 im. Matki Teresy z Kalkuty** na warszawskim Ursynowie. Spowiedź odbywała się w salach lekcyjnych i sali gimnastycznej.

Michał Krupiński nie jest już szefem **Grupy PZU**. Rada nadzorcza odwołała go po 14 miesiącach zarządzania największym ubezpieczycielem. Nie pomogło mu niezwykle aktywne i hojne wspieranie przedsięwzięć propagandowych mediów i instytucji związanych z PiS.

Artur Chojecki, wojewoda warmińsko-mazurski, unieważnił uchwałę gminy Kruklanki, która chce, by jej najdłuższa ulica miała nazwę 22 Lipca. Chojecki wie lepiej od mieszkańców, jakie powinny być nazwy. Może wie też, kiedy będzie się rozglądał za jakąś uczciwą robotą?

Poczta Polska zwolniła dyscyplinarnie **Klaudiusza Wieczorka**, jednego z organizatorów protestu listonoszy. O szczegółach akcji pomocowej można się dowiedzieć na stronie **Listonosze.pl**.

PRZEBŁYSKI

ROKITA CIERPIAŁ ZA MILIONY

Wszyscy tylko łapę wyciągają, aby skubnąć naszą ojczyznę kochaną, ale na szczęście są jeszcze ludzie skromni. Choć światowi. I tak zasłużeni, że bez nich nie byłoby wolności. I suweren nie mógłby sobie wybrać PiS. Państwo Jan i Nelli Rokitowie jak ulał pasują do tego obrazu. Pana Jana Marię Rokitę internowano w 1982 r. na całe pół roku. Był też ofiarą niemieckiej Lufthansy. Ale to później. Teraz żąda odszkodowania od polskiego rządu. Chce 259 303 zł za doznane krzywdy i 290 697 zł za utracone zarobki i zdrowie. Razem 550 tys. Tylko 21 razy więcej niż odszkodowanie, które Rokita już dostał. W 2010 r. jego krzywdy wyceniono na 25 tys. zł. Jeśli utrzyma w żądaniach siedmioletni cykl, to w 2024 r. będzie chciał 11,5 mln zł. Rozkładając rodakom na raty spłatę długu ojczyzny wobec swoich najbardziej zasłużonych synów, Rokita potwierdził, że jest jak sławny poeta. Choć tamten cierpiał za inne miliony.

NOWY HISTORYK JUSZCZENKO

Piewca Bandery i Szuchewycza, były prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko, poszerzył swoje zainteresowania. Zaczął studiować historię Polski. Ale tylko po to, by dowieść, że w gruncie rzeczy losy Piłsudskiego i historia Armii Krajowej są bardzo podobne do losów Bandery i UPA (!). Jeszcze nie wiemy, do jakich nowych źródeł dotarł. Ale z tego, co ujawnił „Rzeczpospolitej", zanosi się na wielką weryfikację podręczników: „Bandera po wodzie nie chodził. Ale polska Armia Krajowa też po wodzie nie chodziła i świętych tam nie było". A UPA? „Mieli swoje życiowe niuanse, których nie chcę komentować, bo nie są dla mnie przyjemne". Taki wrażliwiec z Juszczenki. Choć na wypadek gdybyśmy nie docenili jego dobrotliwości, ma też słówko „o niuansach po polskiej stronie, a konkretnie o Piłsudskim". Juszczenko zainteresował się nawet składem żałobników na pogrzebie marszałka.

Na pogrzebach prawie 200 tys. Polaków zamordowanych przez UPA żałobników nie było. Nie było przecież nawet pogrzebów. Zostały tylko kości. Na polach i w lasach. Ale o tym w podręcznikach na Ukrainie nie ma ani słowa.

CYKLE KARNOWSKIEGO

Zwolennikom poglądu, że człowiek zmienia swoje życie w cyklach siedmioletnich, przybył kolejny mocny argument. Michał Karnowski, publicysta „wSieci", czyli modelowy oficer „dobrej zmiany". W 2007 r., gdy Karnowski zarabiał na chleb u Niemca, czyli w Axel Springer, pisał tak: „Haniebne jest podnoszenie rzekomej niemieckości gazet Axela Springera Polska, granie na nacjonalistycznej nucie, gdy te tytuły redagowane są przez niezależnych dziennikarzy". Minęło siedem lat i od 2014 r. Karnowski jest wielkim fanem repolonizacji mediów. Czyli mówiąc wprost, pogonienia z Polski zagranicznych koncernów. Zwłaszcza niemieckich. Ciekawe, co powie Karnowski w 2021 r. Poprze opcję chińską?

FOT. WIKIPEDIA, YOUTUBE.COM

eprasa.pl b7ef0e37e9

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy jest miejsce na nową partię, zdolną pokonać PiS?

DR HAB. MICHAŁ BILEWICZ,
psycholog społeczny, UW

Politycy opozycji stoją dziś przed dylematem: trwać w rozproszonych partiach, realizujących interesy konkretnych grup społecznych, czy budować wspólną formację? Przestrzegałbym przed wyborem drugiej możliwości. Co miałoby być wspólnym mianownikiem takiej formacji? Obrona państwa prawa? To nie mobilizuje elektoratu w Polsce. Liberalizm obyczajowy? Tym bardziej nie. Jedyną poważną płaszczyzną współpracy może być obrona miejsca Polski w UE, ale tutaj lepiej niż partia sprawdzi się szeroki ruch społeczny. Partie natomiast powinny równolegle punktować PiS z obu stron – lewicowej i wolnorynkowej. W wyborze partii podstawą jest to, co psychologia nazywa optymalną dystynktywnością – chcemy formacji, które będą nas dobrze reprezentować, nie będą zbyt duże ani zbyt małe. Pozwolą nam odróżnić się od innych. Anty-PiS ma więc sens jako ruch społeczny (choćby pod postacią czarnych protestów czy odpartyjnionego KOD), ale tworzenie na tej bazie jednej partii politycznej tylko ułatwi obecnemu rządowi utrzymanie się przy władzy.

ROBERT MIGAS,
czytelnik PRZEGLĄDU

Tak, ale musi to być partia, która konsekwentnie głosi swój program i bierze sobie do serca prawdziwe problemy Polaków, takie jak niskie płace, kiepska służba zdrowia, brak perspektyw w mniejszych ośrodkach. PiS i inne populistyczne partie można pokonać, jeżeli nie będzie się reagować na to, co robią czy mówią, tylko samemu stworzy przestrzeń do dyskusji. Zamiast komentować kolejne wygłupy Macierewicza, lepiej proponować rozwiązania, których PiS nigdy nie wprowadzi. Uważam, że Razem może mieć szanse, ale prawdopodobnie nie samodzielnie, tylko np. z Barbarą Nowacką.

DR HAB. ANNA PACZEŚNIAK,
politolożka, UWr

Wejście na scenę polityczną nowej partii jest trudne, ale nie niemożliwe. W 2015 r. mimo zdominowania partyjnej rywalizacji przez konflikt PiS z PO do Sejmu po raz pierwszy weszli Nowoczesna i Kukiz ze swoim ruchem, a próg finansowania przekroczyło Razem. Jestem sceptyczna wobec tych teorii marketingu politycznego, które głoszą, że na stworzenie nowej partii wystarczy dziewięć miesięcy – tyle, ile trwa ludzka ciąża. Taki produkt można sprzedać raz, ale jeśli nie wypełni się go treścią, sukces przypomina błysk flesza. Partii politycznych mamy sporo, niektóre są całkiem dobrze zorganizowane w terenie, mają wierne elektoraty, więc nie widzę sensu tworzenia nowego bytu od zera. I to jeszcze z płonną nadzieją, że będzie on w stanie „odsunąć PiS od władzy". Do tego wystarczą mądre i sprytne działania istniejącej opozycji. Łatwo powiedzieć, prawda?

PROF. KATARZYNA SOBOLEWSKA-MYŚLIK,
politolożka, UP w Krakowie

W moim przekonaniu bardzo mocno przeceniamy atut nowości w polityce. Nowe partie cały czas się pojawiają, jednak Ruch Palikota, Kukiz'15 czy Razem nie potrafiły dotąd zaoferować nowej jakości. Skuteczna partia to nie tylko wyrazisty lider, umiejętność odczytywania potrzeb społecznych i dobry przekaz medialny. To także struktury i zdolność bezpośredniego docierania do ludzi, również na dole, i zamieniania ich w aktywnych promotorów swojego ugrupowania. W związku z tym nie uważam, by potrzebna była nowa partia. Potrzebujemy, by istniejące formacje, które mniej lub bardziej zakorzeniły się w społeczeństwie, przekształciły swoje polityki komunikacyjne i formuły działania tak, by skutecznie zaprezentować się jako alternatywa wobec PiS.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl b7ef0e37e9

JAK PRZEŻYĆ ZALEWSKĄ I NIE ZWARIOWAĆ

REFORMA EDUKACJI – KONFLIKT I CHAOS

Roman Wojciechowski

System edukacji znalazł się w sytuacji niespotykanej od lat – sposób wprowadzania reformy spowodował, że nauczyciele stali się nie podmiotem zmian, ale przedmiotem w walce między zwolennikami i przeciwnikami reformy. Swoistą kartą przetargową, którą uczestnicy sporu próbują sobie wyrwać, aby pokonać przeciwnika. A lista „sparingpartnerów" na tym publicznym ringu jest długa: rząd, Ministerstwo Edukacji Narodowej, partie polityczne, kuratorzy, samorządy jako organy założycielskie szkół, organizacje i stowarzyszenia oświatowe, stowarzyszenia rodziców, media – te sprzyjające ekipie rządowej i te stojące po przeciwnej stronie barykady. I jeszcze tzw. opinia publiczna, która w przytłaczającej większości nie ma kompetencji, aby oceniać zmiany w oświacie.

Nauczyciele stali się kartą przetargową.

Jednym z najbardziej widocznych przykładów tej walki o rząd dusz nauczycieli jest strajk szkolny zapowiadany przez ZNP. Głównymi postulatami są oczekiwania płacowe – 10% podwyżki wynagrodzenia zasadniczego – oraz gwarancja, że do 2022 r. nie będzie zwolnień nauczycieli ani pogorszenia warunków pracy. Prawdę powiedziawszy, są to postulaty zastępcze – w sytuacji gdy dotychczasowe protesty przeciwko reformie praktycznie nic nie dały. Bez większego ryzyka można przyjąć, że planowany strajk będzie jedynie próbą związkowej siły.

METODA KIJA I MARCHEWKI

Strajk zapowiadany jest na 31 marca i jakby „niezależnie" od jego daty minister edukacji Anna Zalewska zapowiedziała, że właśnie do końca marca MEN przedstawi propozycje zmian w Karcie nauczyciela, a w kwietniu plan podwyżek dla nauczycieli. Nie będzie zaskoczeniem, gdy data jego ogłoszenia będzie nieodległa od podania przez ZNP liczby zebranych podpisów w sprawie referendum oświatowego.

Na dodatek można odnieść wrażenie, że minister Zalewska – delikatnie ujmując – nie przejęła się groźbą ZNP wchodzenia szkolnych organizacji związkowych w spory zbiorowe z dyrektorami o podwyżkę płac i zagwarantowanie miejsc pracy. To spór między pracownikami a pracodawcami (nauczycielami i dyrektorami szkół), ministerstwu nic do tego – skomentowała. Wcześniej środowisko nauczycielskie zbulwersowały informacje o adresowanych do szkół listach kuratorów oświaty, informujących że wchodzenie w spór zbiorowy jest nielegalne i grozi sankcjami. Próbowano nauczycielom grozić kijem, ale to nie pomogło, zastosowano więc zasadę: skoro przeciwnika nie można zastraszyć, trzeba udawać, że się go lekceważy.

W tej walce o przeciągnięcie nauczycieli na swoją stronę ministerstwo zapowiada rewolucyjną zmianę w systemie ich wynagradzania. Wiąże się to z rozdzielaniem subwencji oświatowej, czyli kwoty, którą gminy otrzymują z centralnego budżetu na jednego ucznia. Więcej pieniędzy będzie dla gmin mogących się pochwalić sukcesami edukacyjnymi. Tym razem minister pokazuje marchewkę, jednak mglista jest zapowiedź wskaźników, jakimi będzie się mierzyć te sukcesy. Ma to być m.in. zatrudnianie dodatkowych specjalistów: psychologów, pedagogów, logopedów. A przecież to wcale nie musi się przekładać na wzrost kompetencji uczniów – owszem, pomaga w pracy dydaktycznej, ale jej efekty i tak zależą od wiedzy i umiejętności nauczycieli. Na dodatek pojawiły się zapowiedzi, że minister Zalewska chce zróżnicować pensje i planuje podwyższyć wynagrodzenie tzw. nauczycieli tablicowych – w opinii związkowców i ekspertów odbędzie się to kosztem tych, którzy pracują w bibliotekach lub świetlicach. Płacowe zapowiedzi pani minister wpisują się w maksymę *divide et impera* – zwaśnieni są osłabieni. Trudno nie zgodzić się z przeciwnikami tego pomysłu, twierdzącymi, że to udawanie podwyżek i przekładanie pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej. Samorządowcy alarmują: w zdecydowanej większości gmin od dawna rządowa subwencja jest za mała, do oświaty trzeba dokładać z gminnej kasy, a skąd wziąć dodatkowe pieniądze na realizację reformy edukacji?

To samorządy zostaną obarczone winą za wszelkie niepowodzenia reformy.

TRUDNY ZWIĄZEK ZE ZWIĄZKAMI

W tym przeciąganiu nauczycieli na swoją stronę szczególnie niewygodna jest pozycja działaczy Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ Solidarność. Tkwią w coraz większym rozkroku – popierają reformę edukacji, ale nie zgadzają się na jej konsekwencje, np. na zwolnienia nauczycieli. Stali się zakładnikami ambicji politycznych szefostwa organizacji, któremu w tym sporze bliżej, zdaje się, do partii rządzącej niż do rządzonych. Może Piotra Dudę czeka ścieżka kariery Janusza Śniadka, który w wyborach parlamentarnych w 2011 r. dostał miejsce na listach PiS?

Oświatowa Solidarność – licząca 80 tys. członków – nie popiera działań dużo większego, 200-tysięcznego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zdaniem liderów Solidarności żądania ZNP są nierealne, a strajk jest polityczny. Dwie największe centrale związko-

eprasa.pl b7ef0e37e9

Projekt reformy oświaty ogłoszono w czerwcu ubiegłego roku i od tego czasu trwają protesty nauczycieli. Tak 10 października manifestowano we Wrocławiu.

we walczą o wpływy w środowisku i w tej walce na co dzień muszą się odnajdować nauczyciele. To nierzadko przekłada się na relacje zawodowe i osobiste ludzi spotykających się w jednym pokoju nauczycielskim. Znamienne w tym kontekście zdanie znajdujemy wśród konkluzji badania „Pozycja społeczno-zawodowa nauczycieli" Instytutu Badań Edukacyjnych z 2015 r.: „W opinii nauczycieli związki zawodowe, zabiegające o utrzymanie przywilejów, swoimi działaniami obniżają pozycję społeczną nauczycieli".

TO NIE MY, TO SAMORZĄDY

Kolejnym uczestnikiem walki o środowiska nauczycielskie są samorządy, które znalazły się w niezwykle trudnym położeniu. Coraz częściej powtarzany jest pogląd, że to je obarczy się winą za wszelkie niepowodzenia we wprowadzaniu reformy, która będzie narzędziem PiS w walce o sukces w najbliższych wyborach samorządowych. Sytuację samorządów najlepiej określa postawa minister Zalewskiej wobec sporu zbiorowego, w jaki mają wchodzić organizacje związkowe. W tej sprawie też najlepiej umyć ręce, zgodnie z logiką: postulat zagwarantowania miejsc pracy przez najbliższe pięć lat, do 2022 r.? MEN nie jest jego adresatem – organem założycielskim dla szkół są samorządy. To ich zmartwienie. Już dziś można wskazać luki w założeniach reformy, których reperkusją będzie np. konieczność wygospodarowania przez samorządowców funduszy na reorganizację sieci szkolnej czy na odprawy dla zwalnianych nauczycieli. Dodatkowo na sytuację samorządów wpłynie trudna współpraca z kuratoriami oświaty, które narzucają decyzje wbrew doświadczeniu samorządowców i lokalnym realiom. Czasem trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia ze sterowaną obstrukcją w akceptowaniu decyzji rad gmin – szczególnie ostro było to widać podczas opracowywania nowej sieci szkół. Kuratorzy – wymienieni na „swoich" – dostali zwiększone kompetencje i mogą zablokować wiele decyzji samorządów. Na dodatek rozwiązania różnych przepisów wykonawczych MEN pozostawiają dużo do życzenia.

W sytuacji rosnących napięć, które towarzyszą zapowiedzi strajku szkolnego i akcji zbierania podpisów w sprawie referendum oświatowego, niejako w zaciszu gabinetu minister Zalewska podpisała ramowe plany nauczania dla klas pierwszych, czwartych i siódmych. W opinii nauczycieli i ekspertów w znacznym stopniu ograniczają one swobodę w dobieraniu treści nauczania – są powrotem do ręcznego sterowania procesem nauczania. Programy te zaczną obowiązywać już od najbliższego roku szkolnego.

Dotychczasowe protesty przeciwko reformie nic nie dały. Planowany strajk będzie jedynie próbą związkowej siły.

ZAKLINANIE RZECZYWISTOŚCI

Minister Zalewska jak mantrę powtarza to, w co nauczyciele nie

eprasa.pl b7ef0e37e9

wierzą: że nie będzie zwolnień i nie pogorszą się warunki pracy. Powtarza również, że pieniędzy na reformę wystarczy – w co nie wierzą samorządowcy. Jednocześnie bez rozgłosu podejmuje decyzje jeszcze bardziej uszczuplające oświatowy budżet. Kliniczny przykład to zapowiedź wycofania obowiązującego bezpłatnego elementarza, co w praktyce oznacza wyrzucenie w błoto ok. 50 mln zł. Tajemnicą poliszynela jest, że do obowiązującego podręcznika zastrzeżenia zgłosiły środowiska katolickie.

W sytuacji walki o wpływy wśród nauczycieli na dalszy plan zeszła dyskusja programowa nad celami i efektami reformy. W zasadzie już wygasła, wraz z utrwalaniem się przekonania, że od reformy nie ma odwrotu. Wprawdzie na początku kwietnia będzie wiadomo, ile podpisów udało się zebrać w sprawie organizowanego przez ZNP i wspieranego przez 18 organizacji społecznych ogólnopolskiego referendum szkolnego (ZNP deklaruje, że zebrało ponad 500 tys.), jednak już można przewidzieć los tej inicjatywy. Minister Zalewska twierdzi, że referendum kosztowałoby 100 mln zł i lepiej przeznaczyć tę kwotę na tablice multimedialne dla szkół. Świetny argument dla tzw. opinii publicznej, przemawiający za tym, że mądra większość w Sejmie musi wniosek odrzucić. A to, że go odrzuci, wynika z sejmowej arytmetyki.

Zapowiedzi płacowe pani minister to przekładanie pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej.

Płacimy dziś cenę za hasło wyborcze rzucone przez PiS, którego celem było nie reformowanie systemu oświaty, ale pozyskanie wyborców. Dobitnie to potwierdza sytuacja polskiej szkoły w trakcie „dobrej zmiany". Płacimy cenę w sensie dosłownym, materialnym – odczują to zwłaszcza samorządy, które na oświatę wydają pieniądze nie tylko z subwencji, ale też z kieszeni podatników. I płacimy cenę społeczną – dziś najbardziej odczuwają to nauczyciele.

Roman Wojciechowski

LEKCJA PRZESTA

Nauczyciele stali się przedmiotem w walce między zwolennikami i przeciwnikami reformy

Rozmawia Roman Wojciechowski

DR HAB. PIOTR MIKIEWICZ

– profesor Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, kierownik Zakładu Socjologii Edukacji i Polityki Oświatowej

Stan wyjątkowy – tak mógłbym określić sytuację naszej oświaty.

– ?

Władza, a konkretnie MEN, wprowadza reformę, mimo że liczne środowiska oświatowe protestują, negują ją albo w całości, albo częściowo. Tak naprawdę trudno byłoby wyliczyć tych – poza namaszczonymi przez ministerstwo – którzy nie mają zastrzeżeń. Trwają protesty, rośnie napięcie, czas płynie, a MEN robi swoje.

– Proponuję, abyśmy na wstępie ustalili: nie chcę się wdawać w dyskusję polityczną na temat motywów wprowadzania reformy, opowiadać po jednej lub drugiej stronie. Ten spór nierzadko przypomina mi łupankę – także w mediach – szukanie, gdzie uderzyć, żeby wygrać swoje w tej rywalizacji politycznej. Dla mnie, socjologa edukacji, liczą się w tym momencie: obserwowanie zmiany, nauczyciele w tym procesie i oczywiście uczniowie.

Dobrze, w takim razie jak oceniłby pan przebieg tej zmiany?

– To temat na całą rozprawę.

Teraz ja coś zaproponuję. Trzy główne elementy zamiany to: cel, ludzie i procedury. Zacznijmy od nauczycieli.

– Przede wszystkim przestrzegam przed generalizowaniem. Nauczycieli jest ok. 500 tys. To wielobarwna, bardzo zróżnicowana grupa zawodowa – pod względem poglądów politycznych, zasobności i możliwości rozwoju zawodowego. Na dodatek funkcjonująca w bardzo różnorodnych środowiskach, inaczej przecież pracuje się w szkole podstawowej w podkarpackiej wsi, a inaczej we wrocławskim lub warszawskim liceum. W debacie o nauczycielach zawsze trzeba brać pod uwagę ten kontekst, te uwarunkowania, nie można ferować wyroków: nauczyciele są źli albo dobrzy.

Ale u podstaw reformy legło przekonanie, że system edukacji nie spełnia oczekiwań, a więc nie spełnia ich szkoła, *ergo* – nauczyciele.

– Do tego dochodzą mity społeczne, w których nauczyciele funkcjonują: mało pracują, bo zaledwie 18 godzin, mają wakacje. W badaniach naukowych też często mamy do czynienia z podejściem o charakterze demaskatorskim, np. w jaki sposób nauczyciele naznaczają uczniów poprzez stereotyp. A na drugim biegunie – gloryfikuje się ich, pokazuje chwalebne przykłady, konkursy na nauczyciela roku. Jak wspomniałem, nie można całej szkoły, ogółu nauczycieli krytykować z góry na dół albo tylko ich chwalić.

W zmianie ważniejsze od oceniania ludzi jest pozyskanie ich do wspólnego działania.

– I tu dotykamy sedna. Zacznę od tego, że środowisko nauczycielskie poddawane jest presji – jeśli nie od zawsze, to od długiego czasu, na dodatek z wielu stron. Z jednej strony jest to presja rządowa – oczekiwa-

eprasa.pl b7ef0e37e9

WIANIA WAJCHY

nie, jak ma działać system edukacji. Z drugiej – presja rodziców, którzy chcą, żeby szkoła działała na rzecz dzieci. I z trzeciej – uwarunkowania lokalne, dyrektorzy szkół, samorządy, które realizują swoje polityki. W mniejszych miejscowościach te lokalne uwarunkowania znacząco wpływają na to, jak pracuje się w szkole.

Jednak presji poddawanych jest wiele grup zawodowych. Można zażartować: *sorry*, takie mamy życie…

– Tak, ale stan, w jakim znajdują się nauczyciele, określiłbym mianem przeciążenia normatywnego. Pojęcie to pojawiło się w badaniach współczesnych ról kobiecych. Formułuje się wobec kobiet wiele sprzecznych oczekiwań, na dodatek mają być wielofunkcyjne: aktywne zawodowo, muszą wychowywać dzieci, prowadzić dom, być trendy.

A środowisko nauczycielskie jest mocno sfeminizowane.

– To także ma wpływ na jego kondycję, ale głównie chodzi mi o to, że od nauczyciela oczekuje się pełnienia bardzo wielu różnych funkcji. Nie tylko ma dobrze uczyć fizyki lub języka polskiego – ma jeszcze wychowywać, być swoistym administratorem, czyli zarządzać procesem dydaktycznym, ma być obecny w życiu środowisk lokalnych. Musi spełniać oczekiwania wielu stron: od ministra edukacji, przez lokalne władze oświatowe i otoczenie społeczne, po rodziców. Do tego dochodzi sprawa oczywista, lecz zapomniana – że to zajęcie bardzo wymagające pod względem obciążenia psychicznego. Nauczyciel działa w grupie dynamicznej, w zależności od wieku uczniów styka się z różnymi problemami, ta dynamika grupy się zmienia. Trzeba umieć sobie z tym radzić, a jednocześnie realizować założenia programowe.

Stąd wniosek, że nauczycieli trudno pozyskać do aktywnego akceptowania zmiany?

– Są przyzwyczajeni do ciągłych zmian, nauczyli się żyć pod stałą presją i adaptować się do niej. Niestety, ta adaptacja nierzadko oznacza imitację zmiany, swoistą mimikrę. Badania, które realizowaliśmy, jednoznacznie pokazują, że jest grupa nauczycieli, którzy nauczyli się udawać, że się zmieniają, podczas gdy od lat robią to samo.

> Nie można całej szkoły, ogółu nauczycieli krytykować z góry na dół albo tylko ich chwalić.

Surowa ocena.

– Tak, może się wydawać surowa, dlatego powiedziałem: grupa nauczycieli. Nie zmienia to faktu, że mechanizm psychologiczny jest prosty – jeśli w otoczeniu dużo i często się zmienia, człowiek przestaje reagować. Dotyczy to także nauczycieli, a szkoła od dłuższego czasu poddawana jest dużej presji. I nie jest to tyl-

Protest zorganizowany przez ZNP w Lublinie, 10 października 2016 r.

eprasa.pl b7ef0e37e9

Najwięcej emocji budzi likwidacja gimnazjów. Nauczyciele i uczniowie gimnazjum nr 30 przy ul. Szanajcy w Warszawie bronią swojej szkoły.

ko kwestia ostatniej ekipy rządzącej – ta presja rośnie co najmniej od 20 lat.

Trudno się temu dziwić, wynika to z dynamiki zmian społecznych.

– Zgoda, powiem więcej: truizmem jest stwierdzenie, że szkoła to ważny element życia społecznego i od tego, jak funkcjonuje, jak będzie kształcić, zależy, jak będziemy funkcjonować na rynku pracy, jako obywatele i członkowie rodzin. Oczekuje się od szkoły, że będzie rozwijać zainteresowania ucznia, żeby miał – jak to się mówi – szerokie horyzonty. Jednocześnie powinna go przygotować do pracy, na dodatek w jakiejś wąskiej specjalizacji, żeby nadawał się do konkretnych zawodów, na które akurat jest zapotrzebowanie. Rynek pracy się zmienia…

…i to bardzo dynamicznie.

– Raptem okazuje się, że potrzebne są inne, nowe kwalifikacje. Dziś trudno nawet przewidzieć, jakie kompetencje, umiejętności będą potrzebne za 15-20 lat.

Gdy dzisiejsi uczniowie pierwszych klas reformowanej ośmiolatki będą wchodzić na rynek pracy. I tak doszliśmy do celu zmiany.

– No właśnie! W całej dyskusji o reformie oświaty tak naprawdę nie dyskutuje się nad sprawami fundamentalnymi: jaka powinna być edukacja dla przyszłości, jak powinna funkcjonować szkoła, jacy powinni być nauczyciele. Brak m.in. tej fundamentalnej refleksji powoduje, że szkoła jest pół kroku, albo i trzy kroki, za dynamicznie zachodzącymi zmianami społecznymi. Ten dystans może się pogłębić zwłaszcza dziś, gdy podstawa programowa musi obejmować 12 lat edukacji, a cykl zmian cywilizacyjnych potrafi być znacznie krótszy.

Środowisko nauczycielskie poddawane jest presji ze strony rządu, rodziców, samorządów i dyrektorów szkół.

Dobrym przykładem tempa zmian może być komunikacja. Polska wersja Facebooka pojawiła się w 2008 r., a więc ponad osiem lat temu, gdy do pierwszej klasy poszły nowe roczniki. Liczba użytkowników codziennie odwiedzających stronę Facebooka już ponad rok temu przekroczyła miliard.

– Dla współczesnej szkoły wyzwaniem jest edukacja młodych ludzi do życia w zmienności. Cel ten najlepiej osiągnąć w systemie, który jest elastyczny, w którym pracują nauczyciele przygotowani do zmienności.

Przygotowanie nauczycieli do zmienności nie musi oznaczać zamiany szkoły sześcioletniej i gimnazjum na ośmioletnią szkołę podstawową i liceum. Doszliśmy do drugiego elementu – metody.

– Tak, tu chodzi o szersze spojrzenie na zmianę. Nie da się wypracować jednego sposobu postępowania, który będzie niezmienny, taki sam dla wszystkich i będzie funkcjonować przez cały czas. Najlepszym rozwiązaniem jest danie nauczycielom jak największej autonomii, a nie stwarzanie odgórnie narzucanych sztywnych ram. Nie można podchodzić do zmiany na zasadzie: to się dostosujcie! To za mało, to jest ogromne zadanie dla polityki społecznej.

Zwłaszcza wobec środowiska tak zróżnicowanego, tak licznego – 500 tys. nauczycieli to jak potężna armia, w której są i szeregowi, i generałowie…

– Ostrożnie z tą analogią do armii, która z definicji jest systemem totalnym, podlega jednemu sposobowi zarządzania, pewnej spójnej hierarchicznej logice przepływu zmian. Jeśli w wojsku generalicja wymyśli pewne zmiany, szybko i zgodnie z narzuconą ideą znajdą się one na najniższym szczeblu, tymczasem w edukacji to nie zadziała.

Jednak patrząc na sposób wprowadzania reformy, można odnieść takie wrażenie.

– Znowu chce mnie pan wciągnąć w dywagacje polityczne, a ja się nie dam. Tak naprawdę w Polsce kształcimy tylko nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej. Na studiach kształcimy fizyków, chemików, filologów, a potem przysposabiamy ich, żeby pracowali jako nauczyciele, natomiast w Niemczech lub w Skandynawii uczy się nauczycieli fizyki, chemii. U nas zaś ciągle zawód nauczyciela jest drugim albo trzecim wyborem. Na dodatek atmosfera wokół zmian związanych z wprowadzaniem reformy edukacji rzeczywiście jest – nazwijmy to – specyficzna. Wynika z tempa, niepewności, braku jasności, co czeka nauczycieli

Czy reforma edukacji, która ma zacząć obowiązywać od września, została dobrze przygotowana?

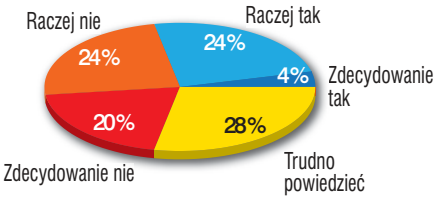

Źródło: CBOS, luty 2017

FOT. DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WYŻSZA, ANDRZEJ STAWIŃSKI/REPORTER, ANNA KURKIEWICZ/KURIER LUBELSKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl b7ef0e37e9

i jak mają się dostosować do nowej sytuacji.

Wracając do elementów procesu zmiany, trzecim są procedury.

– Odwołam się do porównania z armią. Takie myślenie o zmianie ma każda ekipa rządząca: przestawimy wajchę w jedną stronę i wszystko się zmieni. Tak było również w przypadku poprzedniej reformy. System edukacji czyta zmiany w inny sposób, likwidację gimnazjów odczytuje różnie w różnych środowiskach i różnie będzie do tej zmiany się dostosowywał. Zwłaszcza że to bardzo specyficzny system – centralno-zdecentralizowany.

?

– Z jednej strony, mamy ministerstwo, które zarządza systemem edukacji, podstawą programową. Z drugiej, lokalne strategie edukacyjne: gminne, wojewódzkie – na szczeblach samorządowych. Trzeba pamiętać, że organami prowadzącymi są dla szkół samorządy, to one *de facto* finansują ze swoich budżetów rozwiązania merytoryczne i organizacyjne, które proponuje inny układ – ministerstwo. Dyrektor szkoły musi się zmieścić między tymi dwoma ośrodkami decyzyjnymi ze swoją polityką edukacyjną, a więc szkołą. Często jeden ośrodek decyzyjny oczekuje czegoś innego niż drugi.

Tak naprawdę w Polsce kształcimy tylko nauczycieli edukacji wczesnoszkolnej.

Na dodatek ośrodek, który zarządził reformę, daje za mało pieniędzy, aby te zmiany skutecznie wprowadzać.

– Wydatki na oświatę są jedną z największych pozycji w budżecie samorządów.

I dotacje oświatowe w zdecydowanej większości gmin nie pokrywają kosztów.

– Do tego dochodzi presja środowiska na szkołę, żeby były mniej liczne klasy, było więcej nauczycieli i żeby dłużej pracowali. Wspomniałem na początku, że dyrektorzy szkół i samorządy realizują swoje lokalne polityki oświatowe, a ministerstwo wyznacza politykę krajową. Niestety, brakuje zgrania różnych polityk oświatowych – one mają swoją logikę, specyfikę, ale muszą się zgrać. Dziś trzeba wspomóc samorządy, żeby lepiej potrafiły dokonywać zmian w sferze edukacji, do czego może się przyczynić lepsza współpraca z uczelniami, które mają doświadczenie w kształceniu kadry pedagogicznej, w organizacji procesu zmiany. My mamy wiedzę interdyscyplinarną – z zakresu socjologii, psychologii, pedagogiki itd. Oświata jest doskonałym miejscem do współpracy administracji samorządowej z uczelniami. Ta współpraca – oprócz wsparcia nauczycieli – jest kluczowa dla współczesnej szkoły, której celem powinna być edukacja młodych ludzi do życia w świecie szybko zachodzących zmian.

Roman Wojciechowski

eprasa.pl b7ef0e37e9

FALOWANIE I SPADANIE

Wewnątrz PiS zachwiała się wiara w nieomylność kierownictwa i pewność, że poprowadzi ono partię do kolejnych sukcesów

DR JAROSŁAW FLIS

– socjolog polityki, adiunkt w Instytucie Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego

Rozmawia Krzysztof Pilawski

Po przegranej w Brukseli PiS zachowuje się jak bokser, który po nokdaunie nie może dojść do siebie. Czyżby Jarosław Kaczyński tak bardzo stracił kontakt z rzeczywistością, że nie przewidział wyniku wyborów na przewodniczącego Rady Europejskiej?

– Niekiedy człowiek tak bardzo czegoś chce, że nie potrafi zrezygnować z postawienia na swoim, nawet jeśli jest to niewykonalne. Tak mogło być w tym przypadku. Jarosław Kaczyński przywykł, że ma być tak, jak on chce. Podobnej postawie sprzyja umacniane przez jego otoczenie przekonanie o rzekomej wielkości i nieomylności przywódcy Prawa i Sprawiedliwości. Cały czas mamy do czynienia z dworem uzależnionym od prezesa, który jednym ruchem ręki może zdecydować o czyimś losie politycznym, zawodowym, drodze życiowej. Dwór czyta myśli szefa i – co najgorsze – wychodzi naprzeciw jego najskrytszym oczekiwaniom, podsuwając pomysły, które – jak mniema – zostaną przyjęte z zadowoleniem. W ciągu ostatnich 20 lat dostrzegam w Jarosławie Kaczyńskim zamiłowanie do podchodów i trików. Nie wykluczam, że ktoś podrzucił mu trik z Jackiem Saryuszem-Wolskim i on tak mu się spodobał, że nie brał pod uwagę, iż może się okazać kompletnym niewypałem.

OSTRO W PRAWO

Ale to przecież nie prezes PiS kieruje polską polityką zagraniczną.

– Formalnie nie, ale Beata Szydło, Witold Waszczykowski czy Konrad Szymański nie mają równie silnej pozycji jak Antoni Macierewicz lub Zbigniew Ziobro. Jeżeli np. minister Waszczykowski stale słyszy, że za wolno czyści kadry, to nie będzie wychodził przed szereg i narażał się na zarzut, że jest mięczakiem. Przecież pani premier i ministrowie musieli wiedzieć, że wojna z Brukselą skończy się katastrofą, ale po prostu bali się o tym powiedzieć prezesowi partii.

Najlepiej dowodzi to, że system polityczny zbudowany po wyborach w 2015 r. szkodzi państwu.

– Na pewno szkodzi samemu PiS i zniechęca umiarkowanych konserwatystów. Niezachwiana pozycja Jarosława Kaczyńskiego opiera się na głębokim przekonaniu o słuszności jego generalnej, radykalnej diagnozy, a także na tym, że czasami potrafi ją stonować w imię doraźnej strategii. Dzięki zastosowaniu manewru skierowania statku PiS w stronę centrum partia w wielkim stylu wróciła do władzy. Jednak zaraz potem Jarosław Kaczyński uznał, że to idealny moment, by całkowicie przestawić wajchę. Nie przejmuje się wyborcami z politycznego środka, bo jest przeświadczony, że jeśli zrealizuje swój plan, sytuacja w kraju gwałtownie się poprawi i oni znowu zagłosują na PiS. Można mieć różne marzenia i plany, ale zawsze przychodzi moment weryfikacji – wybory.

> Jarosław Kaczyński nie przejmuje się wyborcami z politycznego środka.

Po głosowaniu w Brukseli PiS bije na oślep: Jarosław Kaczyński witał panią premier na lotnisku, nazy-

eprasa.pl b7ef0e37e9

wając klęskę sukcesem, minister Waszczykowski pogroził Unii palcem, minister Macierewicz oskarżył Donalda Tuska o zdradę… Ta droga nie prowadzi do sukcesu.

– Pewna moja znajoma – jeszcze za czasów PRL – miała psa. Szyba w drzwiach na klatkę schodową w jej bloku była wybita i bardzo długo nikt nie wstawiał nowej, więc pies, wychodząc na spacer, wyskakiwał przez dziurę. Wreszcie szybę wprawiono i pies odbił się od niej. Oszołomiony wrócił na schody i spróbował jeszcze raz – z tym samym skutkiem. Stara wojskowa zasada głosi: po niepowodzeniu nie ponawiaj ataku w ten sam sposób i takimi samymi siłami. Wielu połamało sobie na tym zęby: Niemcy pod Verdun, Anglicy nad Sommą. Zobaczymy, czy na PiS przyjdzie otrzeźwienie. To nie jest jednak łatwe, bo przed partią stoi zadanie utrzymania dwóch kręgów odbiorców jej oferty: zagorzałych zwolenników narracji Jarosława Kaczyńskiego oraz tych, którzy w nią nie wierzą, jednak sądzą, że PiS – w przeciwieństwie do Platformy Obywatelskiej – coś zrobi.

Cokolwiek by mówić, sprawnie uruchomiony program 500+ okazał się sukcesem. Sztuka polega na utrzymaniu równowagi między obiema grupami. Ostry przechył w prawo grozi utratą umiarkowanych wyborców, z kolei rezygnacja z radykalizmu powoduje narażenie się ideowemu elektoratowi. Mogę sobie wyobrazić, że PiS spotka to, co przydarzyło się PO, która otrzymała cios w plecy od najbardziej przywiązanych do wartości liberalnych zwolenników w postaci elektoratu Nowoczesnej. Na czele takiej radykalnie prawicowej partii mógłby stanąć Antoni Macierewicz albo jakaś wyrazista postać z klubów „Gazety Polskiej", ktoś, kto powie: może nie da się wygrać, ale z pewnością uda się wyrazić nasze poglądy, powiedzieć szczerze, co myślimy, nie idąc na żadne kompromisy.

MNOŻENIE WROGÓW

Czy sondaż IBRiS, w którym PiS ma zaledwie dwuprocentową przewagę nad Platformą, zniekształca sympatie polityczne obywateli, czy też zwiastuje nową tendencję?

– W przeszłości trzy razy przydarzyło nam się tsunami – partia premiera kończącego kadencję nie dostawała się do Sejmu. Po 2005 r. tsunami ustąpiło falowaniu, które obserwujemy w badaniach opinii: jeśli ktoś popełnia poważne błędy, płaci za nie w sondażach. Mamy bardzo wielu racjonalnie myślących wyborców, potrafiących ukarać polityków za niepowodzenia. Platforma Obywatelska przez siedem lat falowała: raz zyskiwała, raz traciła w stosunku do PiS, by w końcu wyraźnie opaść. Jednak po okresie fascynacji sporej części społeczeństwa Nowoczesną odzyskuje swoją pozycję. Gdyby PO zdecydowała się na głębszą odnowę, z pewnością nastąpiłoby to szybciej.

Fala PiS może nie osiągnąć niedawnej wysokości, bo rządząca partia otworzyła mnóstwo frontów. Ataki na Trybunał Konstytucyjny, środowisko sędziowskie, samorządy, prawa kobiet czy reforma oświaty muszą się wyrazić spadkiem poparcia.

– Taki rozwój wydarzeń nie był przesądzony bezpośrednio po wyborach. Każdy z tych tematów to inna historia. Akcja z Trybunałem Konstytucyjnym – mimo masowych protestów – dotyczyła problemów odległych od codziennego zainteresowania większości obywateli. Poza tym, powiedzmy to szczerze, druga strona też miała swoje za uszami. Opowieści o tym, że wcześniej Trybunał Konstytucyjny był zrównoważony, odbiegają od rzeczywistości. Choć sprawa została rozegrana przez PiS wyjątkowo topornie, straciła początkowy dramatyzm. PiS może wierzyć, że to sukces, nawet jeśli kosztowny. Inaczej wyglądają kwestia oświaty i samorządów. Na tych polach problemy dla rządzących będą narastać wraz z rozpoczęciem realizacji uchwalonych bądź zapowiedzianych zmian. Na razie przekładają się one jedynie na zwykłe podziały – jedni są za likwidacją gimnazjów, drudzy przeciw, jedni popierają pomysł uniemożliwienia kandydowania w wyborach samorządowych dwu- lub więcej kadencyjnym prezydentom, burmistrzom i wójtom, drudzy są przeciw. Ale po odpaleniu reformy oświaty zmieni się sieć szkół, część nauczycieli straci pracę, niektóre budynki szkolne nie sprostają nowym potrzebom. Pani wójt pewnej gminy opowiadała mi, że ma w jednym z sołectw szkołę z czterema izbami, w której obecnie z ledwością mieści się sześcioklasowa szkoła podstawowa. Kuratorium postanowiło, że po wprowadzeniu reformy będzie tu pełna szkoła ośmioklasowa.

Jeśli pani wójt ma za sobą kilka kadencji, ma też powody, by obawiać się o swoją przyszłość. Wielu wójtów i burmistrzów szczycących się do niedawna ponadpartyjnością demonstruje sprzeciw wobec władzy. PiS potknie się o samorządy?

– Wiele na to wskazuje, bo w sprawie samorządów PiS drastycznie naruszyło zasadę, że nie należy mnożyć wrogów ponad potrzeby. W rozmowie z pewnym wójtem zażartowałem, że spodziewam się powstania ogólnopolskiego ruchu PSS, Powszechnego Stronnictwa Samorządowego „Społem", jak w starym żarcie: „społem, ale już wstołem". Ten wójt, podobnie jak wielu innych włodarzy samorządowych, do tej pory trzymał się z dala od polityki krajowej, a teraz angażuje się w nią. Bo sytuacja się zmieniła: już nie chodzi o to, czy ty interesujesz się polityką, tylko czy polityka interesuje się tobą. Niemal dwie trzecie wójtów i burmistrzów, czyli prawie 1,6 tys. osób, może zostać objętych zakazem walki o reelekcję. Zapewne nie pogodzą się ze zniknięciem z życia publicznego. Najmniej zmieni się w przypadku tych, za którymi stoją lokalne partie władzy – oni spadną na cztery łapy. Niejeden obecny burmistrz wskaże kandydata na swojego następcę, a po jego zwycięstwie obejmie posadę wiceburmistrza.

Sugeruje pan, że model zastosowany przez pana prezesa zejdzie do Polski gminnej?

System polityczny zbudowany po wyborach w 2015 r. szkodzi PiS i zniechęca umiarkowanych konserwatystów.

Na czele partii radykalnie prawicowej mógłby stanąć Antoni Macierewicz.

eprasa.pl b7ef0e37e9

– To bardziej skomplikowane – niejednokrotnie włodarz jest tylko reprezentantem większego środowiska i ono znajdzie sobie nowego frontmana, zapewniając też godną pozycję staremu. Inaczej jest w tych gminach, w których dzięki jednemu człowiekowi, który został wójtem lub burmistrzem, udało się odsunąć lokalną „grupę trzymającą władzę". Odebranie szansy kandydowania w wyborach uderzy w takich właśnie samotnych samorządowców, docenionych przez mieszkańców za ich dokonania. Łatwo się domyślić, co sądzą o PiS wielokadencyjni samorządowcy, ale można być pewnym, że także ci, którzy po wyborach w 2018 r. pozostaną na drugą kadencję, w wyborach parlamentarnych poprą partie obiecujące zniesienie ograniczeń.

PREZENT OD PLATFORMY

Po klęsce w Brukseli zaostrzyły się tarcia wewnątrz obozu władzy, np. między prezydentem a ministrem obrony narodowej, również w kierownictwie MSW. Ale sam układ parlamentarny wydaje się niezwykle stabilny.

– Po bitwie pod Lutynią jeden z pruskich oficerów miał powiedzieć królowi Fryderykowi Wielkiemu, że dołączył do grona największych wodzów w dziejach. Monarcha oznajmił, że to nieprawda, ponieważ jeszcze nigdy nie przeprowadził udanego odwrotu. Bardzo łatwo dowodzić armią, która idzie od zwycięstwa do zwycięstwa, natomiast odwrót po przegranej bitwie jest najtrudniejszą operacją militarną. PiS znowu musi się wykazać taką umiejętnością. Dotychczasowa ufność w nieomylność Jarosława Kaczyńskiego została podważona, nadzieja na kolejne łupy i awanse po przyszłych zwycięstwach nieco osłabła, zmalała zdolność szefostwa do rozstrzygania sporów między ministrami, słychać żale i wzajemne pretensje. Po trzęsieniu ziemi zazwyczaj następują jeszcze groźniejsze w skutkach wstrząsy wtórne. Podobnie jest w polityce.

Te wstrząsy nie nastąpią chyba przed debatą nad konstruktywnym wotum nieufności?

– Rozochocona zwycięstwem Donalda Tuska Platforma postąpiła bardzo nieroztropnie, zgłaszając ten wniosek. Po co dostarczać obozowi władzy spoiwa w obliczu spodziewanych wstrząsów wtórnych? Nic tak nie mobilizuje i nie jednoczy szeregów jak atak wroga. Właściwą strategią PO byłoby wycofanie się, kibicowanie konfliktom i rozliczeniom w PiS, ironiczne komentowanie w mediach tych zapasów. Przecież wniosek Platformy jest bez szans, PiS ma za dużo do stracenia, żeby dać sobie wyrwać władzę. Opozycji nie nagradza się za to, że chce obalić rząd, tylko za to, że potrafi tego dokonać.

A może nie chodzi o obalenie rządu, lecz o podporządkowanie pozostałych partii opozycyjnych?

– W interesie PO jest pozostawienie w spokoju Polskiego Stronnictwa Ludowego, bo ono, walcząc o życie parlamentarne, toczy działania partyzanckie na tyłach PiS, w miejscach, do których Platforma zwyczajnie nie dotrze. To działa na jej rzecz. Z kolei dociskanie Nowoczesnej jest bez sensu. Ta partia po grudniowym kryzysie parlamentarnym i obyczajowym nie jest już na fali wznoszącej. Nowoczesna ma wystarczająco dużo problemów, po co przysparzać jej nowych, stawiać w trudnej sytuacji, zmuszać do podkreślania własnej podmiotowości? Należałoby poczekać, aż pewne rzeczy w niej dojrzeją i sama zechce zbliżyć się do PO. Nie dostrzegam żadnych korzyści dla Platformy z konstruktywnego wotum nieufności dla rządu, przecież na przedterminowe wybory nie ma co liczyć.

Może to rzeczywiście okaże się falstartem Grzegorza Schetyny, ale przynajmniej będziemy świadkami fascynującej debaty w Sejmie: z jednej strony 500+, podwyżki płac minimalnych, obniżenie wieku emerytalnego, darmowe leki dla seniorów, a z drugiej poniżenie Polski przez Unię Europejską, rozbrajanie armii, chaos w oświacie, centralizacja państwa, narzucanie prawicowych wartości. Obie strony mają czym nabić działa.

– Ta debata toczy się w mediach nieustająco – 24 godziny na dobę, a Sejm nie jest takim autorytetem, żeby dyskusja znacząco zmieniła sympatie polityczne wyborców.

PiS otrząśnie się z brukselskiego nokdaunu?

– Z pewnością będzie się starać, ale znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym, bo wewnątrz PiS zachwiała się wiara w nieomylność kierownictwa i pewność, że poprowadzi ono partię do kolejnych sukcesów. W tej sytuacji bardzo mnie dziwi zachowanie Platformy, która po klęsce PiS funduje tej partii małe, ale zawsze zwycięstwo, w dodatku pierwsze od dłuższego czasu. Bo PiS z pewnością obroni rząd.

PiS w sprawie samorządów drastycznie naruszyło zasadę, że nie należy mnożyć wrogów ponad potrzeby.

Krzysztof Pilawski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, FB.COM/PIEKNICHLOPCYPRAWICY

eprasa.pl b7ef0e37e9

NIE JESTEŚMY ROBOTAMI

Związkowcy z Inicjatywy Pracowniczej walczą w Amazonie, szwalni i muzeum

Kacper Leśniewicz

Co łączy Gminny Ośrodek Sportu w Gniewie i Starostwo Powiatowe w Złotoryi z magazynami Amazona oraz Teatrem Polskim we Wrocławiu? Wszędzie tam działają związkowcy i związkowczynie z Inicjatywy Pracowniczej. Nie mają etatów, nie dostają wynagrodzenia, nie są przyspawani do stołków. Pracę związkową wykonują w czasie wolnym. Jako pierwsi w Polsce zwracali uwagę na niebezpieczeństwo umów śmieciowych i agencji pracy tymczasowej. Ostatnio o związku było głośno, gdy sieć kawiarni Starbucks chciała na miejsce strajkujących pracowników niemieckich zatrudnić Polaków. Werbunek łamistrajków prawie się udał. Po nagłośnieniu sprawy przez Inicjatywę Pracowniczą Starbucks wycofał ofertę.

9 maja 2015 r., pikieta w Poznaniu w sprawie podniesienia płacy minimalnej i wprowadzenia minimalnego wynagrodzenia godzinowego.

ROZPOZNANIE BOJEM

– Hańba, hańba, hańba! – krzyczą przez megafon związkowcy na manifestacji przed siedzibą firmy Trend Fashion. Jest lipiec 2014 r. Krakowska Inicjatywa Pracownicza staje w obronie wyzyskiwanych szwaczek zatrudnionych przez firmę z Myślenic, która szyje garnitury dla takich firm jak Vistula i Próchnik. Kobiety miesięcznie zarabiały 1,1 tys. zł. Uszyty garnitur kosztował w sklepie 1,3 tys. zł. Szwaczki podjęły dwugodzinny strajk, domagając się podwyżki o 100 zł i poprawy warunków pracy. Kilka zostało zwolnionych zaraz po strajku. – Pamiętam, że było nas pięć osób. Wręczyliśmy dyrekcji postulaty pracownic i poinformowaliśmy, że od tej pory to my je reprezentujemy. Trafiliśmy na wychodzącą zmianę. Przekazaliśmy pracownicom ulotki, mówiły, że jak związkowe, to wezmą więcej – opowiada Katarzyna z krakowskiej Inicjatywy Pracowniczej. Prezes firmy jednak zlekceważył grupkę związkowców. Do akcji włączyli się klienci z całej Polski. Odbiorcy ubrań zaczęli dostawać listy z groźbami bojkotu konsumenckiego. Przed sklepami Vistuli w Krakowie i Warszawie protestujący solidaryzowali się ze szwaczkami. – To była reakcja łańcuchowa. Rozpoznanie bojem. Wiesz, na kim możesz polegać. Taki czas, gdy związkowcy łapią wiatr w żagle. Dla nas w Krakowie to był moment formacyjny – mówi Katarzyna.

Beata zaraz po studiach rozpoczęła pracę w administracji publicznej. Zanim minął miesiąc, z kolegami i koleżankami założyła związek zawodowy. Pierwsza komisja zakładowa w historii instytucji. Zaczęli od praw kobiet i molestowania seksualnego. – Koleżanki często zwracały uwagę na problemy

Przeciwko czemu protestujemy?

Przeciwko wszelkim formom ucisku kobiet. Przeciwko niskim płacom, ciężkim warunkom pracy, cięciom zabezpieczeń socjalnych, niewydolnej służbie zdrowia, ograniczaniu dostępu do mieszkań, niedofinansowaniu opieki i edukacji, nadmiernemu obciążeniu pracą w domu, głodowym emeryturom, przyzwoleniu na przemoc, ograniczaniu praw migrantek i migrantów, zmuszaniu nas do bycia posłusznymi obywatelkami, pracownicami, matkami i żonami.

Czego chcemy?

Całkowitego opłacenia naszej pracy, bez względu na to, czy wykonujemy ją w fabryce, w szkole, w biurze czy we własnym domu. Rozwoju publicznych instytucji opiekuńczych dla dzieci i osób starszych, dostępu do środków utrzymania, których potrzebujemy na co dzień, powszechnej opieki medycznej, bezpieczeństwa socjalnego, wpływu na wszystkie dziedziny naszego życia, wyzwolenia się z roli taniej siły roboczej.

eprasa.pl b7ef0e37e9

z erotycznymi sugestiami ze strony kolegów. Udało nam się przekonać dyrekcję do szkoleń na temat molestowania – wspomina Beata. Potem zajęli się zakładowym funduszem świadczeń socjalnych. Wywalczyli dopłaty do przedszkoli. Większość osób z powodu braku miejsc w placówkach publicznych wysyłała dzieci do prywatnych. Rodzice zaczęli otrzymywać 700 zł miesięcznie.

Anna po wielu doświadczeniach z pracą w pubach zatrudniła się w Bunkrze Sztuki w Krakowie. Dział obsługi wystaw – to brzmiało ciekawie. W galerii dominowała sztuka współczesna, ale była też klasyka. Zwłaszcza w relacjach kierownictwa z pracownikami. – Ci z działu obsługi zlewali się szefostwu z elementami dekoracji. Czuliśmy się trochę jak ruchome meble. Nikt nie chciał nas słuchać. Zarabialiśmy 8 zł brutto za godzinę. Część pracowników miała poczucie tymczasowości – Anna nie kryje goryczy. Sytuację zmieniła rozmowa z kierowniczką. Okazało się, że znają języki, skończyli historię sztuki i galeria może mieć z nich pożytek. Dzisiaj komisja środowiskowa w Bunkrze Sztuki zajmuje się pisaniem regulaminów i czuwa nad konkursem na dyrektora.

– Powiedzieli, że jak przyjdą do naszego biura i zobaczą sekretarkę, marmury, to więcej ich nie zobaczymy – wspomina Agnieszka z Amazona. W Poznaniu biuro związku to klitka w starej kamienicy. Stolik, dwa krzesła, czajnik i stara szafa. – Ludzie przyszli, zobaczyli to i z nami zostali – Agnieszka ma na myśli grupę zdeterminowanych, którzy odczuli, czym jest zatrudnienie w Amazonie. – Dostaliśmy pozytywnego kopa, gdy wymyśliliśmy hasło „Nie jesteśmy robotami". Praca ze świadomością, że posługując się skanerem, kręcisz na siebie bat, nie jest przyjemna.

– Najchętniej do naszego związku zapisują się ludzie w średnim wieku. Mają większe doświadczenie, wiedzą doskonale, że pracodawcy stosują różne strategie wykorzystywania pracowników – tłumaczy Adam. Oni mówią otwarcie o potrzebie wsparcia i pomocy. Młodzi pracownicy częściej uważają, że sobie poradzą. Najaktywniejsze są kobiety. W Amazonie normą w okresie przedświątecznym są nadgodziny. – A to najbardziej uderza w kobiety. Gdy zmienia się grafik, rujnuje to ich precyzyjny rozkład dnia: o tej porze obiad, o tej odebrać młodsze dziecko z przedszkola, o tej iść na wywiadówkę… – opowiada Adam. W maju i czerwcu zeszłego roku Inicjatywa Pracownicza zorganizowała referendum strajkowe. Za strajkiem zagłosowało ponad 2 tys. osób, ale i tak za mało, żeby referendum było ważne. Wynik stanowił jednak sygnał alarmowy dla spółki. Amazon podniósł stawki dla pracowników magazynowych – będą zarabiać 15 zł za godzinę. Osoby pracujące dłużej niż rok – o złotówkę więcej.

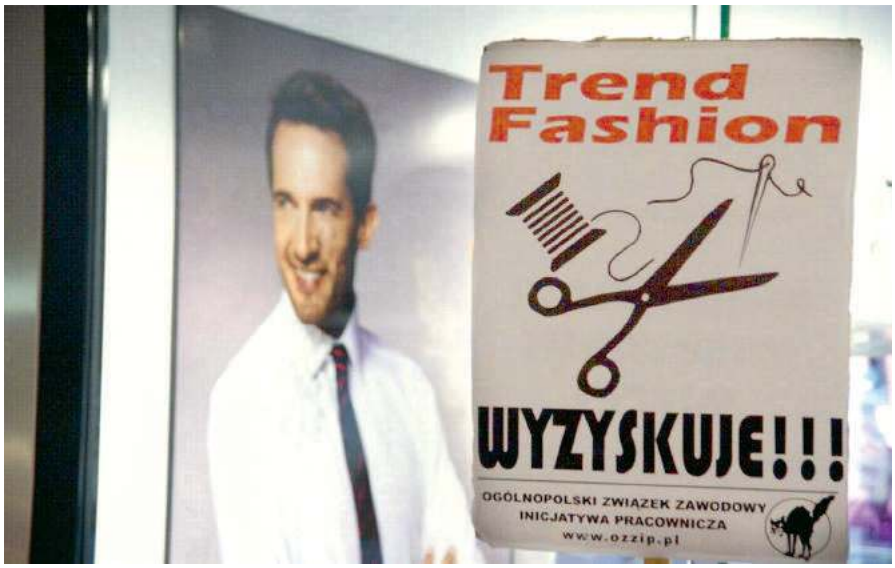

Protesty przed sklepami, które sprzedawały ubrania szyte przez wykorzystywane pracownice.

CENA ZA OPÓR

Nie mniejsze pole do działania mają związkowcy w administracji publicznej. Zwłaszcza kiedy zmieniają się ekipy. – Z dyrektorem przychodzą nowi naczelnicy. Zaczyna się presja na podporządkowanie nowemu kierownictwu. Mieliśmy dyrektora, który kilka razy dziennie groził nam zwolnieniami. Mały sprzeciw i już stanowcze: „Nie podoba się, to 100 osób jest na twoje miejsce". Okresy przejściowe były najbardziej wyczerpujące psychicznie – relacjonuje Dawid.

Nowe kierownictwo próbuje też podporządkować sobie związkowców. – Dyrekcja przyjęła nas serdecznie, na zasadzie: wiecie, rozumiecie, jakaś część kierowników pewno się zmieni, ale damy radę. Szybko jednak przystąpiła do ataku. Zaczęła od rozbijania związku od środka – wyjaśnia Beata. Każdy, kto wystąpił albo do niego nie przystąpił, mógł liczyć na podwyżkę. Wszystkim, na których padło podejrzenie, że należą do komisji zakładowej, na długi czas zablokowano pensje. – Część pracowników bała się ze mną rozmawiać. Obawiali się, że kierownik posądzi ich o działanie wywrotowe – wspomina Beata. Żeby ograniczyć jej kontakty z pracownikami, kierownictwo przeniosło ją na inne piętro. Beata: – Mieliśmy oddzielne wejście. Formalnie było tam biuro, ale przeniesiono tylko związkowców.

Firma Trend Fashion płaciła szwaczkom 1,1 tys. zł miesięcznie. Uszyty garnitur kosztował w sklepie 1,3 tys. zł.

W Amazonie represje wobec związkowców IP są różnego rodzaju: od utrudniania codziennej pracy do zwolnień dyscyplinarnych – niezgodnych z prawem. Związek w sądzie pracy często więc wygrywał i związkowcy dostawali wysokie odszkodowania. Sprawy trwają jednak dwa-trzy lata. – Ja byłam w Amazonie operatorką wózków widłowych, co jest uważane za lżejszą pracę w magazynie. Jak zaczęliśmy organizować pikiety przed firmą, trwał spór zbiorowy, który zakończył się referendum strajkowym, przeniesiono mnie na taśmę, gdzie praca jest nużąca, łatwiejsza do nadzoru i regulowana przez wysokie normy – opowiada Agnieszka. To samo spotkało kilka innych osób ze związku, zostały bez ich zgody przeniesio-

eprasa.pl b7ef0e37e9

ne, mają zakaz chodzenia do działów, gdzie jest większy kontakt z ludźmi. Menedżerowie powtarzają: „Takie jest zapotrzebowanie na waszą pracę", ale wszyscy wiedzą, że te zakazy dotyczą związkowców.

ZWIĄZKOWCY NIETYPOWI

Czym Inicjatywa Pracownicza różni się od innych związków? – Wpisuje się w nurt walki klasowej. Patrzymy na problemy pracowników nie przez pryzmat pojedynczego złego szefa, ale systemu, w którym funkcjonujemy – tłumaczy Kuba. Nie fetyszyzują dialogu społecznego, który w ostatnich latach sprowadzał się do pustych haseł. Nie boją się też konfliktu, choć w Polsce gdy pracownicy grożą strajkiem, wstrzymaniem produkcji i odmową dalszych rozmów z właścicielami firm, media wspólnie ze środowiskami przedsiębiorców uruchamiają antypracowniczą nagonkę.

W działania IP włączają się ludzie z bardzo różnych grup zawodowych. – Jest dużo osób pracujących w sektorze kultury. Tam można zauważyć tendencję do przykręcania śruby ideologicznie i ekonomicznie – mówi Kuba. Stąd być może biorą się opinie, a nawet zarzuty, że Inicjatywa Pracownicza to związek dla klasy średniej. – Pamiętajmy, że w instytucjach kultury są nie tylko artyści, ale też pracownicy techniczni, pomocniczy, sprzątający – odpiera oskarżenia Kuba. – Wiele osób wciąż nie dostrzega, że klasa pracująca nie ogranicza się do wielkoprzemysłowej klasy robotniczej z przemysłu ciężkiego. To także zatrudnieni w edukacji, kulturze, pomocy społecznej, mediach – mówi Kuba. Z tej perspektywy dużo łatwiej dostrzec wspólny mianownik między osobą pracującą przy rozładunku w Amazonie a pracownikiem Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. W tej ostatniej instytucji komisja zakładowa powstała jako odpowiedź na zatrudnianie poprzez agencję pracy tymczasowej.

Działania Inicjatywy Pracowniczej wykraczają poza granice miejsc pracy i poza horyzont dotychczasowej aktywności związkowej – porusza kwestie mieszkaniowe, wspiera lokatorów, angażuje się w ogólnopolskie protesty kobiet, sprzeciwia mowie nienawiści. Na tle Solidarności, która ostatnio odgrywa w wielu miejscach rolę żółtego związku, czyli stojącego po stronie pracodawcy, konsekwentnie wypracowuje zaufanie publiczne.

ŻYCIE W ZWIĄZKU

Dla Anny działalność związkowa to integralny element życia. – Związek sprawia, że czuję się bezpieczniej. Idę do pracy ze świadomością, że gdy pojawią się problemy, mogę liczyć na wsparcie – opowiada.

– Związkowy megafon i syrena zmieniły mnie – przyznaje Krzysztof. Kilka lat temu był nieśmiałym i małomównym chłopakiem zainteresowanym polityką. Dzisiaj często to on podczas manifestacji wykrzykuje hasła w obronie wyzyskiwanych. – Związek zawodowy pomógł mi się otworzyć i nabrać pewności siebie. Zmieniły się także moje relacje z innymi.

– Bardzo emocjonalnie angażuję się w sprawy wielu ludzi. Konfliktowe momenty, historie strajków obnażyły w moich oczach kapitalizm z jego stosunkami pracy i przemocą ekonomiczną – mówi Beata. Związek to ludzie – podkreślają wszyscy zgodnie. Na co dzień praca związkowa jest ciężka: monitorowanie sygnałów o łamaniu prawa pracy, organizowanie manifestacji, pomoc prawna, redagowanie pism do sądu pracy, skargi do inspekcji pracy i pomoc w korespondencji z pracodawcą. – Nie twierdzę, że to idylla, ta praca wymaga czasu i skupienia, ale np. wczoraj otrzymaliśmy wsparcie finansowe i rzeczowe od osób, których nawet nie znam. To jest pozytywny kopniak, gdy masz świadomość, że ktoś śledzi nasze działania i aktywnie nas wspiera – zapewnia Beata.

– Praca w Amazonie na nocnej zmianie i aktywność związkowa kosztują dużo wysiłku, ale tak wygląda życie sporej części z nas – opowiada Adam. – Walka trwa, cały czas się uczymy, także od zagranicznych kolegów. Mam mocne przekonanie, że pracownicy powinni działać w związkach zawodowych, że istnieje konflikt pomiędzy pracą i kapitałem, a społeczeństwo jest podzielone na klasy.

– Dla mnie bycie w związku oznacza bycie częścią bardzo ważnej sprawy, którą jest walka z kapitalizmem – dodaje Beata.

Inicjatywa Pracownicza współpracuje i wymienia doświadczenia ze związkami za granicą. We Francji, w Grecji, w Hiszpanii i we Włoszech istnieją związki odwołujące się do podobnych tradycji politycznych. W Niemczech pracownicy podobnie jak w Polsce stawiają opór Amazonowi. Kontekst globalny kapitalizmu, to, że coraz więcej firm przenosi zakłady z miejsca na miejsce, napuszczając na siebie pracowników, powoduje, że wspólnych tematów do rozmów jest wiele. – Kiedy wydawaliśmy broszurę o migracji i migrujących pracownikach, korzystaliśmy z bogatego dorobku kolegów z Włoch, którzy organizowali zatrudnienie imigrantów w logistyce. Śledziliśmy też, jak w Szwecji pracowano z imigrantkami zatrudnianymi w gastronomii – mówi Kuba. Francuzi mogą z kolei dowiedzieć się od Polaków, jak wyglądał proces wprowadzania rozwiązań na większą skalę uderzających w prawo pracy. Oni to mają przed sobą.

Kacper Leśniewicz

W Amazonie stosuje się represje wobec związkowców: od utrudniania codziennej pracy do zwolnień dyscyplinarnych.

FOT. FB.COM/INICJATYWAPRACOWNICZA (2), JACEK TRUBLAJEWICZ/REPORTER

eprasa.pl b7ef0e37e9

PTAKI CIERNISTYCH KRZEWÓW

Osoby bezdomne są dla nas na ogół przezroczyste

ANNA MACHALICA-PUŁTORAK

Rozmawia Mikołaj Szwarc

– społeczniczka z krwi i kości, defetystka i zarazem niepoprawna optymistka. Założycielka Stowarzyszenia Otwarte Drzwi niosącego pomoc osobom zagrożonym wykluczeniem społecznym. Ambasadorka Konwencji ONZ o prawach osób z niepełnosprawnościami. Z wykształcenia socjolożka. Pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego.

Podopieczni wybierają się dzisiaj do teatru?

– Tak, na „Piotrusia Pana". To o nich, dla nich. Gdyby mógł pan dzisiaj posłuchać, jak się opierali! Staramy się im dostarczać tzw. strawy duchowej i intelektualnej. Udało nam się tanio zorganizować zbiorowy bilet dla uczestników programu wychodzenia z bezdomności, tylko że oni nie chcą iść do teatru! Zapierają się jak osły! Czasem nawet trzeba ich przymuszać. Dopiero jak ktoś pójdzie, a często wcześniej nie był w teatrze w ogóle albo był na jakiejś nudnej szkolnej lekturze, jest nam potem wdzięczny. Kultura, sztuka to dla wielu osób bezdomnych obcy świat. Nie rozumieją go, nie znają, nie czują. A kontakt z kulturą ma olbrzymie znaczenie w procesie powrotu do społeczeństwa.

Co musi się wydarzyć, żeby ten człowiek zechciał wrócić do społeczeństwa?

– Czynników jest wiele i nie każdy na każdego zadziała tak samo. Jednak zawsze musi zaistnieć jakaś chemia czy nawet dosłownie fizyka. Na niektóre osoby działa głód. Bywa też tak dokuczliwy chłód, że nie można go znieść, i choć człowiek bardzo nie chce iść do placówki, to w końcu idzie. Ze strachu przed śmiercią. Ale nie na wszystkich to działa. Są tacy, którzy przyzwyczajają się nawet do ekstremalnych warunków. Nigdy nie zapomnę pewnego młodego człowieka, wówczas 22-letniego, studenta, który zrobił sobie domek w chaszczach niedaleko Biblioteki Uniwersyteckiej. Tam, na skraju parku, rosną takie mocno kolczaste chaszcze. I on w nich całe lato koczował, w sąsiedztwie biblioteki i setek studentów. Ten człowiek uciekł z domu, zerwał z rodziną, upozorował samobójstwo i uwił gniazdo w tych ciernistych krzewach.

Ptak ciernistych krzewów?

– Dosłownie. Obserwowałam go przez pewien czas, a później zaczęłam z nim rozmawiać i okazało się, że ma bardzo bogatą wiedzę, bo studiował stosunki międzynarodowe. Widać było, że moje zainteresowanie i zwykła bezinteresowna życzliwość zrobiły na nim wrażenie. Za którymś razem namówiłam go, żeby mi towarzyszył, i tak trafił do naszej placówki. Po kilku miesiącach choroba się odezwała i uciekł, później znów wrócił.

> Musi być ktoś, kto wzmocni człowieka wychodzącego z bezdomności.

Choroba?

– Uaktywniła się u niego schizofrenia, chociaż z nią zaczął sobie radzić, ale potem dopadła go depresja. Nie zdecydował się nigdy na diagnozę, sam próbował zapanować nad chorobą i w końcu mu się udało. Został nawet agentem ubezpieczeniowym. Tutaj wystąpił czynnik emocjonalny, po prostu znalazł otoczenie, które go zaakceptowało. Pochodził z rodziny rolniczej, bardzo autorytarnej, i nie wytrzymał tej presji. Stawiano mu wysokie wymagania, a on tęsknił za pewną niezależnością, możliwością stanowienia o sobie. Naraziłam się jego rodzicom, złożyli doniesienie do prokuratury. Wie pan, ja tutaj właściwie nic nie zrobiłam.

Zwróciła pani na niego uwagę. Założę się, że widziało go kilkaset innych osób, ale to pani się nim zainteresowała. Czy można zatem powiedzieć, że osoby bezdomne czekają na to, aż ktoś zwróci na nie uwagę i powie, że ich życie wcale nie musi tak wyglądać, że jest dla nich szansa?

– Oczywiście. Zwyczajne ludzkie zainteresowanie, życzliwość też może być bodźcem do zmiany. Część pragnie wrócić do społeczeństwa, by na nowo odnaleźć sobie w nim miejsce, w którym będą odczuwać akceptację, zainteresowanie i życzliwość. Czasem czują się zawstydzeni, że tak nisko upadli, ale nie wiedzą, jak wrócić. Na ogół osoby bezdomne są dla nas przezroczyste.

DYLEMAT DAWANIA

Dopóki nie poproszą o 2 zł.

– No właśnie, to dawanie jest kolejnym czynnikiem pozwalającym im utrzymać się na powierzchni życia. Mają na jedzenie, ale też na alkohol i inne używki, które podsycają złudną wiarę w to, że są normalni, a przecież normalnie nie żyją. Dając zatem te 2 zł, niejako utrzymujemy człowieka w aktywności, ale nie roz-

eprasa.pl b7ef0e37e9

wiązujemy w żaden sposób problemu i nie pomagamy w powrocie do społeczeństwa.

Zaczepiony na ulicy człowiek staje przed dylematem moralnym. Z jednej strony chciałby pomóc, a z drugiej wie, że to i tak pójdzie na piwo i w niczym nie pomoże. Jak w takim razie powinniśmy się zachować?

– Śpieszący się gdzieś przechodzień nagle znajduje się w takiej trochę opresyjnej sytuacji, więc najlepiej byłoby dać wizytówkę z informacją o tym, gdzie można się zgłosić. Ja mam je zawsze przy sobie. Ewentualnie jeśli sprawa wygląda poważnie, możemy zadzwonić pod 112. Najgorsze są datki na alkohol i narkotyki. To dylemat nie do rozwiązania, bo nigdy pan nie wie, czy ten człowiek rzeczywiście nie potrzebuje pomocy i nie umiera z głodu. Ja mam z tym zawsze ogromny kłopot. Był w Polsce okres powszechnego żebrania, zwłaszcza przez Romów, przez dzieci, kobiety. I wiadomo było, że jeśli te dzieci czy kobiety nie wyżebrzą wystarczająco dużo, będą maltretowane. To jest taki dylemat, którego nie da się rozwiązać. W takiej sytuacji każdy musi sam decydować, jak się zachowa.

Nie ma żadnych rozwiązań?

Remedium na tę bolączkę byłaby właściwa polityka społeczna, która nie będzie zmuszała ludzi do żebrania. Problem bezdomności trzeba będzie rozwiązać prędzej czy później, a żeby to zrobić, należy budować więcej mieszkań, prowadzić inną politykę w zakresie uzależnień. A tutaj spotykamy się z wielką hipokryzją państwa, które czerpie olbrzymie dochody ze sprzedaży alkoholu. Część tego dochodu przeznacza się na leczenie. Najpierw rozpija się naród, a później go leczy. Trochę śmieszne.

Nawiążę jeszcze do pytania o to, co powoduje, że osoba bezdomna wraca do społeczeństwa. Bywa tak, że służby miejskie siłą zabierają człowieka z ulicy. Ważnym elementem są pracownicy socjalni, starający się interweniować właśnie na ulicy, myślę tu o streetworkerach. To nowy zawód, o który się upominamy. Najskuteczniejsze w tej profesji są osoby, które same wyszły z bezdomności i w sposób szczery, autentyczny mogą „druha" z ulicy przekonać do zmiany. Jednym słowem, bezdomny pomaga bezdomnemu. To działa.

Kto sam wcześniej to przeżył, wie, z jakimi ograniczeniami boryka się bezdomny.

– I wie, że warto. To niezwykle ważne, żeby w danym momencie udzielić adekwatnej pomocy. Jeśli człowiek zdecydował się przyjąć pomoc, należy mu zapewnić pracę, byt i wesprzeć w tym powitaniu z normalnym światem, a ono wcale nie jest przyjemne. Jeżeli ten ktoś ma długi, a na ogół ma, gdy pójdzie do pracy, komornik zabierze mu zarobione pieniądze. Z tego punktu widzenia nie opłaca się wracać do normalności. Mieliśmy przypadki, że ludzie z tych właśnie powodów rezygnowali. Jeśli w tym najważniejszym momencie powrotu osoba bezdomna nie otrzyma fachowej pomocy trenera personalnego, doradcy, pracownika socjalnego, który pójdzie do sądu i poprosi o zmniejszenie kary, pójdzie do banku, wytłumaczy, że jednak warto zmniejszyć czy rozłożyć te zobowiązania, bo przecież bank w przeciwnym razie i tak nie dostanie tych pieniędzy – wtedy to się nie uda. Zwrócenie uwagi decydentów w banku, urzędzie itp. na problem, wytłumaczenie im i przemówienie do sumienia nie zawsze jest łatwe. Dlatego musi być ktoś, kto wzmocni wychodzącego z bezdomności. Jeśli ktoś taki się nie znajdzie, trudno mieć pretensje, że podopieczny wraca na ulicę. Lepiej go nawet stamtąd nie wyciągać, nie tworzyć złudnej nadziei.

TRUDNE WYCHODZENIE

Czyli pomoc musi być kompleksowa. No dobrze, udało nam się skłonić bezdomnego do powrotu i co dalej?

– Zamieszkuje w schronisku czy tak jak u nas w domu rotacyjnym.

Zaczyna terapię, psychoterapię?

– Tak, w zależności od potrzeb. Otrzymuje pomoc lekarską, wsparcie w odbudowaniu więzi rodzinnych i zawodowych, bo przecież po jakimś czasie musi iść do pracy. I tu na ogół czyha kolejne niebezpieczeństwo, w postaci pracy na czarno albo na tzw. śmieciówce. Nie pozwalamy naszym uczestnikom na podejmowanie czasowej pracy bez zabezpieczeń. Muszą iść do pracy stałej i do pewnych firm, o co dba już doradca zawodowy. Ilekroć ktoś zaczął pracę

Dając bezdomnemu 2 zł, nie rozwiązujemy jego problemu, nie pomagamy w powrocie do społeczeństwa.

eprasa.pl b7ef0e37e9

w niepełnym wymiarze godzin, na umowę o dzieło albo zlecenie, zawsze źle się to kończyło. Zawsze.

Co jeszcze działa?

– Rodzina. Jeżeli relacje rodzinne nie zostały do końca zerwane, bo czasem tak też bywa, i uda nam się odszukać rodzinę, to również motywuje do powrotu do normalności. Znam sporo osób, które odnowiły kontakty z dorosłymi dziećmi – później te relacje jakoś się ułożyły i stanowiły tratwę, która była ratunkiem dla bezdomnego.

– Nie bardzo. Funkcjonuje tu pewien regulamin, z określonym porządkiem dnia.

A oni niekoniecznie chcą się dostosować?

– Bo wolą sobie poczytać, pogadać. Miałam okazję poznać bardzo interesującego młodego człowieka, który żył w dużej placówce, ale nigdy nie bratał się z mieszkańcami. Zawsze widziałam go na uboczu z książką. Włączyliśmy go do programu, dzięki czemu poszedł na studia filozoficzne, które zresztą ukończył. Dla tego człowieka fakt otrzymania małego mieszkania komunalnego, które sam wyremontował, miał kolosalne znaczenie. Choć w zasadzie nawet o to nie zabiegał; to mnie bardziej zależało, żeby przyznano mu mieszkanie. Czułam, że jego życie inaczej się potoczy i tak faktycznie się stało. Co ciekawe, nawet po ukończeniu studiów nie przestał pracować jako sprzątacz. Zapytałam go kiedyś, czy nie zechciałby zmienić pracy, na co odpowiedział, że ta praca nie jest absorbująca intelektualnie. Część osób wybiera bardzo skromne życie mimo możliwości. Taki trochę buntownik z wyboru.

Spotykamy się z wielką hipokryzją państwa. Najpierw rozpija się naród, a później go leczy.

To niesamowite, widzę, że te osoby, choć wychodzą ze społeczeństwa, najbardziej pragną z powrotem stać się jego częścią.

– Tak, bezdomni i mieszkający na ulicy także budują sobie środowisko, pewną społeczność, subkulturę, ale to jest środowisko towarzyszy niedoli. Obowiązuje w nim określona hierarchia, wykształcają się obyczaje, ale jest też wzajemna pomoc. Organizują się w grupki, wymieniają informacjami. Na przykład w środowisku każdy wie, że pewien duży meblowy dom handlowy przyciąga w zimne dni niektórych bezdomnych darmową kawą. Oni spędzają tam po kilka godzin dziennie, podobnie jak w innych centrach handlowych. Ale to jest elita, arystokracja, bo nie rzucają się tak bardzo w oczy. Ci jeszcze się trzymają, zachowują pozory normalności i samodzielności. Te osoby są dobrym materiałem do pracy.

Mają jeszcze potrzebę zachowania pozorów, wstydzą się.

– Tak, ale dla tej grupy oferta pomocy państwa jest bardzo skromna. W zasadzie można powiedzieć, że jej nie ma. Ponieważ tym osobom trzeba by zapewnić warunki mieszkaniowe, indywidualne. Bo to są indywidualiści. Ktoś by o nich powiedział: bezdomni z wyboru. Oni nie mieszczą się w schematach, nie potrafią się dostosować do reguł placówkowych.

Współcześni miejscy hipisi?

– Trochę tak. Są anonimowi, ale jeszcze utrzymują pozory życia stadnego.

A państwa stowarzyszenie ma dla nich ofertę?

JEDEN SŁABY NA JEDNEGO MOCNEGO

Zakładam, że nie każdy bezdomny kończy filozofię?

– Wśród bezdomnych spotkałam wielu interesujących ludzi, choć oczywiście oni w tej grupie nie dominują. Przeważają ci z problemami alkoholowymi, z narkotykami. Stanowią jakieś 50-60% wszystkich. Mniej więcej 30% to osoby z różnymi zaburzeniami psychicznymi, bardzo trudna grupa. Często dziwnie się zachowują, przez co ludzie się ich boją. Zainteresowanie odbierają czasem jako atak. Takie osoby wymagają bardzo profesjonalnej pomocy psychiatry, psychoterapeuty, a ponieważ o dostęp do tych fachowców trudno, brakuje dla nich wsparcia. Nie ma ani jednego miejsca w Polsce, które udzielałoby pomocy osobom psychicznie zaburzonym i bezdomnym zarazem. W Warszawie nie możemy się doprosić o utworzenie takiego centrum kryzysowego, w którym każdy bezdomny otrzymałby odpowiednią opiekę i poprowadzono by go dalej. To pomogłoby nam także w lepszym zdiagnozowaniu problemu bezdomności. Spisy powszechne mówią o ok. 30 tys. bezdomnych w Polsce, my zaś sądzimy, że jest ich znacznie więcej, bo przecież spis dociera wyłącznie do placówek, a tylko ok. 50% bezdomnych znajduje miejsce w placówkach.

Czy społeczeństwu nie zależy na bezdomnych?

– Powiem smutną rzecz o nas, Polakach: nie jesteśmy dobrymi ludźmi. To nie oskarżenie. Historia pokaleczyła nas, mamy kompleks krzywdy, wiele lat gnębienia za sobą. To przecież wciąż żywa pamięć – zabory, wojna. Później PRL, której polityka całkowicie zwolniła obywateli z naturalnego obowiązku pomocy, bo państwo wzięło wszystko na siebie. Choć to Solidarność stała u podstaw ostatnich zmian systemowych, tak naprawdę w nowych czasach zapo-

eprasa.pl b7ef0e37e9

mnieliśmy, czym jest społeczna solidarność.

Mamy wyścig szczurów zamiast współpracy?

– W związku z tym słabszymi ludźmi mało kto się interesuje. Nie ma w nas poczucia odpowiedzialności za potrzebujących.

Więzi społeczne są zbyt słabe?

– Nie ma ich. Mimo że bardzo dużo teraz się o tym mówi. W dodatku sytuacja polityczna zupełnie nie sprzyja budowaniu więzi. Ich zalążki są właśnie niszczone. Funduje się nam nieufność i nienawiść. Ludzie, którzy to robią, powiem szczerze, będą się smażyć w piekle. A zapłacimy my wszyscy – za to, że im pozwalamy. Moim zdaniem obecna polityka prowadzi do katastrofy w każdym wymiarze, zarówno politycznym, społecznym, jak i gospodarczym.

Co robić?

– Ja wybieram drogę tworzenia kolejnego miejsca pracy dla bezdomnych, kolejnego programu. Wybieram to, co jest w zasięgu moich możliwości. Ale większość nie myśli podobnie, bo gdyby myślała, nie byłoby przyzwolenia na takie działania. Studentom i podopiecznym mówię wprost: na jednego mocnego przypada jeden słaby. Jeden na jednego. Pamiętajmy o tym. Każdy socjolog to potwierdzi. Ale tego poczucia w ludziach nikt nie buduje, nie uczy się tego w szkole.

Nie ma w Polsce ani jednego miejsca udzielającego pomocy osobom psychicznie zaburzonym i bezdomnym zarazem.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Bezdomni także budują sobie społeczność. Są w niej hierarchia, obyczaje, ale też wzajemna pomoc.

Ktoś może powiedzieć, że w ten sposób zwolnimy z odpowiedzialności ową słabszą część.

– Nieprawda. Od tego słabszego są jeszcze słabsi, którym on może nieść pomoc. To może objąć całe społeczeństwo. Prowadzimy program, dzięki któremu niepełnosprawni intelektualnie czy chorujący psychicznie opiekują się osobami starszymi. Robią im zakupy, dotrzymują towarzystwa, pomagają w codziennych obowiązkach, a przecież to są niepełnosprawni i można by pomyśleć, że powinni tylko otrzymywać pomoc. Każdy, nawet ten najsłabszy człowiek, może być pomocny innym.

SENS ŻYCIA

Dla każdego powinno być miejsce w społeczeństwie?

– I może być. A jeżeli go nie ma, to nasza wina. Tych silniejszych. Ci, którym się udało, są okrutni i nieludzcy, zapominają o słabych. Niektórzy są przekonani, że Polacy nie potrafią pokojowo współżyć, że te wszystkie doświadczenia historyczne, zabory i wojna zabiły w nas poczucie wspólnotowości.

Ale czy nie wspólnotowość właśnie pozwoliła nam to wszystko przetrwać? Może nie w wymiarze państwowym, ale oddolnym, rodzinnym, lokalnym?

– Wspólnotowość jest niezbywalnym elementem kultury, mówiąc ogólniej, metakultury. Ona powstaje długo i pewnie te niespełna 30 lat od przemian politycznych w Polsce to za mało. Może potrzeba stu lat lub więcej i może w trakcie tego procesu trzeba przejść przez takie nieszczęścia, z jakimi teraz mamy do czynienia? Nie da się utrzymać takiej polityki na dłuższą metę, z prostego powodu – myślę o duchu niezależności Polaków. O ile nie mamy umiejętności współpracy na co dzień, o tyle duch niezależności jest w nas na pewno. Świetnie się organizujemy w sytuacjach krytycznych.

Czy nie ma pani poczucia, że jako społeczeństwo interesujemy się tematem bezdomności dopiero wtedy, gdy kolejna zima zbiera żniwo?

– To jak najbardziej sezonowy temat, chociaż latem mamy więcej bezdomnych.

Pani dokonania w pomaganiu ludziom są więcej niż imponujące i zasługują na najwyższy podziw. Jak to się stało, że zaczęła pani pomagać potrzebującym?

– Pochodzę ze Śląska Cieszyńskiego, czyli regionu, gdzie tradycje społecznikostwa były naturalne. Rodzice byli członkami różnych kół, świadczyli też pracę na rzecz społeczności, u mnie jest to zupełnie naturalne. Mam to zwyczajnie we krwi. Pamiętam z dzieciństwa, że w pierwszych latach powojennych było w Polsce dużo osób wędrujących. Często chodzili od domu do domu z prośbą o pomoc. I pamiętam, że mama nigdy nie odesłała nikogo z kwitkiem. Zawsze postawiła jakiś stołeczek przed domem, bo bała się tych różnie wyglądających przybyszów zapraszać do środka, i częstowała tym, co miała. Mimo że w domu też była bieda. Podobnie ojciec zawsze służył pomocą, był – jak by to powiedzieć – weterynarzem amatorem, lubił zwierzęta. Zawsze pomagał. Nasiąkłam tym i dla mnie pomoc jest czymś zwyczajnym. Dlatego mam olbrzymie pretensje do szkoły, że nie wykształca takich nawyków.

Stany Zjednoczone są świetnym przykładem aktywności społecznej. Tam jest to zupełnie oczywiste. Ostatnie 20 lat poświęciłam budowaniu organizacji pozarządowej, która niesie profesjonalną pomoc osobom wykluczonym z różnych powodów: braku pracy, bezdomności, niepełnosprawności. Skoro państwo nie

eprasa.pl b7ef0e37e9

chce się zająć pewnymi problemami, musimy zająć się nimi sami. Przez te wszystkie lata działalności żadne partie polityczne, nawet te, które z założenia są socjalne, nie zainteresowały się problemem osób wykluczonych.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to finansowo nieopłacalne.

– Wydaje mi się, że samopoczucie społeczne jest ważniejsze niż tylko PKB.

Ta praca kosztuje panią dużo energii?

– W pracy z osobami słabszymi każdego dnia muszę mozolnie odbudowywać swoje pokłady energii, żeby wytrwać. Tego nauczyłam się w pracy z bezdomnymi. Jeżeli zaczynam jakiś program, to nie mogę zawieść tych ludzi. Bezdomni zabierają dużo siły, a przy tym potrzebują nadziei i optymizmu, które trzeba im dać. To niełatwe, ale możliwe. Tego nigdzie nie można się nauczyć, a przyznam, że czasem w sytuacjach kryzysowych mam ochotę przekląć tę pracę. Dużym wsparciem jest pewność, że jesteśmy potrzebni tym ludziom, że jeśli my im nie pomożemy, nikt tego za nas nie zrobi. Proszę jednak nie myśleć, że mam wysokie wyobrażenie o naszej pomocy.

Ja mam.

– Dziękuję.

Jak się żyje ze świadomością, że osoby, które obdarowuje pani swoim sercem, tak łatwo mogą odejść z tego świata? Przecież człowiek, któremu pani pomaga, jutro może się zapić lub zamarznąć w jakimś pustostanie.

– Nam zdarza się to faktycznie częściej niż w normalnych warunkach. Odzywa się sumienie: czy mogłam zrobić więcej, inaczej? Czasem nie mogę spać. Tego się nie zapomina, potem już się z tym żyje. Z poczuciem frustracji. Szkoda każdego życia. No, ale trudno, nie można się poddawać.

Ma pani w sobie dużo siły.

– Trochę.

Co pani to daje?

– Sens życia po prostu. Tylko tyle.

Chyba aż tyle?

– Wie pan, próbowałam w życiu wielu rzeczy, wszystko mnie interesuje. Wierzę w zwyczajne ludzkie dobro. To dla mnie największa wartość – bycie po prostu dobrym człowiekiem. I w każdym człowieku to dobro jest. Choć w niektórych z nas bardzo głęboko schowane i trzeba odpowiednich „narzędzi", aby je wydostać. Nie poznałam nikogo, kto byłby w całości zły. Tylko życie różnie się układa. Czasem ludzie nie są świadomi, że mają w sobie to dobro.

Na koniec zapytam wprost: co społeczeństwo może mieć z pomocy bezdomnym?

– Lepsze samopoczucie, lepsze mniemanie o sobie. A dzięki temu więcej energii do rozwoju. Jeżeli źle o sobie myśli, ma mniej siły do kolejnych, dobrych zmian. Zrób coś dobrego, a świat będzie dla ciebie piękniejszy, bo dobro zawsze wraca. Czyli można powiedzieć, że dobro się opłaca. Rozwija się to społeczeństwo, w którym obywatele są dla siebie dobrzy.

Mikołaj Szwarc

Ci, którym się udało, są okrutni i nieludzcy, zapominają o słabych.

eprasa.pl b7ef0e37e9

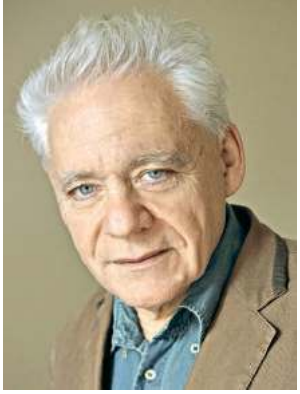

Oko w oko

Tomasz Jastrun

WENTYLACJA MÓZGU

Zamiarem PiS jest gruntowna wymiana elit, niektórzy mówią, że jak w czasach PRL. Po 1945 r. było jednak inaczej. Po pierwsze, panował terror, więc było łatwiej. Po drugie, komuniści uwiedli niemal całą elitę. Zdecydowana większość polskich intelektualistów, naukowców i artystów „po dobremu" dała się złapać w pułapkę nowej wiary. Powody były skomplikowane. Wśród nich poczucie, że sytuacja jest bez wyjścia, był to świat po końcu świata. Teraz jest alternatywa. Zniewolenie umysłu dotknęło wtedy najtęższe umysły.

PiS ma za to niebywałą nędzę intelektualną i artystyczną po swojej stronie. Jakby mało było nieszczęść, niektórzy znani publicyści prawicowi zaczynają mieć wątpliwości. I są wolne media, jest internet. A niemal wszyscy intelektualiści są wrodzy PiS, przygniatająca część inteligencji. Znajomy lekarz ortopeda mówi: „Znam tylko dwóch lekarzy pisowców". Ja natomiast wśród obecnych, czyli „czynnych" znajomych, nie mam nikogo z tej opcji.

•

Kończę grać w tenisa z kolegą. Wchodzi na kort czwórka do debla, panowie w średnim wieku. Jeden cały czas mówi: „Za dumę narodową będziemy płacić 7 zł za litr benzyny. Paranoicy! Wyrzucą nas z Europy, za to będziemy mieć dumę narodową, budżet rozpieprzą, ale będzie to klęska nadziana dumą narodową". Zwraca się do mnie: „Ale jeden z naszej czwórki to pisowiec, pan sobie wyobrazi, a gramy w tenisa tyle lat. Kto by się spodziewał, że spotka nas takie nieszczęście?".

Na parkingu czyha na kierowców ekipa telewizyjna. Zaczepiają mnie, nie wiem, o co chcą pytać, ale kiedy widzę podtykany pod nos mikrofon z logo TVP, mówię: „Nie mogę, mam odruchy wymiotne". Niegrzecznie, prawda. Co z tego, że byłem szczery? Nie zawsze należy mówić prawdę. To nie byli przecież ludzie od programów politycznych. Tu też wraca PRL. Praca w programach informacyjnych była wtedy i jest teraz hańbą.

•

W Międzylesiu jestem u fryzjera, pana Stefana. Śpi smacznie, leżąc na krzesłach. Budzę go niechętnie, mam szacunek dla cudzego snu, bo sam cierpię na bezsenność. Na krześle PRZEGLĄD. Pan Stefan to pisowiec, więc jak to możliwe? Okazuje się, że jakiś klient przyniósł tygodnik. Jednak klientów brakuje. Pytam, ilu miał dzisiaj. „Od rana półtora", odpowiada z właściwą sobie ironią. Potem narzeka na wycinkę drzew. PiS otworzyło tyle frontów naraz, że muszą mu spadać notowania w sondażach. Teraz szykuje się zakaz handlu w niedzielę, co dotknie miliony ludzi. Ma to wzmocnić rodzinność Polaków. Będą mogli dłużej oglądać telewizję publiczną. Pan Stefan, by urozmaicić sobie strzyżenie, włącza telewizor i rządowy kanał. Potok kłamstw i manipulacji działa na mnie jak hipnoza. Jak gardzić muszą Polakami ci, którzy karmią naród taką papką? Że Jacek Kurski jest człowiekiem podłym, zawsze wiedziałem, ale zaskoczyła mnie skala podłości. To jest zbrodnia kłamstwa. I niesamowite, że jego brat Jarosław kieruje teraz „Gazetą Wyborczą". Trudno o większy paradoks.

Już przy kiosku rzucam okiem na pisma narodowe. Okładki w guście karykatur z czasów stalinowskich. W „Gazecie Polskiej" Tusk w mundurze Wehrmachtu. Po co im tyle nienawiści? Zapewne, by wzniecać rewolucyjny zapał. Ale też cierpią na autentyczny szczękościsk, sami sobie przytrzasnęli język. A to boli.

•

Telefon komórkowy zmienia formę umierania i wzmaga współodczuwanie z odchodzącymi. A jednak śmieć zawsze nas zaskoczy, tak jest radykalna jak ostateczne nieistnienie. Jurek zadzwonił do mnie niedawno, byliśmy kiedyś blisko, nie widzieliśmy się dwa lata. Mówił, że ma raka, umiera. Wykryto u niego chorobę w ostatnim stadium. Dzwonię potem do niego codziennie, przez dwa tygodnie, do końca. Zachował pełną jasność umysłu, brak złudzeń i odwagę. W takich chorobach koszmarem jest też to, że człowiek musi jeść, a jak je i pije, musi to wydalić. Cała człowiecza kanalizacja wychodzi na wierzch. Z cierpieniem innych utożsamiamy się najmocniej, jeśli nasza sytuacja jest analogiczna. Starszy ode mnie tylko o dwa lata, też miał późno dziecko, chłopczyk jest w wieku moich chłopców. Nie wolno tego robić dzieciom. Świetny fotograf, artysta. Nie był religijny. A jednak opowiadał mi, że zrobił rachunek sumienia, przypominając sobie wszystkie złe rzeczy, które robił w życiu. Nie po raz pierwszy byłem świadkiem, jak ateista umiera odważniej niż wielu wierzących. Każda wiara podmyta jest niewiarą i na odwrót.

Narodowcy cierpią na autentyczny szczękościsk, sami sobie przytrzasnęli język. A to boli.

•

Żeby zakończyć smutny tekst wesoło. Pani Frania sprzątała u mnie przed laty. Pochodziła z biednej mazowieckiej wsi, malutka, chudziutka, żywa jak iskra. Widząc moją depresyjną biedę, powiedziała: „Bo pan za dużo myśli. Powinien pan mieć bardziej dziurawą głowę, jak ja – pokazuje – tu wchodzi, a tam wszystko wychodzi. Dzięki tej wentylacji jestem szczęśliwa". Pisarz wentyluje się, pisząc, o czym pani Frania nie wiedziała, bo nie umiała czytać.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b7e1be37e9

EUROPEJCZYK Z KARABINEM NA RAMIENIU

Ochotnicze organizacje paramilitarne pojawiają się w całej Europie. Ich cel – zatrzymać napływ muzułmanów

Szkolenie w jednej z bułgarskich organizacji paramilitarnych.

Mateusz Mazzini

Od pierwszych dni lata 2015 r., gdy uchodźcy tysiącami szli przez kraje bałkańskie, słyszymy doniesienia o ruchach paramilitarnych, które z obywatelskiego powołania bronią granic Europy. Militaryzacja sprzeciwu wobec migrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki trwa więc niemal tak długo jak sam kryzys migracyjny. Wielu ekspertów i komentatorów uznało to wręcz za logiczną konsekwencję sytuacji politycznej. W obliczu wzrostu poparcia dla przeróżnych partii populistycznych i przy coraz powszechniejszym zagrożeniu terrorystycznym młodzi ludzie ochoczo łapiący za broń wydawali się zjawiskiem normalnym. A przynajmniej spodziewanym.

Większość z tych organizacji długo pozostawała niegroźna. Ot, gdzieś na Bałkanach kilku byłych wojskowych oraz paru prawicowych radykałów przebrało się w ciuchy z demobilu i przejechało kilka razy wzdłuż granicy. Media głównego nurtu bagatelizowały to zjawisko jako sezonowe, bez podstaw systemowych. Parawojskowi mieli zniknąć tak szybko, jak się pojawili. Wszystko wskazuje jednak na to, że będzie odwrotnie i siły ochotnicze staną się trwałym elementem europejskiego systemu bezpieczeństwa.

> Większość organizacji ma bliskie związki z prawicową ekstremą.

FLOTY I MUNDURY

Z oczywistych względów sercem epidemii paramilitarnej są kraje Półwyspu Bałkańskiego. Tam napływ uchodźców dał się odczuć najmocniej. Na początku jednak obywatelskie patrole monitorujące zewnętrzne granice Unii nie były tak do końca obywatelskie. Pierwsze zorganizowane grupy powstawały bowiem z wyraźnej inspiracji i z pomocą logistyczną radykalnych partii politycznych. Już półtora roku temu internet podbijały wideoklipy promujące samorządowców węgierskiej ultraprawicowej partii Jobbik. Ubrani w bluzy khaki jeździli terenówkami po polach i łąkach południowych Węgier w poszukiwaniu nielegalnych imigrantów. Podobne materiały „promocyjne" rozprzestrzeniały się w Serbii czy Macedonii. Wówczas jeszcze prezentacja działań była bardziej komiczna niż przerażająca. Trudno bowiem wyobrazić sobie kilkutysięczną grupę uchodźców, która przestraszy się kilku mężczyzn, nawet dobrze zbudowanych, stojących na pace terenowej toyoty.

Dzisiaj jednak akcje przybierają coraz bardziej zinstytucjonalizowa-

eprasa.pl b7ef0e37e9

ne formy. Zamiast przypadkowych samochodów z napędem na cztery koła mamy oznakowane floty pojazdów. Zwykłe bluzy ustępują miejsca uniformom z naszywkami. W szeregach organizacji paramilitarnych pojawia się też coraz więcej kobiet, menedżerów średniego szczebla dużych korporacji, przedsiębiorców, a nawet nauczycieli czy wykładowców akademickich. Spontaniczne oddziały pograniczników przestały być przystanią dla sfrustrowanych młodych radykałów i emerytowanych wojskowych. Przeciwnie – zahaczają o coraz to nowe kręgi społeczne, również dzięki przekazowi ideologicznemu.

BUŁGARSKI ŚLAD

Doskonałym przykładem instytucjonalizacji tych ruchów jest Bułgaria, o której niewiele pisze się w zagranicznej prasie, również polskiej, mimo że leży na jednym z głównych szlaków migracyjnych na północ Europy. Tamtejsi paramilitarni założyli Komitet Ocalenia Narodowego. Na jego czele stanął Vladimir Rusev, były zawodowy wojskowy, od kilku lat – jak sam mówi – zajmujący się popularyzacją treningu wojskowego i wskrzeszaniem ducha obronności w narodzie bułgarskim. Rusev, dokładnie przepytany niedawno przez reporterów dziennika „Los Angeles Times", unika odpowiedzi na temat liczebności swojej organizacji. Twierdzi tylko, że zaawansowana logistyka pozwala mu na stały kontakt z jego ludźmi. Dzięki temu w chwili zagrożenia może momentalnie zmobilizować nawet 800 ochotników. Nie podaje nazwisk, ale chwali się, że do Komitetu należą znani przedsiębiorcy, celebryci i byli olimpijczycy.

Nawet reklama internetowa została przez Ruseva wydźwignięta na inny poziom. Podczas gdy Jobbik w swoim klipie objeżdżał pola, bułgarski KON wyemitował w styczniu na YouTube coś w rodzaju relacji z jednego z wypadów. Na filmie widać tereny przypominające pogranicze z Turcją, gdzie kilkunastu członków Komitetu w jednolitych mundurach i w maskach otacza grupę ok. 20 uchodźców, najpewniej z Bliskiego Wschodu.

Nie wiadomo, czy akcja naprawdę miała miejsce ani co ewentualnie stało się z uchodźcami po przejęciu ich przez oddział KON. Wiadomo na pewno, że działania Ruseva są odpowiedzią na coraz większe poczucie zagrożenia zwykłych obywateli. Nie tylko Bułgarii, ale większości europejskich krajów. Sam założyciel Komitetu Ocalenia Narodowego ostro protestuje, gdy dziennikarze nazywają jego organizację paramilitarną. Twierdzi, że od klasycznych bojówek różni ich to, że nie noszą przy sobie broni palnej (milknie jednak, gdy pyta się go o powód noszenia na patrolach długich noży). Anglojęzyczna strona Komitetu informuje również, że oddziały biorą na cel jedynie „islamskich ekstremistów, związanych z takimi organizacjami jak Państwo Islamskie, których działania terrorystyczne zagrażają bezpieczeństwu Europejczyków". Rusev dodaje, że nigdy nie zatrzymują „prawdziwych uchodźców, zwłaszcza Syryjczyków" – KON przeciwdziała napływowi terrorystów.

> W grupach paramilitarnych pojawia się coraz więcej kobiet.

SILNI I SŁABI

I to być może jest główną przyczyną nagłego wzrostu popularności takich formacji jak oddziały Ruseva. Coraz więcej Europejczyków obawia się zagrożenia terrorystycznego w swoich krajach. Co gorsza, wielu nie wierzy już, że instytucje tradycyjnie zajmujące się walką z terroryzmem – wywiady wojskowe, Interpol czy Frontex – są w stanie zapewnić im bezpieczeństwo. Jak wynika z ostatniego badania Eurobarometru, opublikowanego w grudniu 2016 r., migracja i terroryzm to dwa największe problemy Unii według społeczeństw europejskich (wskazało je odpowiednio 42% i 35% respondentów). Ponadto jedynie 36% Europejczyków ufa rządom swoich krajów w kwestii zapewnienia bezpieczeństwa. Nieco więcej (44%) pokłada nadzieję w instytucjach unijnych, ale wciąż większość ankietowanych jest zdania, że istniejące organy nie radzą sobie z terroryzmem w Europie. Ochotnicze oddziały pograniczników wyrastają właśnie na gruncie tego braku zaufania. Europejczycy przestali wierzyć w tradycyjne metody uprawiania polityki bezpieczeństwa i być może ten aspekt zjawiska niepokoi najbardziej.

Warto przy tym zauważyć, że w przeciwieństwie do innych organizacji tego typu Komitet przynajmniej na razie nie flirtuje z nacjonalizmem. W manifeście swojej formacji Rusev zwraca się bowiem „do wszystkich mieszkańców Starej Europy", nie tylko do Bułgarów. W jego wypowiedziach jest mnóstwo odniesień do „wspólnego europejskiego dziedzictwa" czy „kształtowanych przez pokolenia wartości". Może to dawać nadzieję, że oprze się ksenofobicznym wpływom radykalnej prawicy czy populistów.

Rzut oka na paramilitarną mapę Europy każe jednak w to wątpić. Od Estonii po Grecję organizacje mnożą się jak króliki na wiosnę. Zdecydowana większość ma silny element nacjonalistyczny, nawet w nazwie. Jak twierdzi Ilvija Brugge z Łotewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, grupy takie jak Litewska Unia Strzelecka, Łotewska Gwardia Narodowa, Estońska Liga Obronna, Ochotnicze Czeskie Siły Rezerwy czy Węgierski Front Samoobrony są blisko związane z prawicową ekstremą. Trudno zatem się spodziewać, że podczas akcji w terenie będą odróżniać „prawdziwych uchodźców od podszywających się pod nich terrorystów".

Wydaje się, że instytucje unijne stoją w tej walce na straconej pozycji. Frontex od lat domaga się dodatkowych środków i wzmocnienia kadr, a kolejne szczyty unijne nie przynoszą zmian w tej kwestii. Liczby mówią same za siebie. W Bułgarii od wybuchu kryzysu migracyjnego służbę graniczną wzmocniono 88 funkcjonariuszami Frontexu. To dziesięciokrotnie mniej niż jest ochotników Ruseva.

> Tylko 36% Europejczyków ufa rządom w kwestii bezpieczeństwa.

Na szczęście sami Europejczycy wciąż wierzą w powodzenie tego projektu. Choć nie ufają już instytucjom w Brukseli, aż 69% wciąż uważa, że wspólna polityka migracyjna na szczeblu unijnym jest potrzebna. Miejmy nadzieję, że decydenci w rządach poszczególnych krajów, również w Warszawie, nie zignorują tego głosu. ■

FOT. WWW.BNOSHIPKA.ORG

eprasa.pl b7ef0e37e9

CZYNNIK NIEOBLICZALNY

Widmo wojny handlowej zagraża stosunkom niemiecko-amerykańskim

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Pierwsze spotkanie Angeli Merkel i Donalda Trumpa przebiegło w dość chłodnej atmosferze, choć bez większych wpadek. Prezydent USA próbował zachowywać się dyplomatycznie, momentami jednak zwyciężały stare kampanijne nawyki. Pierwsze problemy z komunikacją pojawiły się już po kilku minutach, gdy podczas tradycyjnej sesji zdjęciowej w Gabinecie Owalnym Trump odmówił podania ręki pani kanclerz. Kiedy Merkel ku swojemu zdumieniu zauważyła, że prezydent uparcie ignoruje zachęcające okrzyki fotografów (*Handshake!*), postanowiła sama się o to upomnieć: – Oni chyba chcą, żebyśmy sobie podali rękę. Gospodarz Białego Domu dalej udawał, że nic nie słyszy.

Z kolei podczas konferencji prasowej Trump pokusił się o niefortunny żart w sprawie podsłuchiwania jego i Merkel przez poprzednią administrację Baracka Obamy. – Pod tym względem mamy niewątpliwie coś wspólnego – zażartował.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Swoimi lapsusami Trump wprawdzie ściągnął na siebie niechęć sympatyków Merkel, ale ogólnie niemieckie media uznały jej wizytę w Waszyngtonie za pożyteczną. Na wspólnym briefingu obydwoje zgodnie podkreślili znaczenie NATO jako filaru bezpieczeństwa transatlantyckiego i zapowiedzieli współpracę w realizacji porozumień z Mińska. Trump wyraził uznanie dla podejmowanych przez Merkel wysiłków w celu rozwiązania konfliktu rosyjsko-ukraińskiego i podziękował jej za obietnicę zwiększenia wydatków na obronność, w tym przeznaczenia na nią przynajmniej 2% PKB.

Po agresywnej kampanii wyborczej, podczas której Trump kilkakrotnie zakwestionował sens NATO i skrytykował politykę imigracyjną niemieckiego rządu, nazywając panią kanclerz wariatką, Merkel spodziewała się w Waszyngtonie najgorszych scenariuszy. Kiedy na dodatek prezydent USA zawiesił przyjmowanie uchodźców z kilku krajów muzułmańskich, nad Sprewą wzrosło przekonanie, że jest on zupełnie nieprzygotowany do zajmowania tak ważnego stanowiska. Po wizycie w Waszyngtonie Merkel nie ocenia już polityki zagranicznej USA równie pesymistycznie. Najradykalniejszych pomysłów Trump jeszcze nie zrealizował. Porozumienie nuklearne z Iranem wciąż jest aktualne, a prowokacyjna przeprowadzka amerykańskiej ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy została odwołana.

Wystąpienia sekretarza obrony Jamesa Mattisa i sekretarza stanu Rexa Tillersona na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa pozwalają zakładać, że w kluczowych sprawach Trump otacza się pragmatykami. Nadzieję na lepsze stosunki daje także nominacja na stanowisko doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego Herberta R. McMastera, który nie zamyka się w schematach myślenia swojego poprzednika, zdymisjonowanego niedawno Michaela Flynna. – Rozmawiałem z McMasterem i jestem przekonany, że to klasyczny, obliczalny republikanin, z którym można dobrze współpracować – utrzymuje Christoph Heusgen, doradca ds. zagranicznych w Urzędzie Kanclerskim.

Niepokój Merkel wzbudzały również niejasne rozważania Trumpa na temat Rosji, pojawiające się w trakcie kampanii wyborczej. Także pod tym względem wiele się wyjaśniło. – USA podtrzymują sankcje wobec Kremla i w pełni akceptują porozumienie z Mińska – twierdzi Norbert Röttgen, bliski współpracownik szefowej rządu i przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Bundestagu. Wyraźnym sygnałem, że w sprawie Rosji Trump przestał gasić pożar benzyną, jest powołanie do Narodowej Rady Bezpieczeństwa Fiony Hill, uchodzącej za antyputinistkę i głoszącej poglądy jaskrawo odmienne od zapatrywań Flynna. Jak zaznacza Röttgen, Trump mimo swoich egzaltowanych szarż w kwestiach polityki zagranicznej okazuje się pojętny. – Jeśli nowy prezydent USA po wyborach musiał stwierdzić, że jego szumnie zapowiedziane zmiany w amerykańskiej służbie zdrowia są nierealistyczne, to tym bardziej uznał, że potrzebuje kilku lekcji w sprawie tego, co się dzieje poza granicami USA.

WOJNA HANDLOWA

O wiele większe różnice stanowisk zarysowały się w dziedzinie handlu międzynarodowego. W Waszyngtonie Angela Merkel raz jeszcze wyraziła nadzieję, że Unia Europejska i Stany Zjednoczone wznowią negocjacje w sprawie porozumienia o wspólnej strefie wolnego handlu (TTIP). Trump jednakże potraktował ten apel jako kolejną okazję do podkreślenia, jakim nieszczęściem dla amerykańskiej gospodarki okazała się umowa NAFTA pomiędzy USA, Kanadą i Meksykiem. Na pytanie niemieckiej dziennikarki, czy w kwestiach gospodarczych jest izolacjonistą, prezydent odpowiedział, że tego rodzaju informacje można zaliczyć do *fake news*, choć jest „zwolennikiem sprawiedliwego handlu". Tyle że Trump często przywoływał widmo wojny handlowej z Berlinem, wspierając się argumentem niemieckiej nadwyżki eksportowej.

> W razie potrzeby Merkel będzie budowała europejski front blokujący politykę handlową Trumpa.

Nowy lokator Białego Domu jest może politycznym naturszczykiem, lecz nie sposób mu odmówić doświadczenia w biznesie. Zauważył, że Niemcy są w UE głównym płatnikiem, ale i to, że na wspólnej walucie zyskały najwięcej. Unia monetarna zniosła wszelkie bariery dla niemieckiego eksportu, zapewniając nad Sprewą dekadę bezprecedensowego rozwoju, który zwrócił z nawiązką wydatki poniesione na integrację europejską.

eprasa.pl b7ef0e37e9

Podczas sesji zdjęciowej Donald Trump udał, że nie słyszy zachęt dziennikarzy do podania ręki kanclerz Merkel.

Zdaniem Trumpa Niemcy, zalewając inne rynki (nie tylko w UE) swoimi towarami, działają niesprawiedliwie, co każe traktować TTIP z daleko posuniętą rezerwą. Ale nie chodzi tylko o tę umowę. Jeśli ekonomiści Trumpa zrealizują swoje pomysły, może dojść do ostrego starcia niemiecko-amerykańskiego, co z kolei może się odbić na całej światowej koniunkturze. Prawie co drugie miejsce pracy w Niemczech zależy bowiem od biznesu eksportowego. W 2016 r. Amerykanie nabyli niemieckie towary o wartości 107 mld euro, Niemcy zaś importowały z USA produkty za 57 mld euro. Straty Berlina w przypadku wojny gospodarczej, o której Trump mówił w kampanii wyborczej, byłyby ogromne. Podczas wizyty Merkel dała mu więc do zrozumienia, że jest na taką wojnę przygotowana. Ale oczywiście jej nie chce.

Kanclerz Niemiec zdaje sobie sprawę, że nowojorski „król nieruchomości" darzy biznesmenów większym zaufaniem niż polityków. Do Waszyngtonu przyleciała zatem z szefami Siemensa i BMW, Joem Kaeserem i Haraldem Krügerem, którzy mieli przekonać Trumpa, że niemieckie przedsiębiorstwa zapewniają tysiącom Amerykanów godne miejsca pracy. – Liczba wytwarzanych na terenie USA niemieckich samochodów przekracza już wielkość importu. Jedna trzecia naszych inwestycji zagranicznych płynie do USA – tłumaczy minister gospodarki Brigitte Zypries.

EUROPEJSKI FRONT

A co, jeśli Trump rzeczywiście rozpęta wojnę handlową z Unią albo tylko z Berlinem? Stosunki z USA były jednym z wiodących tematów na ostatnim szczycie w Brukseli. – Merkel nie chce konfliktu gospodarczego ze Stanami Zjednoczonymi, ale w razie potrzeby będzie budowała zwarty europejski front, blokujący politykę handlową Trumpa – uważa Hans-Ulrich Jörges, publicysta tygodnika „Stern". Zadaniem takiego frontu byłaby stopniowa izolacja gospodarcza USA. Unijna komisarz ds. handlu Cecilia Malmström zintensyfikowała w tym celu negocjacje w sprawie zawarcia porozumień handlowych z mocarstwami w innych regionach, np. z Japonią, Indiami oraz Australią.

Gospodarcze starcie na linii USA-UE jest całkiem możliwe. W środowisku Trumpa coraz większe znaczenie ma bowiem Peter Navarro, który za głównego wroga obok Chin uważa właśnie Niemcy. – Niemcy od lat sprzedają Amerykanom więcej, niż od nich kupują, to dla nas realny problem, który trzeba rozwiązać – żądał w lutowym wywiadzie dla amerykańskiego „Forbesa". Przedmiotem medialnych dociekań stały się insynuacje Navarra, jakoby Niemcy celowo manipulowały europejską walutą, aby zapewnić swoim firmom większe zyski z handlu zagranicznego. Zanim Trump został prezydentem, Navarro uchodził za dziwoląga, naukowca snującego teorie spiskowe. Dziś jest głównym ekonomistą nowej ekipy, pomysłodawcą podatku wyrównawczego – obłożenia podatkami wyrobów importowanych do USA, podczas gdy amerykańskie produkty przeznaczone na eksport byłyby zupełnie zwolnione z ceł.

Trump zauważył, że Niemcy są państwem, które na wspólnej unijnej walucie najwięcej zyskało.

Zdaniem Merkel te pomysły nie są wzięte z sufitu. – Poważnie się je rozważa i mogą być iskrą wzniecającą konflikt handlowy – ostrzega Peter Altmaier, szef Urzędu Kanclerskiego. Wcielając te plany w życie, administracja Trumpa złamałaby jednak ustalenia podatkowe Światowej Organizacji Handlu. Niemcy mogłyby więc pozwać Stany Zjednoczone, choć to może nie wystarczyć do zastopowania pomysłów ekonomisty nowego prezydenta. Jedynym wyjściem by-

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b7ef0e37e9

łoby wówczas nałożenie przez Unię stopniowo podnoszonego cła na amerykańskie produkty. W tym zakresie prawo jest dość elastyczne. Pozostaje też możliwość zwrócenia narzuconych przez USA podatków w niemieckim urzędzie skarbowym. To wyrównałoby powstałe w ten sposób deficyty. Unia Europejska wytacza poza tym procesy niektórym amerykańskim koncernom, takim jak Google. W oczach Brukseli firma z kalifornijskiego Mountain View faworyzuje własne produkty kosztem konkurencyjnych rozwiązań. W ten sposób znana wyszukiwarka generuje w Europie większe zyski niż w samych Stanach. Google teoretycznie może zostać ukarany grzywną nawet 6 mld dol. Bruksela mogłaby w każdej chwili wykorzystać takie zagrożenie jako instrument nacisku. Ostatecznością byłoby nałożenie ceł zaporowych, takich jakie chce użyć Komisja Europejska, broniąc się przed ekspansją chińskiej gospodarki. Byłoby jednak przykre, gdyby zastosowano je w wojnie handlowej z USA, które do niedawna uchodziły za sojusznika.

Taki scenariusz wcale nie musi się ziścić. Podczas spotkania w Gabinecie Owalnym prezydent USA nie szczędził pochwał takim firmom jak Siemens i niemieckiemu programowi szkolenia zawodowego, który – jak stwierdził – może być dla USA przykładem do naśladowania. Angela Merkel także nie chce dolewać oliwy do ognia, tym bardziej że wybory parlamentarne tuż-tuż. Woli utrzymać pragmatyczne stosunki z Donaldem Trumpem, bo fakt, że wraz z jego zwycięstwem republikanie zdobyli także większość w Kongresie i Senacie, pokazuje, że odrzucenie poprzedniego systemu ma charakter trwały i trzeba z tym się pogodzić.

Z drugiej strony kanclerz Merkel nie chce wypaść jak premier Wielkiej Brytanii Theresa May, która po wizycie w Waszyngtonie została oskarżona przez rodaków o lizusostwo. W każdym razie wypowiedzi niemieckich polityków świadczą o tym, że działania Trumpa w zakresie handlu charakteryzuje niepewność. – Prezydent USA nie przestaje obiecywać, że otoczy gospodarkę swojego kraju murem protekcjonizmu w postaci ceł i taryf. To może pociągnąć za sobą recesję na całym świecie – martwi się Röttgen. Znamienne, że słowa te padają z ust doradcy Angeli Merkel, który jest specjalistą w uzasadnianiu optymizmu. Sama kanclerz na pytanie dotyczące osobliwego stylu nowego prezydenta USA odpowiedziała dyplomatycznie: – Każdy polityk jest inny, chodzi nam tylko o dobre stosunki transatlantyckie. Po czym ponowiła zaproszenie na majowy szczyt G20 w Hamburgu.

Problem w tym, że nie wiadomo, czy Trumpowi zależy na dobrych stosunkach z Niemcami, zwłaszcza że ma zupełnie inne problemy. FBI nie tylko potwierdziło, że jego zarzuty pod adresem Baracka Obamy dotyczące podsłuchów są wyssane z palca, ale też uzyskało informacje, że doradcy nowego prezydenta mogli się kontaktować z rosyjskimi agentami w celu koordynacji działań mających zaszkodzić kampanii Hillary Clinton. No i nie wiadomo, czy Merkel za kilka miesięcy będzie nadal szefową niemieckiego rządu.

Wojciech Osiński

eprasa.pl b7ef0e37e9

Bogdan Galwas

LUDZIE I GRANICE

Jest tylko jedna droga do pokoju na Ukrainie: zapytanie mieszkańców Donbasu i Krymu, jaką przyszłość państwową chcą wybrać

Podejmuję temat o wielkiej wadze, bo skutkujący od lat trudnymi do wyobrażenia katastrofami dotykającymi ludzi w wielu miejscach naszego niespokojnego globu. Wszyscy jesteśmy obywatelami jakiegoś państwa, członkami pewnego społeczeństwa, żyjemy w kraju mającym określone granice. Jestem zadowolony z granic mojego kraju, jak pewnie większość współobywateli. Jednak nie wszyscy na świecie są zadowoleni z kraju, w którym przyszło im żyć. Wielu chce coś zmienić.

Swego czasu miałem wielu przyjaciół w Czechosłowacji – w Bratysławie, Pardubicach, Pradze. Pewnego razu dowiedziałem się, że Słowacy chcą wydzielić sobie z Czechosłowacji własne państwo. Byłem zaskoczony i zdumiony. Pytałem przyjaciół Słowaków, czemu podjęli to dzieło. Moim zdaniem wyjaśnienia nie były przekonujące. Jednak Słowacy byli zdeterminowani i zamierzali utworzyć własne państwo; uznali się za naród i skorzystali z prawa do samostanowienia, czyli z prawa do utworzenia własnego państwa. 1 stycznia 1993 r. Czesi i Słowacy podzielili sprawnie Czechosłowację na Czechy i Słowację, bez cienia wrogości, bez jednego wystrzału, zachowując znakomite relacje i wzajemny szacunek. Co za wspaniałych sąsiadów mamy na południu!

Mieszkańcy Symferopola widzą swoją przyszłość w Rosji.

SZKOCI LEPSI NIŻ IBO

Czy ludzie zamieszkujący określone terytorium, połączeni językiem, religią, pochodzeniem plemiennym, kolorem skóry itp. mają prawo uznać się za naród i zażądać utworzenia własnego państwa? Z największym przekonaniem twierdzę, że mają takie prawo. Brytyjczycy niedawno zapytali Szkotów, czy chcą być z nimi we wspólnym państwie, czy wolą utworzyć własne. Większość Szkotów opowiedziała się za Zjednoczonym Królestwem. Z uznaniem przyjęliśmy referendum, z szacunkiem ich decyzję. Kto wie, czy w najbliższych latach Hiszpanie nie zadadzą Katalończykom podobnego pytania.

Jednak 50 lat temu Wielka Brytania odmówiła uznania istniejącego w latach 1967-1970 państwa Biafra. Utworzone przez lud Ibo państwo obejmowało wschodni region Nigerii, dawnej kolonii brytyjskiej. Lud Ibo miał prawo do samodzielnego państwa, encyklopedia szacuje jego liczebność na 34 mln, wobec 190 mln mieszkańców całej Nigerii. Jednak rząd centralny Nigerii, a także rząd Wielkiej Brytanii były innego zadania. Wojskowa interwencja Nigerii spowodowała, że zginęło ok. 1 mln ludzi, i państwo Biafra po trzech latach zniknęło z mapy. Dlaczego ludowi Ibo odmówiono prawa do samodzielnego bytu?

> Żarzący się konflikt na Ukrainie jest akceptowany przez wiele rządów i wielu polityków w Kijowie.

Za mało wiem, by odpowiedzieć na to pytanie. Okazało się, że państwa kolonialne uznały ustanowione przez siebie granice za święte i nienaruszalne. Granice między dawnymi koloniami angielskimi, francuskimi, belgijskimi, portugalskimi wytyczono przy użyciu linijki i ołówka, bez zwracania uwagi na ludzi, którzy zamieszkiwali dzielone przez Europejczyków tereny. Wytykając niegodziwości i zbrodnie faszyzmu czy komunizmu, warto pamiętać o niegodziwościach i zbrodniach kolonializmu. Po zamrożeniu zasadą „nienaruszalności granic" obszarów dawnych kolonii powstał zbiór zamrożonych chwilowo konfliktów między zamieszkującymi je ludźmi. Konflikty te są jak bomby z opóźnionym zapłonem – jeśli do tej pory nie wybuchły, zrobią to wcześniej czy później. Rozgrywający się na naszych

FOT. PACIFIC COAST NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl b7ef0e37e9

oczach konflikt Tutsi i Hutu kosztował życie setek tysięcy ludzi, rozpadł się utopiony we krwi Sudan, rozpadła się Libia, Tuaregowie nie spoczną bez utworzenia własnego państwa. Czy pomagamy ludziom w Afryce rozwiązać ich konflikty, zapobiegać nieszczęściom i rozlewowi krwi? Owszem, Legia Cudzoziemska pomaga utrzymać pokój tu i tam (np. w okolicach obfitych w uran). Ale tylko zastosowanie prawa do samostanowienia może trwale rozwiązać plemienne i narodowe konflikty.

PRAWO KURDÓW

Bliski Wschód jest regionem, w którym rozpad imperium osmańskiego pieczętowano ustanowieniem nowych granic, często także wytyczanych wzdłuż linijki. Wielka Brytania i Francja były zadowolone. Kurdów przy podziale tortu nie było.

Od kilku dekad obserwujemy, jak ten naród bezskutecznie usiłuje utworzyć własne państwo. Jego wysiłki okupiono dziesiątkami tysięcy zabitych i setkami tysięcy rannych. Uważam, że Kurdowie mają prawo do samodzielnego państwa, a obowiązkiem Europy jest pomóc im w tym dziele. Jednak Europa spętana kolonialną przeszłością, politycznymi grami, przywiązana do zasady nienaruszalności granic zapomniała o pryncypiach, zgodnie z którymi premier Cameron postawił pytanie Szkotom. Podobnie USA zaabsorbowane zwalczaniem skutków własnej nieodpowiedzialności nie uznają, że prawo do samostanowienia jest niezbywalnym składnikiem praw człowieka. Stany Zjednoczone zapomniały o słynnej deklaracji prezydenta Woodrowa Wilsona, przyznającej m.in. Polakom prawo do posiadania państwa.

Na terytorium Iraku i Syrii rozgrywa się tragedia dziesiątków milionów ludzi, jest ponad 1 mln ofiar, rozpadły się dwa państwa. Patrzymy bezradnie na śmierć i cierpienia, bo Turcja nie wyraża zgody na podzielenie Iraku na trzy państwa: szyickie, sunnickie i kurdyjskie. Obawiamy się otworzyć puszkę Pandory, a nie widzimy, że ona już jest otwarta. Najwyższy czas dać ludziom zamieszkującym Irak i Syrię prawo do samostanowienia i pomóc im inaczej, niż wysyłając broń, amunicję i instruktorów wojskowych.

> Już czas dać mieszkańcom Iraku i Syrii prawo do samostanowienia i pomóc im inaczej, niż wysyłając broń.

WYGODNY KONFLIKT NA WSCHODZIE

Związek Radziecki rozpadł się w wyniku pewnej decyzji podjętej w sierpniu 1991 r. w Puszczy Białowieskiej, a zatwierdzonej w grudniu tegoż roku. Wielkie terytorialnie państwo podzieliło się na kilkanaście mniejszych. Liniami pęknięć były wewnętrzne granice ustalone między republikami na podstawie różnych,

eprasa.pl b7ef0e37e9

czasami przypadkowych kryteriów. Miliony ludzi na całym świecie odetchnęły z ulgą, ale nie wszyscy. Kilka milionów obywateli dawnego ZSRR załamało ręce. Euforia 15 nowych prezydentów nie pozwoliła im zająć się losem tych kilku milionów obywateli, chyba w większości Rosjan, którzy po rozpadzie ZSRR znaleźli się nie tam, gdzie chcieli. Na liście źle rozwiązanych problemów pojawiły się nowe pozycje. Nie czekaliśmy długo... Najpierw Gruzja, potem Ukraina. Prawu do samostanowienia po raz kolejny przeciwstawiono zasadę nienaruszalności granic. W rezultacie zginęło kilka tysięcy ludzi, dziesiątki tysięcy straciły domy i dobytek, fala nieszczęścia zalała Donbas. Ludzie giną nadal. A przecież wystarczyło, wzorem premiera Camerona, zapytać w referendum mieszkańców Krymu i Donbasu, jaką przyszłość państwową wybierają. Ta droga nadal jest koniecznością, jeśli chcemy powstrzymać pochód śmierci i nieszczęścia na Ukrainie. Niestety, nikt nie oczekuje, że mieszkańcy Ukrainy zaakceptują sposób myślenia Czechów i Słowaków.

Trudno w to uwierzyć, ale żarzący się konflikt na Ukrainie jest akceptowany przez wiele rządów i ich ministrów, także przez wielu polityków w Kijowie. Z wielu powodów osłabianie Rosji jest celem polityki państw, które sięgają po arsenał zimnej wojny. Nie ulega wątpliwości, że konflikt na Ukrainie jest wygodnym narzędziem dla zwolenników zimnej wojny.

Europa powinna jednak mieć na uwadze ogrom nieszczęść, które dotknęły mieszkańców Kijowa, Odessy (wypróbowano tam zapomniany sposób pozbywania się przeciwników politycznych), Krymu i Donbasu. Jest tylko jedna dobra droga do akceptowalnego pokoju: użycie prawa do samostanowienia i zapytanie mieszkańców Donbasu i Krymu, jaką przyszłość państwową chcą wybrać. Trzeba uznać ich nienaruszalne i niezbywalne prawo, bo to jest ich terytorium, ich ziemia, a oni są tam suwerenem. Pomóżmy mieszkańcom Lwowa i Kijowa zrozumieć to prawo i pogodzić się ze skutkami tego zrozumienia. Znaczna część odpowiedzialności za los mieszkańców Ukrainy spoczywa na nas, mieszkańcach Europy.

Autor jest emerytowanym profesorem Politechniki Warszawskiej

PKWN rodził się w Londynie

Rozmowy radzieckiego ambasadora z Mikołajczykiem wiosną 1944 r.

Eugeniusz Guz

Jeden fragment rozmowy prof. Andrzeja Leona Sowy (PRZEGLĄD nr 12) „AK bliżej i dalej Moskwy" skłania do uzupełnienia i komentarza. Na pytanie red. Pawła Dybicza, czy Moskwa szukała porozumienia z realistami, prof. Sowa odpowiedział: „Skąd. Do czego było jej to potrzebne? Miała przecież swój plan związany z PKWN. Po Teheranie polityka Moskwy była już dość skrystalizowana".

Na powstanie PKWN pracował niechcący rząd polski na uchodźstwie. Mimo odrzucenia przez premiera Stanisława Mikołajczyka sojuszniczej decyzji z Teheranu, dającej mu szansę powrotu do Warszawy jako jedynowładcy, Moskwa nawet wówczas nie porzuciła nadziei dogadania się z polskim Londynem. Niezbitym dowodem, u nas mało znanym, być może dlatego, że postarała się o to polityka historyczna, jest zlecenie, jakie otrzymał z Moskwy ambasador radziecki w Londynie Wiktor Lebiediew. Odbył on w maju i czerwcu 1944 r. aż cztery rozmowy ze Stanisławem Grabskim, przewodniczącym emigracyjnej Rady Narodowej. Inicjatorem była strona radziecka, a w dwóch ostatnich rozmowach wziął udział premier Mikołajczyk, i to na wyraźne życzenie, wręcz o charakterze nacisku, Rosjan. Rozmowy te na prośbę Polaków odbywały się w tajemnicy przed Anglikami.

O tym wszystkim można się dowiedzieć z publikacji Stanisława Kirkora „Rozmowy polsko-sowieckie w 1944 r.", wydrukowanej w „Zeszytach Historycznych" (1972, nr 22), gdzie zamieszczono ich streszczenie autorstwa Stanisława Grabskiego.

Gdyby Lebiediewowi zalecono pozorować chęć porozumienia z rządem na uchodźstwie, nie rozmawiałby aż czterokrotnie, nie domagał się spotkania z Mikołajczykiem. Na zapewnienie Grabskiego, że jeśli obie strony dojdą do porozumienia, „zmieni się stosunek czterech głównych stronnictw polskich także do partii komunistycznej", dotychczas negowanej i zwalczanej, Lebiediew odpowiedział wręcz brutalnie: „Oni nas nie obchodzą. My się do wewnętrznych spraw Polski nie mieszamy".

HISTORIA

AK BLIŻEJ I DALEJ MOSKWY

Realiści związani z Mikołajczykiem uważali, że trzeba się dogadać ze Stalinem, zanim Armia Czerwona wejdzie na teren Polski

Rozmawia Paweł Dybicz

PROF. ANDRZEJ LEON SOWA

GWARANCJE DLA MOSKWY

Wypowiedź ta oznaczała, że przywódca ZSRR nie stawia na polską lewicę, a nawet więcej – że będzie mu obojętne, czy w przyszłej, prolondyńskiej Polsce lewica komunistyczna w ogóle zostanie dopuszczona do współistnienia, czy otrzyma znośne warunki działania. Według Grabskiego Lebiediew kładł wyjątkowo silny nacisk na to, żeby Moskwa otrzymała gwarancję, że przyszły polski rząd będzie przyjaźnie nastawiony do ZSRR. Stąd logiczne oczekiwanie, że Mikołajczyk pozbędzie się wszystkich współrządzących, którzy odnoszą się wręcz manifestacyjnie wrogo do ZSRR. Padały tu nazwiska Sosnkowskiego, Kukiela, Radkiewicza, Kota. Ta kwestia, a nie sprawy graniczne, gdzie nie wykluczano jakiegoś kompromisu, miała dla Moskwy decydujące znaczenie. Wynika to wyraźnie z następującego fragmentu: „Lebiediew wyraża zdziwienie, że Premier (Mikołajczyk – przyp. EG)

eprasa.pl b7ef0e37e9

tak dobrze wie, do kogo Sowiety nie mają zaufania.

Premier: Powiedział mi to Benesz.

Lebiediew tą odpowiedzią wyraźnie był zdetonowany (po chwili milczenia): Jeśliby Rząd Polski gwarantował, swym pozbyciem się budzących w ZSRR nieufność osób, przyjazną w przyszłości współpracę – wszystkie sporne kwestie byłyby łatwo załatwione w bezpośrednim porozumieniu Marszałka Stalina z Premierem Polskim".

„Premier nie uważa – notuje Grabski – by życzenie posiadania personalnych gwarancji przyjaznej do ZSRR polityki Rządu Polskiego naruszało suwerenność państwa polskiego, ale mówiąc po prostu, po kupiecku, nie może on stwarzać składu rządu bardziej odpowiedniego dla przeprowadzenia porozumienia i współdziałania, póki nie ma tego porozumienia. Nasamprzód muszą być ustalone zasady:

1. przywrócenia normalnych stosunków dyplomatycznych;
2. wspólnego planu akcji bojowej polskiej Armii Krajowej i armii sowieckiej;
3. współdziałania krajowych władz Polskiego Rządu, jako władz administracyjnych, z wchodzącymi na ziemie polskie sowieckimi władzami wojskowymi;
4. odłożenia sprawy ewentualnej zmiany granicy do końca wojny.

Lebiediew: Układ dotyczący stosunku polskiej rządowej administracji z wojskami sowieckimi wymaga dokładnego sformułowania. A to zabierze dużo czasu. Już z tego powodu mógłby być zrobiony dopiero po porozumieniu się Premiera z Marszałkiem Stalinem…

Jeśli nie o szczegółowy układ, ale o zasady chodzi, to nie widzi on trudności w ich ustaleniu. Układ ZSRR z Czechosłowacją przewiduje natychmiastowe przejęcie administracji cywilnej przez państwowe władze czesko-słowackie, gdy tylko ustąpią władze okupacyjne niemieckie. ZSRR przyjęła propozycje czesko-słowackie, nie zmieniając w nich ani słowa.

Wypowiada swe osobiste silne przeświadczenie, że układ polsko-rosyjski nie będzie w żadnym razie mniej korzystny dla Polski niż układ rosyjsko-czesko-słowacki dla Czechosłowacji".

GRANICA DZIELI

Z tekstu Grabskiego wynika, że miała to być transakcja wiązana. Sporne było jednak, kto ma wykonać pierwszy ruch. Lebiediew zapewniał: usuńcie wrogich nam polityków, a wszystko dalej potoczy się pomyślnie.

Stalin starał się dogadać z rządem na uchodźstwie.

Mikołajczyk odpowiadał: dogadajmy się najpierw co do punktów 1-4. Mając taki sukces, będę mógł dokonać czystki we władzach.

Kolejne spotkanie odbyło się 22 czerwca. Lebiediew prosił o bliższe wyjaśnienie, co oznacza postulat odłożenia sprawy przyszłej polsko-sowieckiej granicy do końca wojny. Cała, przeszło trzygodzinna rozmowa ograniczyła się – sądząc ze streszczenia Grabskiego – do sprawy granicy wschodniej. Obie strony pozostały przy sztywnych stanowiskach; Mikołajczyk godził się uznać linię Bugu jedynie za linię demarkacyjną.

Nie ma potrzeby relacjonować za „Zeszytami Historycznymi" dalszego ciągu wspomnianych czterech spotkań, bo chodzi jedynie o pokazanie, że mimo odrzucenia przez Mikołajczyka teherańskich decyzji aliantów w sprawie Polski Stalin bynajmniej nie uruchomił zaraz PKWN, lecz nadal starał się dogadać z polskim Londynem. PKWN ogłoszono dopiero miesiąc po wspomnianych rozmowach. Co więcej – rzecz w ogóle nieznana – publikacje radzieckie nazywały PKWN nie rządem, lecz administracją. Określenie administracja utrzymywano do końca 1944 r. Osóbka-Morawski przypomina, że podczas wizyty w Moskwie 8 grudnia 1944 r. „dyskutowaliśmy również kwestię przekształcenia Komitetu w rząd". Dopiero 28 grudnia Moskwa poinformowała Polaków, że PKWN można nazywać rządem tymczasowym. Stalin więc bardzo się ociągał z postawieniem kropki nad i przy rządach lewicy, chociaż wszelki kontakt z rządem na uchodźstwie został ostatecznie przekreślony po fiasku jego październikowych rozmów z Mikołajczykiem. Kolejną ilustracją ociągania się Stalina z przekazywaniem publicznie władzy polskim komunistom może być zwrócenie się Polaków do władz radzieckich w listopadzie 1944 r. z uwagą, że „w Moskwie istnieją misje wojskowe Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji, Czechosłowacji i Jugosławii, a nie ma polskiej, co często stawiało nas w trudnej sytuacji".

Do końca 1944 r. publikacje radzieckie nazywały PKWN nie rządem, lecz administracją.

Argumentacja jednak nie poskutkowała. Moskwa zastrzegała również, by na razie nie upubliczniać porozumień polsko-radzieckich (Edward Osóbka-Morawski, „Dziennik polityczny 1943-1948").

FURTKA STALINA

Warunek Moskwy, by w rządzie polskim mającym zawrzeć układ z ZSRR nie było osób publicznie antyradzieckich, uważany był za coś wysoce niestosownego, ingerencję w wewnętrzne sprawy drugiego państwa. Tymczasem bez sprzeciwu przyjęto weto Francji wobec kandydatury gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego na prezydenta RP. Podobnie Francuzi wymusili na prezydencie Władysławie Raczkiewiczu zaakceptowanie gen. Sikorskiego na premiera rządu. Przecież pod naciskiem Brytyjczyków Mikołajczyk został premierem. Również na żądanie Brytyjczyków zdymisjonowano naczelnego wodza, gen. Sosnkowskiego. Nie rozdzierano z tych powodów szat. Skoro od Moskwy zależało, kogo usadowi w Warszawie, naturalne, że oczekiwała rządu jej przyjaznego.

Przywódca ZSRR nadal więc pozostawiał uchyloną furtkę dla rządu RP. Gdyby – jak chcą niektórzy – wszystko to było tylko grą, odrzucenie przez rząd na uchodźstwie decyzji teherańskich stanowiłoby dla Stalina wystarczające usprawiedliwienie przed aliantami zachodnimi, że przekreśla ostatecznie kontakt z polskim Londynem. Nie skorzystał jednak z takiej okazji.

Przekazanie w końcu władzy lewicy było dlań olbrzymim ryzykiem, bo polegać mógł tylko na nikłej kadrze komunistycznej, w dodatku zdziesiątkowanej przez ludzi Berii, a nastroje większości społeczeństwa były antyradzieckie.

Eugeniusz Guz

eprasa.pl b7ef0e37e9

Fejki do szkoły

Edward Mikołajczyk

Łukasz Jakóbiak, dobrze wyrośnięte i utalentowane dziecko internetu, ma w sieci własny show „20m²". Jego widownia jest jakieś pięć razy większa od tej, którą gromadzi nowa śniadaniówka TVP 1 „Dzień dobry, Polsko!", czyli program kierowany do ludności zamieszkującej 312 679 km kw.

Kosmiczne parcie na szkło wydmuchało Łukasza z Polski do Kalifornii, gdzie od dawna chciał wylądować u stóp niejakiej Ellen DeGeneres, gospodyni kultowego talk-show. I spełnił się jego amerykański sen. Jakóbiak wystąpił w programie. Jego życiowe pięć minut przedłużyło się do 20, bo tak długo udawało mu się odkładać upiorny koniec, kiedy nieuchronnie musiał dać znać widzom, że to jest lipa. W programie tylko on był sobą, a cała reszta jego teatrem: Ellen, studio, palmy i Kalifornia na 20 m kw.

Nie jest ważne, ilu widzów umarło z podziwu dla Łukasza, a ilu do samego końca mu zazdrościło, że siedzi obok gwiazdy Hollywood. Mistyfikacja była naprawdę zręczna i w oczach młodych widzów mogła dość długo uchodzić za transmisję rzeczywistego wydarzenia. Nie jest również istotne, czego dotyczyła sama rozmowa Łukasza z Ellen przed kamerą, bo w tym miejscu kuli ziemskiej dotyczy ona zawsze tego samego. Najważniejsze, co się stało potem. Otóż ten prawdziwie śmieszny numer wywołał śmiertelnie poważną dyskusję na forach, czy tak można oszukiwać w tym miejscu, to znaczy w mediach społecznościowych.

Łukasz Jakóbiak i jego mistyfikacja.

Burza z pewnością sponiewiera Jakóbiaka, a wszystkie nauki z tej lekcji będzie można wyciągać, dopiero jak chłop trochę przeschnie i dojdzie do siebie. Nie należy mu życzyć, by spadł w oglądalności do poziomu „Dzień dobry, Polsko!", ale nie można wykluczyć, że dużo zapłaci za nadwyrężenie zaufania followersów.

Wszelkim nadawcom niech ten incydent przypomni, że jakiekolwiek przeinaczanie pozostaje zawsze w sprzeczności z misją. A wszystkich odbiorców niech nakłoni do zwiększenia krytycznego dystansu do tej ogromnej kupy wideo, którą pochłaniają codziennie przez prawie cztery godziny.

Jeśli ktoś jeszcze nie wie, musi się nauczyć, albo trzeba go nauczyć, że to, co widzi na ekranie, to może być prawda, ale może tylko udawać prawdę, a w rzeczywistości jest podstępną przynętą. Najczęściej nadawcy, Łukaszowi też, chodzi wyłącznie o zbałamucenie jak największej liczby internautów i widzów, słuchaczy i czytelników. Reguły przyzwoitości wyparowały z komunikacji. Pojawiły się alternatywne fakty, czyli kłamstwa, fałszywki i zmanipulowane brednie. Stało się tak, zanim zaczęły powstawać stacje sanitarne do wykrywania i zwalczania groźnych infekcji w przekazie elektronicznym. I jest już za późno, żeby mieć nadzieję na ręczne powstrzymanie pandemii fejków w sieci.

Skuteczniejsza od walki wręcz z kłamstwem, propagandą i manipulacją może się okazać ofensywa przyzwoitości. Za światowy sygnał do takiej ofensywy można uznać decyzję Fundacji Wikimedia, wydawcy Wikipedii, o zablokowaniu „Daily Mail" i serwisu internetowego tego dziennika z powodu wybiórczego i kreatywnego traktowania faktów w jego praktyce redakcyjnej. Linki do brytyjskiej gazety zostaną usunięte z Wikipedii. Fundacja uznała, że jej wielki wynalazek traci na reputacji, kiedy powołuje się na „DM" jako źródło, i postanowiła wyłączyć gazecie prąd.

Bardzo niedawno Szwedzi dowiedzieli się od amerykańskiego prezydenta, że wybuchły u nich zamieszki, o których sami nie mieli pojęcia. Z tego powodu, i to jest najbardziej obiecujący znak, choć niestety nie na naszym niebie, szwedzki minister oświaty postanowił przyśpieszyć wprowadzenie do szkoły podstawowej nowego przedmiotu nazwanego *fake news*. Nauczanie rozpocznie się dopiero od roku 2018, bo tak dziwnie ukształtowała się u nich tradycja oświatowa, że reformę najpierw się przygotowuje, a potem wprowadza, a nie odwrotnie.

Unia Europejska dała 30 dni Facebookowi, Twitterowi i Google'owi, żeby uporały się z oszustami w serwisach społecznościowych, którzy zamieszczają nieuczciwe oferty. Nie będzie im łatwo zdejmować z siebie odpowiedzialności za cokolwiek, co nieprzyzwoitego dzieje się na ich platformach.

Jan Maria Jackowski, senator nieznanej mi ziemi, ale dobrze znanych barw, proponuje oznakowanie mediów z obcym kapitałem, tak jak oznacza się paczki papierosów. Nie, żeby dosłownie grozić czytelnikowi, że wcześniej umrze (*kurcy pomirajut rano*, można przeczytać na ukraińskich papierosach), ale ostrzec, np. tak: „Czytasz materiał propagandowy polityki niemieckiej". Częścią polskiej ofensywy przyzwoitości powinien być czerwony pasek w „Wiadomościach" TVP 1, że audycja zawiera lokowanie produktu PiS. ■

FOT. WWW.INSTAGRAM.COM/20M2/

eprasa.pl b7ef0e37e9

CHCIAŁBYM POSKLEJAĆ PĘKNIĘTY STÓŁ

Czy potrafiłbym zrobić spektakl prowokację? Na razie nie czuję wewnętrznej potrzeby, ale podziwiam tych, którzy to robią

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Na „Walizkę" spadł deszcz nagród, a to bodaj pierwsza pana robota dla telewizji?

– To był mój pierwszy spektakl w Teatrze Telewizji, ale nie pierwszy w ogóle… Pod opieką Macieja Wojtyszki zrobiłem w Akademii Teatralnej spektakl telewizyjny według sztuki Dennisa Kelly'ego ze studentami wydziału aktorskiego. Był to pierwszy w historii AT reżyserski dyplom filmowy, który ma status „półkownika" – problem z prawami autorskimi uniemożliwił emisję w TVP Kultura. Wcześniej, przed reżyserią w AT, skończyłem Akademię Filmu i Telewizji na Chełmskiej, więc już wiedziałem, co to jest kamera.

Barykady są przepełnione. Nie ma tam już dla mnie miejsca.

Pańska nietypowa droga do teatru wiodła przez warszawską polonistykę?

– Na polonistyce skończyłem specjalizację animacja kultury, z której wyłonił się wkrótce Wydział Kulturoznawstwa. Do tego trzy lata studiów filozoficznych. Szukałem swojej drogi, ale bez pośpiechu. Potem pracowałem prawie pięć lat jako nauczyciel.

Nie podobała się panu rola belfra?

– Bardzo mi się podobała. Pracowałem w międzynarodowej szkole amerykańskiej w Konstancinie – jednej z największych w Europie. Dobra i ciekawa praca, zderzenie kultur, języków. Uczyłem tam języka polskiego w gimnazjum i liceum, a także języka polskiego jako obcego. Zawód nauczyciela jest bardzo szlachetny, ale po kilku latach stwierdziłem, że powtarzalność mnie męczy. I poszedłem zdawać na reżyserię. Zaryzykowałem, nie bez wpływu takich ludzi jak Maciej Prus. Rozmowy z nim utwierdziły mnie w przekonaniu, że reżyseria to zawód, który łączy interesujące mnie obszary: literaturę, muzykę, psychologię, pogłębione relacje z ludźmi... Słowo, obraz, myśl, relacja.

Reżyserowi żadna wiedza nie przeszkadza.

– Tak mi się wydaje, ale są różne podejścia. Miałem już podstawy literackie, filozoficzne i zainteresowania w pracy z kamerą. Nie chciałem wyjeżdżać z Warszawy, wybrałem reżyserię teatralną. W końcu mam aktorskie tradycje rodzinne, ale nie myślałem poważnie o zostaniu aktorem.

Mama, Halina Łabonarska, przestrzegała?

– Nie, sam zdawałem sobie sprawę, na czym polega ból, męka zawodu aktorskiego. Nie przypuszczałem w najczarniejszych snach, że zawód reżysera może być pod tym względem dużo gorszy.

Denerwuje się pan za wszystkich aktorów?

– Tak, lubię, żeby wszystko było dopracowane i przygotowane. I ta dbałość o szczegóły przyprawia mnie często o bezsenne noce. Wychodzę też czasem ze swoich premier, ale szybko wracam.

Powiadają, że polonistyka to obciążenie dla reżysera, że inscenizatorzy poloniści mają zawsze skręt literacki. Gorzej im się reżyseruje, bo za dużo myślą o słowach. Jak to jest z panem?

– Może gdyby nie polonistyka, tworzyłbym w tej chwili teatr postdramatyczny, kwestionujący nadrzędność tekstu? Nie myślałem o tym, ale coś w tym jest. Dla mnie tekst jest elementem pierwotnym, od tego zazwyczaj się wychodzi, co nie znaczy, że nie traktuję go później tylko jako pretekstu.

Nabożnie pan do tekstu nie podchodzi. W pańskich przedstawieniach nawet finały są inne. „Wizyta starszej pani" inaczej się kończy u Dürrenmatta niż u pana – demontaż dekoracji bardziej przypomina „Wyzwolenie".

– Pan tę pracę zauważył, bo zna pan źródło, literaturę.

Też, niestety, jestem polonistą. Mam taki nawyk, że czytam. Chciałem tylko zauważyć, że pan się nie modli do tekstu.

– Słowa traktuję jako inspirację i pretekst. Staram się oczywiście pracować tak, żeby uwzględnić myśl autora. Można robić wszystko z tekstem pierwotnym, ale na pewnym etapie okazuje się, że autora już tam nie ma, a pozostał tylko reżyser lub dramaturg. To nic złego, ale lubię dialog z autorem. Jeżeli go czymś uzupełniam, to innymi jego tekstami lub literaturą pokrewną. Tak było w przypadku nieznanej sztuki Strindberga „Klucze do Królestwa Niebieskiego", którą zrobiłem w teatrze w Legnicy. Strindberg pisał ten dramat w okresie fascynacji Nietzschem i dlatego uzupełniłem sztukę niemieckim filozofem. Czułem, że to pasuje. Z kolei po premierze „Rzeczy

WAWRZYNIEC KOSTRZEWSKI – (ur. 1977) absolwent Akademii Teatralnej i polonistyki UW. Debiutował jako współreżyser „Wyzwolenia" w warszawskim Teatrze Polskim. Związany z Teatrem Dramatycznym m.st. Warszawy, gdzie reżyserował „Cudotwórcę", „Rzecz o banalności miłości", „Wszystkich moich synów" i „Wizytę starszej pani", a także serię widowisk kabaretowych na scenie Przodownik – „Kabaret na Koniec Świata". Dla Teatru Telewizji zrealizował wielokrotnie nagradzaną „Walizkę" (otrzymała m.in. grand prix festiwalu Dwa Teatry i Nagrodę AICT im. Stefana Treugutta), a ostatnio „Listy z Rosji" według Astolphe'a de Custine'a.

eprasa.pl b7ef0e37e9

WAWRZYNIEC KOSTRZEWSKI

– reżyser teatralny

o banalności miłości" autorka podeszła do mnie i powiedziała: *Oh, you changed a lot*! Jednak spektakl bardzo jej się spodobał. We „Wszystkich moich synach" Arthura Millera tylko ci, którzy znają oryginał, wiedzą, ile tam zmieniłem, wypadły dwie trzecie sztuki, została esencja. Lubię pracę na tekście, analizę – to jest także jakaś spuścizna po polonistyce. Ale jeśli chcę poruszyć nowy temat, wolę zaczynać od zera. Do spektaklu dla młodzieży „Dopalacze" scenariusz napisałem sam.

Jako reżyser ma pan jeszcze nie tak wiele doświadczeń, ciągle jest pan na tropie swojego języka?

– Mam już pewne przyzwyczajenia, ale ciągle szukam. To wspaniały, wolny zawód – można nieustannie się rozwijać. Zasklepienie się w jednej formie szybko wyjaławia i jest zabójcze dla wyobraźni. Dlatego wciąż próbuję różnych form, konwencji. To się przekłada na poszukiwania literackie. Dziś, po paru sukcesach, mam komfort, że mogę realizować swoje plany, dyrektorzy teatrów i producenci są otwarci. Tę wolność musiałem sobie wywalczyć, nauczyć się asertywności, nie reżyserować tylko dla samej pracy, odrzucać to, co mi się nie podoba, nawet za cenę bezrobocia. Młodzi reżyserzy po studiach nie mają wcale łatwo. Rozumiem ból tych wszystkich, którzy jeżdżą po Polsce i całują dyrektorskie klamki. To nie jest łatwy chleb i wcale nie jest łatwo wywalczyć sobie pracę, a jeszcze trudniej o autonomię.

W sztuce zawsze chodzi się po cienkim lodzie.

– To prawda, poruszamy się po omacku, w ciemnościach. To niełatwe środowisko, bo mocno skupione na sobie, i czasem trudno o porozumienie między pokoleniami, o dobry start, o szanse, o dobrą relację mistrzowie-uczniowie. Dlatego projekt TEATROTEKA był dla mnie jak latarnia morska na skalistym wybrzeżu. Grupa ludzi takich jak Maciej Wojtyszko, Włodzimierz Niderhaus i Krzysztof Domagalik wyciągnęła rękę do debiutantów. Stworzyli w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych projekt, który składa się głównie z debiutów. 25 reżyserów mogło zrealizować spektakle telewizyjne, 25 nowych polskich tekstów dramatycznych. Ten projekt to misja.

Są jednak kłopoty z emisją tych spektakli w TVP. Prezes telewizji zatrzymał premierę „Białego dmuchawca" z powodu Julii Wyszyńskiej, która gra główną rolę. Prezes uważa, że udziałem w spektaklu Teatru Powszechnego „Klątwa" wykluczyła swoją obecność na antenie telewizji narodowej. Jak pan przyjmuje taką sytuację?

– Było mi bardzo przykro, że tak się stało. Ta decyzja dotknęła nie tylko aktorkę, ale i całą ekipę spektaklu: reżyserkę, operatora, autora tekstu, aktorów, ludzi, którzy przy projekcie pracowali dwa lata wcześniej, zanim Julia Wyszyńska zagrała w „Klątwie". W ogóle nie rozumiem zakazywania czegokolwiek w sztuce.

To pachnie cenzurą.

– Nie tylko pachnie, to jest cenzurą. Artysta powinien mieć możliwość robienia sztuki zgodnie z zasadą obowiązującej w niej wolności, regulowanej z różną skutecznością obowiązującym prawem, czy to się komuś podoba, czy nie. Tej wolności nie można również odebrać ludziom, którzy mają prawo reagować na sztukę tak czy inaczej. Tutaj też obowiązują zasady, które wytworzyła ułomna przecież demokracja. Nie można się oburzać na ludzi, że protestują, tak samo jak można robić różne rzeczy z pobudek artystycznych. Konflikty są wpisane w tę regułę. Myślę, że to jest dla większości zrozumiałe, a problem leży zupełnie gdzie indziej – w kwestii finansowania sztuki, budżetów, podmiotów finansujących, decydentów. Tu potrzeba mądrości,

> Muszę się angażować. To mój obowiązek jako artysty. Tylko pytanie, na jaką skalę.

eprasa.pl b7ef0e37e9

ludzi, którzy świadomie będą rozdzielać fundusze, tak żeby wzbogacać artystyczną różnorodność.

Jednak kryteriów oceny jest zbyt wiele i są zbyt niejasne, żeby zasady finansowania wyryć w kamieniu. Ten sam projekt może być dla jednych arcydziełem, a dla drugich hochsztaplerką. Bezwzględna wolność w sztuce pozostaje dla mnie pryncypium, choć absurdalnym z natury, bo na końcu tej wolności stoi stwierdzenie, że wszystko może być sztuką… Sceptycy w takich paradoksach stosowali zasadę zawieszenia sądów, czyli zasadę *epoché*. Na dzisiaj tu się zatrzymam, nie znam dobrego rozwiązania.

Obawiam się, że nikt go nie ma, także w Europie Zachodniej, gdzie wybuchają podobne konflikty związane z kontrowersyjnymi przedstawieniami. Kiedyś pewien aktor został w Warszawie ukatrupiony, bo występował w stroju Turka. Ludzie nie odróżniali aktora od postaci. Dziś mamy do czynienia z recydywą mylenia aktorki i postaci, którą gra.

– Ale może dożyliśmy takich czasów, że aktorzy będą chcieli mówić ze sceny to, co myślą. Czas pokaże, czy to przetrwa, czy nie.

Istnieją formy pozwalające im to robić – choćby stand-up, rozmaite jednoosobowe performance'y.

– Ja nie poruszam się w tych estetykach.

Panu to raczej jest obce.

– Barykady są przepełnione. Nie ma tam już dla mnie miejsca. Ale dystansować się nie można, muszę się angażować. To jest moim obowiązkiem jako artysty. Tylko pytanie, na jaką skalę. Jeżeli spektakl „Wizyta starszej pani", niebędący żadną brutalną prowokacją, zawiera elementy diagnozy politycznej, na którą publiczność żywo reaguje, jest to dla mnie jakiś rodzaj rozmowy z widzem. Nie robię spektakli po to, żeby były ładne i wesołe, ale też nie muszę stosować środków skrajnych. Robią to inni – kwestia wyboru. Czasy sprzyjają publicystyce, mnie wprawdzie bardziej interesują zakamarki ludzkiej duszy, kwestie moralne, ale „cóż po poecie w czasie marnym". Trzeba reagować na rzeczywistość. „Wizyta starszej pani" miała elementy publicystyczne, mój najnowszy spektakl Teatru Telewizji, „Listy z Rosji", będzie szedł dużo dalej.

Za „Wizytę..." dostał pan niezłe baty od recenzentów.

– Pod względem artystycznym przyjęcie było znakomite, recenzje dobre, a widownia wciąż wypełnia się po brzegi. Dostałem od niektórych za angażowanie się w diagnozy społeczne. Ciekawa byłaby analiza recenzji pod kątem politycznym. W dużym uproszczeniu część odbiorców o przekonaniach konserwatywnych odebrała to jako spektakl przeciwko władzy, o przekupstwie społeczeństwa i próbie budowania nowego ładu opartego na fałszywych wartościach, zemście zamiast sprawiedliwości. A część próbowała widzieć w postaci Klary Zachanassian obce korporacje, które niszczą nasz mały, słowiański ład. Cieszyłem się, że odbiór był zgodny co do obrazu mechanizmu manipulacji, mechanizmu degradacji społeczeństwa, różnice dotyczyły punktu widzenia tych mechanizmów. Skomplikowana sytuacja w naszym kraju pozwala na wystawianie niektórych zapomnianych sztuk, a one nabierają nowego życia, nawet budzą dyskusje.

Widać, że lubi pan taką klasykę. I lubi pokazywać sens moralny dawnych tekstów.

– W teatrze bardzo interesuje mnie metafizyka. Wymiar moralny jednostki, bohater, który stoi przed tragicznym dylematem, w duchu greckich tragedii. Zjawiska niezależne od polityki, od publicystycznej codzienności. Współczesny dramat często tego unika, dlatego sięgam czasem po teksty, które uchodzą za przestarzałe. Przy czym Dürrenmatt bardziej niż u nas zestarzał się na Zachodzie, gdzie zmieniła się opisywana przez niego struktura społeczna. Tam wszystko opiera się na grupach interesów, a nie na jednorodnym społeczeństwie. W Polsce odwrotnie – obecnie budowane jest jednorodne, hermetyczne społeczeństwo, w którym jest miejsce na elitę, lud, władzę kościelną. Model tradycyjny. Społeczeństwo Dürrenmatowskie, to Güllen z „Wizyty", zaczyna niepokojąco przypominać nasze poletko, gdzie większość deklaruje przynależność do jednego systemu wartości moralnych, odcina się od świata i formułuje pretensje do niego. Ta wizja lekko wybiega w przyszłość, jest czymś w rodzaju hipotezy, która przecież może się sprawdzić. A jeśli taki system, poddany pokusie, pęknie?

„Walizka", Krzysztof Globisz i Marta Król.

To rodzaj przestrogi?

– Spotkałem się z tym określeniem. Dobrze jest mówić o niebezpieczeństwach, prowokować do myślenia, ale celem powinno być budowanie mostów. Chciałbym, aby nasze społeczeństwo kształtowało się na podstawie porozumienia, a nie konfliktu. Nie jestem reżyserem, który tworzy w konflikcie. To poniekąd wynika z doświadczeń, bo moje korzenie biorą się z dwóch różnych źródeł: jeden dziadek walczył w wileńskiej AK, w lasach, w partyzantce, a drugi jako chirurg z armią Berlinga był pod Lenino, a później pełnił ważne funkcje w państwowych strukturach wojskowych. Mam dwie zupełnie różne tradycje rodzinne, osie konfliktów politycznych i światopoglądowych przechodzą prosto przez mój rodzinny stół. Od czasu, kiedy miałem trzy lata, jest to pęknięty stół i być może podświadomie szukam sposobów na posklejanie go.

Ale żyjemy w okresie konfliktów i napięć. Podobno dla sztuki to dobrze.

Jeden dziadek walczył w wileńskiej AK, a drugi jako chirurg z armią Berlinga był pod Lenino.

eprasa.pl b7ef0e37e9

– Żyjemy w ciekawych czasach. Dla sztuki zazwyczaj to rzeczywiście dobra sytuacja.

Konfliktu nie da się całkiem wyeliminować.

– Od konfliktów nie sposób uciec. Wiem, że nie można opowiadać tylko o czystej metafizyce. Ale poprzez opowieści moralne można przejść do publicystyki i polityki. Niekoniecznie trzeba antagonizować ludzi i choć czasami trzeba ostrzejszych środków, żeby dotrzeć z przekazem, nie należy zaniedbywać metafory i środków poetyckich. Zastanawiam się, czy potrafiłbym zrobić spektakl prowokację. Chyba nie znajdę odpowiedzi, dopóki nie spróbuję. Na razie nie czuję wewnętrznej potrzeby, ale podziwiam tych, którzy to robią.

Jakie są następne etapy pańskiej drogi?

– Chciałbym poszerzać zestaw narzędzi, którymi pracuję. Nie ukrywam, że od metafizycznego realizmu, który interesował mnie na początku, idę w stronę rozwiązań formalnych – już „Wizyta starszej pani" miała silne akcenty formalne, gdzie psychologia schodzi na dalszy plan. Teraz jestem na etapie premiery „Listów z Rosji" de Custine'a w telewizyjnej Jedynce. To moja adaptacja dwóch tomów listów, które francuski dyplomata napisał w 1839 r., zafascynowany władzą autorytarną. Chciał sprawdzić, na czym polega ów fenomen, i zaszczepić go w Europie. Europa w jego ocenie była zmęczona, pozbawiona autorytetów. Jego dziad i ojciec zginęli na gilotynie, stracił więc wiarę w sprawiedliwość władzy konstytucyjnej i zachłyśnięty wizją władzy absolutnej wyjechał do Rosji. Już po krótkim czasie wracał stamtąd uleczony.

Chciał pan opowiedzieć o dzisiejszej Rosji?

– To bardzo ważna opowieść, ale nie tylko o Rosji. Owszem, jest to opowieść o mechanizmach władzy, zapowiedź końca świata carów, co jednak nie zmieniło samej mechaniki rosyjskiego imperium. De Custine pierwszy przewidział rewolucję – jego słowa spełniły się co do litery. Ale to także opowieść o współczesnych mechanizmach wielkiej geopolityki, rzecz o Polsce, która od wieków przegląda się w słowiańskim zwierciadle Rosji. Wybrzmiewa tu też bardzo współcześnie i boleśnie wątek ustrojowy, różnica między władzą absolutną a konstytucyjną. Jedno spojrzenie na dzisiejszą Polskę i Europę wystarczy, żeby zrozumieć, jak ważne i głębokie są obserwacje francuskiego dyplomaty sprzed niemal 180 lat. Sam spektakl jest zakrojony szeroko: prawie 40-osobowa obsada, duży budżet jak na widowisko telewizyjne, zróżnicowana scenografia, wachlarz kostiumów, a wszystko zgodne ze starą, dobrą zasadą Teatru Telewizji – rzeczywistość budowana w hali zdjęciowej, metafora, skrót, umowność, kostium, forma, słowo, muzyka – bez udawania, że teatr telewizji jest niskobudżetowym filmem, bez zdjęć plenerowych, bez efektów komputerowych, green screenów. Tak jak wychowałem się na Englertach, na Bardinim, Kutzu, Wojtyszce, na klasycznych spektaklach Teatru Telewizji, których deficyt uważam za bolesny dla polskiej kultury.

> Nie jestem reżyserem, który tworzy w konflikcie.

Zachował pan wiarę w przyszłość Teatru Telewizji?

– To kwestia finansowania. Teatr nie wygra frekwencyjnie z sitcomami, serialami, natomiast jest dużo ważniejszy, bo to on zostaje. Mówimy o Złotej Setce Teatru Telewizji, a nie o złotych epizodach popularnych tasiemców.

Po „Walizce" „Listy z Rosji" wyglądają na przedsięwzięcie monumentalne.

– Tym razem również szukałem formy, ucieczki od realizmu, elementów groteski, aby mówiąc o rzeczach poważnych, przełamywać je ironią. Rzecz jest z definicji polityczna, ponieważ „Listy z Rosji" były zakazane w Rosji aż do czasów Jelcyna. Żeby było śmieszniej, sam car Mikołaj I, o którym m.in. rzecz traktuje, najpierw narzekał, że wpuścił autora do Rosji, a potem podobno wieczorami zaczytywał się w jego dziele. Zresztą zaczytywali się dyplomaci na całym świecie.

Zapewne nie było łatwo wybrać materiał z dwóch tomów listów. Nie ma tam fabuły.

– Starałem się to zrekompensować wędrówką emocjonalną głównego bohatera, w którego znakomicie wcielił się Piotr Adamczyk. Ta rola jest lokomotywą spektaklu. Jego droga ku świadomości rekompensuje brak klasycznej fabuły. Galeria barwnych postaci, które spotyka, wypełnia jego podróż pełną przygód. Obsada zresztą jest silną stroną „Listów z Rosji". Oprócz Piotra Adamczyka Adam Ferency, Andrzej Mastalerz, Halina Łabonarska, Jerzy Schejbal, Grzegorz Małecki, Przemysław Bluszcz, Ewa Telega, Olga Sarzyńska, Ania Grycewicz, Krzysztof Szczepaniak i wielu innych, w tym studenci Akademii Teatralnej. To prawdziwe święto aktorów. W pewnym momencie miałem poczucie, że wszyscy w telewizji są przerażeni skalą projektu. Musieliśmy zainscenizować i Pałac Zimowy, i pokład statku, i twierdzę Szlisselburg. Pełne szaleństwo, a wszystko w siedem dni.

Tomasz Miłkowski

„Listy z Rosji", Adam Ferency i Halina Łabonarska.

FOT. KRZYSZTOF DUBIEL/WFDiF/MATERIAŁY PRASOWE, JAN BOGACZ/TVP

eprasa.pl b7ef0e37e9

Ewa Smolińska-Borecka

ARTYSTA ZNIKNĄŁ, SMUT

GENIUSZ, UWIELBIANY PRZEZ TŁUMY, NIE POTRAFIŁ BYĆ DOBRYM MĘŻEM I OJCEM, SPRAWDZIŁ SIĘ JAKO DZIADEK

Chyba był optymistą. W 1984 r., między stanem wojennym a przemianami roku 1989, pisał w piosence „Smutne miasteczko": „(…) Śmiech istotnie przygasł w narodzie, / a radosna ministrów rada / zakrzyknęła: »O to nam chodzi! / Ta koncepcja nam odpowiada!«. / A widz pewien pod płaczu beczką / do sąsiada szepnął: »Sąsiedzie, / to jest tylko smutne miasteczko, / ono sobie kiedyś pojedzie…«".

Jednak to Wojciech Młynarski zniknął, smutne nie tylko miasteczko pozostało. Odszedł w środowy wieczór, 15 marca. Za rękę trzymał go syn Jan. O śmierci jako pierwsza poinformowała młodsza córka Paulina. Kilka dni wcześniej przyszła do szpitala pierwsza żona Młynarskiego Adrianna Godlewska, mama Agaty, Pauliny i Jana. Osoba związana z rodziną wyjawiła prasie, że Adrianna poprosiła, by Wojciech Młynarski uścisnął jej dłoń, jeśli ją słyszy. Zrobił to. Potem zostali sami w sali szpitalnej. Podobno pani Adrianna chciała powiedzieć, że nie ma żalu, że ją opuścił.

MISTRZ NA BASENIE

Czy ktoś mógłby zliczyć, ile razy słyszał piosenki Młynarskiego? Dziesiątki tysięcy, setki tysięcy, milion razy? Wojciech Młynarski rymował od dzieciństwa jak wiele dzieci, ale większość z tego wyrasta. On nie. W rodzinnym archiwum jest wiersz z 22 listopada 1950 r. Miał dziewięć lat, kiedy napisał rymowane życzenia dla babci. Zakończył je: „(…) I łobuz rozkrzyczany, nieznośny Wojtala, / Przed każdym się swym wierszem wspaniałym pochwala. / Wszyscy krzyczą, winszują, wrzeszczą i gadają, / I Babuni życzenia najlepsze składają. Kochający wnuk Wojtek".

Nie wiem, kiedy po raz pierwszy usłyszałam coś z repertuaru Młynarskiego. Może to była piosenka „Jesteśmy na wczasach", którą szczególnie upodobał sobie mój tata i wykonywał z pasją, grając na pianinie. Oczywiście widziałam Wojciecha Młynarskiego wiele razy w telewizji. Po raz pierwszy na żywo zobaczyłam go w pewien letni dzień na odkrytym basenie Gwardii w Warszawie. Wpadał tam czasami, bo mieszkał w pobliżu z żoną i córkami (syn pojawił się na świecie kilka lat później). Nie pamiętam, czy był sam, czy z Agatą i Pauliną, ale pamiętam poruszenie plażowiczów, kiedy odkryli, że na jednym z koców siedzi Mistrz. Lubił być blisko zwykłych ludzi, bo to z tych spotkań często czerpał pomysły na piosenki i wyłuskiwał powiedzenia, które potem stawały się kultowe.

Dwa razy byłam na jego recitalu: w nieistniejącej już kawiarni przy Grójeckiej w Warszawie – teraz mieści się tam klub Dekada – i w wakacje pod koniec lat 80. w kawiarni Grand Hotelu w Sopocie.

Raz miałam okazję rozmawiać z Mistrzem. Był marzec 2006 r. W tygodniku „Gala" staraliśmy się, żeby w numerach świątecznych wiodący artykuł opowiadał o tym, jak święta spędza znana rodzina. Zaproponowałam Młynarskich. Jako pierwsza gazeta pokazalibyśmy Wojciecha Młynarskiego z dziećmi i wnukami. Pomysł został entuzjastycznie przyjęty przez naczelną.

I zaczęły się schody. Syn pana Wojciecha Jan studiował wówczas w USA, więc jego udział w sesji zdjęciowej był niemożliwy. Agatę i Paulinę czasem udawało się namówić na rozmowę, lecz ich dzieci odmawiały jakiegokolwiek kontaktu z dziennikarzami. No i największy problem – przekonanie do rozmowy i udziału w sesji Mistrza. Mediacji podjęła się Agata. Wojciech Młynarski rzadko udzielał wywiadów nawet poważnym tytułom prasowym. I nie był skłonny pozować z rodziną. Pismo takie jak „Gala" było dla niego jak z innej planety. Jednak w końcu się zgodził. Może, jak w przypadku wypadów na basen, potraktował to jako nowe doświadczenie, które może sprowokować powstanie tekstu piosenki lub felietonu?

Rozmowę z Agatą i jej synami: Stanisławem, który miał wówczas 21 lat, i 17-letnim Tadeuszem, przeprowadziłam w ich domu w podwarszawskim Zalesiu Górnym. Z Pauliną i jej córką Alicją, 13-latką, miałam rozmawiać przed sesją zdjęciową. Wojciech Młynarski zgodził się na krótki wywiad przed sesją, ale zastrzegł, że w każdej chwili będzie mógł go przerwać.

eprasa.pl b7ef0e37e9

Producentka sesji wymyśliła, że odbędzie się ona w popularnym klubie Piekarnia na warszawskim Żoliborzu. Ponieważ dopiero po północy skończyła się jakaś impreza, panował tam potworny rozgardiasz. Na dodatek było bardzo zimno. Obsługa wszystko porządkowała i dogrzewała. Zaczęłam się niepokoić, że kiedy Mistrz to zobaczy, zrezygnuje. A kiedy o planowanej godzinie w ogóle nie pojawił się w Piekarni, zdenerwowałam się naprawdę. Bez niego ta wielkanocna okładka nie miała sensu.

Wreszcie przyjechał. Zgodził się na rozmowę. Cierpliwie pozował. Powstał artykuł, który uważam za jeden z najważniejszych moich tekstów w „Gali". W leadzie napisałam: „Jedna z najbardziej znanych rodzin w Polsce. Klan Młynarskich. Były w jego historii burze z piorunami i dobre emocje, wielkie miłości i dramatyczne rozstania. Oddalali się i zbliżali. Teraz są naprawdę bardzo blisko siebie. Po raz pierwszy udało się zebrać trzy pokolenia".

TAK BLISKO

– Staramy się trzymać ze sobą – mówił wtedy Młynarski. – Święta są dla nas bardzo ważne. One są cezurą w naszym rodzinnym życiu. Przywiązujemy ogromną wagę do tych spotkań. W Boże Narodzenie i Wielkanoc chcemy być razem.

Był czas, kiedy wydawało się, że słowo razem pozostanie tylko frazesem. Agata miała zaledwie 19 lat, kiedy wyprowadziła się z domu, wzięła ślub, urodziła Stasia. Nie chciała urządzić się u rodziców w ich dużym, pięknym domu. Z mężem i synem zamieszkała u dziadka Hieronima, choć miał niewielkie dwa pokoje. Zaledwie dwa lata później z rodzinnego domu wyfrunęła 16-letnia Paulina. Wyjechała do Francji, w nieznane. Wtedy to był szokujący krok. Mówiono, że zagrała u Wajdy i gwiazdorstwo jej odbiło. A ona nigdy nie rozwodziła się nad swoją motywacją. Co najwyżej sugerowała, że nie bez znaczenia była atmosfera w domu rodzinnym.

– Najpierw Agata, potem Paulina... W pewnym momencie rodzina się rozpadła, bo niezależnie od tego wszystkiego, co działo się w życiu córek, ja wyprowadziłem się z domu – wspominał Wojciech Młynarski. – Nasza rodzina zaczęła funkcjonować na powrót dopiero wtedy, kiedy dziewczyny podrosły, dojrzały i doceniły, jak ważne są te więzi. W znacznej mierze to właśnie one je odbudowały.

W święta Bożego Narodzenia w 2005 r., po raz pierwszy od lat, do kolacji wigilijnej przy jednym stole zasiedli mama Agaty, Pauliny i Jasia – Adrianna Godlewska i ich tata. Rany spowodowane rozstaniem goją się bardzo powoli.

NE MIASTECZKO ZOSTAŁO

Dzieci Wojciecha Młynarskiego – Paulina, Agata i Jan – na promocji książki „Od oddechu do oddechu" z jego tekstami.

DO ILU RAZY SZTUKA

Agata jest po raz trzeci mężatką, Paulina ma za sobą cztery nieudane małżeństwa. Ostatnie zakończyło się rozwodem w 2010 r. Ale wśród wybranków Pauliny nie było ojca jej córki, choć podobno on był najważniejszym mężczyzną w jej życiu. Obie siostry Młynarskie przyznają, że zafundowały swoim dzieciom niezbyt spokojne dzieciństwo.

– Czy to dobrze, że moi partnerzy wprowadzali się do mnie? – zastanawiała się Agata. – Myślałam, że dom powinien być spokojną przystanią, że powinnam go chronić przed burzą, jaką jest pojawienie się w nim obcego mężczyzny. Ale okazało się, że tak się nie da, kiedy jest się osobą publiczną. Miałam przesiadywać po restauracjach? Lepiej zabrać dzieci i pojechać na wakacje. Poza tym ja nie miałam romansów. Jestem osobą nie na romansowanie, ale na życie. Krótsze, dłuższe, bardziej lub mniej burzliwe, ale życie. Jestem monogamistką i jeśli decyduję się na jakiś związek, całkowicie mu się poświęcam.

Najpierw Agata, potem Paulina... W pewnym momencie nasza rodzina się rozpadła.

Odkąd Agata i Paulina dorosły, tata nie wtrącał się w ich życie. Ale był taki okres, kiedy przekonywał Paulinę, że nie powinna być sama. – Mówił mi: „Musisz mieć oparcie w jakimś mężczyźnie" – wspominała. – Te słowa bardzo mocno mi zapadły w serce i szukałam tego związku. Ale w końcu uznałam, że jego prawo tak mówić, a moim prawem jest kierować się własnym dobrem. Nie będę z kimś wyłącznie z tego powodu, że muszę kogoś mieć.

SUPERDZIADEK

Nigdy nie miał zbyt wiele czasu dla dzieci, zajęty własną twórczością. Ale jako dziadek Wojciech Młynarski sprawdzał się naprawdę dobrze. Jakby chciał wynagrodzić córkom, że dla nich

eprasa.pl b7ef0e37e9

Agata Młynarska z synami – Stanisławem (z lewej) i Tadeuszem na wręczeniu Wojciechowi Młynarskiemu Złotego Berła w październiku 2008 r.

brakowało mu cierpliwości. Miał bardzo bliski kontakt z wnukami: 21-letnim wówczas Stasiem, studentem II roku psychologii stosunków międzykulturowych, i 17-letnim Tadeuszem, licealistą – synami Agaty, oraz 13-letnią Alą, uczennicą gimnazjum – córką Pauliny.

Nie lubił słowa dziadek. Wnukom kazał mówić mu po imieniu. Tadzio i Staś podporządkowali się temu życzeniu bez problemu. Kiedy opowiadali o nim, mówili: Wojtas Dziadas. Podobnie Ala, córka Pauliny. Ale ona nie zwracała się do dziadka po imieniu. – Przez kilka lat walczył ze mną, żebym mówiła do niego Wojtek – wspominała w 2006 r. – Wstydziłam się. Myślałam: „Jak mam tak mówić, to przecież nie jest jakiś tam Wojtek?". W końcu stanęło na moim.

Z Wojtasem Dziadasem najbardziej zżyty był Staś. Kiedy wybierali się gdzieś razem, dziadek przedstawiał go znajomym: „To mój wnuk i ziomek", czyli kumpel. – Dobrze się dogadujemy jako dwóch facetów – uważał Staś. – Dziadek jest niestereotypowy, to postać niemal bajkowa. Bywają okresy, kiedy spędzamy razem dużo czasu. Chodzimy na premiery, czasem do knajpki.

Agata potwierdziła, że starszy syn ma świetny kontakt z dziadkiem: – Wiem, że zdanie Stasia jest szalenie ważne dla taty.

– Staram się przyjaźnić z moimi wnukami – mówił Wojciech Młynarski. – Mam wrażenie, że nasz kontakt jest dobry, zwłaszcza ze starszym, Stasiem. Zapraszam go do restauracji na hinduskie jedzenie, które obaj lubimy. Wtedy gadamy na różne tematy, które nas interesują: o muzyce, sztuce. Rozmawiamy nawet o dziewczynach. Mój kontakt z Tadziem jest luźniejszy, bo on jest młodszy i interesuje się przede wszystkim wspinaczką, a ja w tej dziedzinie nie mogę mu służyć doświadczeniem. Myślę, że dogaduję się także z Alą. Z nią zazwyczaj rozmawiam o tańcu, np. charakterystycznym, flamenco. Pochwalam to, że tańczy, i mam wrażenie, że coś z tego będzie.

Nie lubił słowa dziadek. Wnukom kazał mówić mu po imieniu.

WNUCZKA ALICJA

Tańczy od ósmego roku życia. Marzyła o szkole baletowej. Kiedy mieszkały z mamą w Paryżu, chciała się dostać do szkoły przy operze. Nie zdążyła, bo nieoczekiwanie wróciły do kraju. W 2006 r., kiedy powstał artykuł, Ala chodziła do dobrej szkoły tanecznej w Warszawie. Mówiła, że balet klasyczny to podstawa, ale najbardziej kocha taniec nowoczesny, np. street jazz.

Ale Wojtas Dziadas też pewnie miał satysfakcję jako tekściarz i przed laty członek różnych kabaretów, kiedy usłyszał, że wnuczka założyła z koleżanką Kabaret Młodszych Pań. Poza tym pasją Ali były happeningi. Na przykład w 2006 r. zorganizowała w szkole happening pod hasłem: „Nie bądź obojętny na głód na świecie". Wcześniej zbierała pieniądze na pomoc dla dzieci w Afryce, dla bezdomnych psów. Albo po prostu z twarzą pomalowaną farbami wędrowała po ulicach Zakopanego, by wzbudzać śmiech przechodniów i – jak mówiła – rozjaśnić szarość dnia.

– Moim ulubionym zajęciem jest cieszenie się życiem – twierdziła. – Mam dni, kiedy przepełniają mnie taka euforia i szczęście, że nie jestem w stanie siedzieć cicho.

WNUK TADEUSZ

Tadzio mówił, że prędzej Ziemia przestanie się kręcić, niż jego przestanie kręcić wspinaczka. – Z bratem będziemy pierwszym pokoleniem w rodzinie, które pójdzie własną drogą, nie w stronę sztuki, teatru, muzyki. Czuję, że ze wspinaniem zwiążę swoją przyszłość. Teraz to dla mnie najpoważniejsza sprawa.

Zainteresował się nią, kiedy miał 10 lat. Znalazł w domu książkę o tym, jak się wspinać na skały. Namówił tatę, żeby zawiózł go na ściankę. Tak się zaczęły cotygodniowe wspinaczki. A po roku z kolegą wyjechał do Jury Krakowsko-Częstochowskiej i na skałkach ukończył kurs. Nowy sport pochłonął go bez reszty. Dopiero jako 17-latek wyjawił mamie, że pieniądze, które do-

Paulina Młynarska z córką Alicją.

eprasa.pl b7ef0e37e9

stawał na obiady, przeznaczał na sprzęt wspinaczkowy. Wracał do domu z pustym brzuchem, ale z nowym karabińczykiem.

Trenował na ściance, jeździł na skały, startował w zawodach. W 2006 r. otrzymał nagrodę Orła Klubu Wysokogórskiego za osiągnięcia wspinaczkowe. Najlepszym przyjacielem Tadzia był wtedy 25-letni brat Agaty i Pauliny. Jasiek kiedyś powiedział nawet, że gdyby urodził się później i gdyby nie był tak zafascynowany graniem na perkusji, też by się wspinał. Ale perkusja wygrała. W 2006 r. uczył się bębnić w słynnej szkole w Nowym Jorku.

– Każdy sam powinien sobie znaleźć pomysł na życie – uważał dziadek Wojtek. – Niczego nie należy robić na siłę. Pewnie, że byłoby przyjemnie, gdyby któryś z wnuków poszedł moją drogą, ale tak się nie stało i raczej już nie stanie. Każdy kontynuuje i rozwija w sobie to, do czego ma zamiłowanie.

Wojciech Młynarski od początku wspierał pasję wspinaczkową wnuków, bo jest entuzjastą gór. Tą miłością zaraził całą rodzinę. – W Tatrach mamy dom, który nazywamy Puciówką, od „Pucio, pucio" – mówił. – Stoi w Kościelisku na Polanie Sobiczkowej i jest to najmilsze miejsce pod słońcem. Jeśli możemy tam się spotkać, jesteśmy najszczęśliwsi. Tam są najprzyjemniejsze święta i wakacje. Nie ciągnie nas specjalnie w odległe kraje, wolimy pojechać do Kościeliska. Tam jest niezwykła atmosfera, której nie da się opisać w żadnym języku.

WNUK STANISŁAW

Trzy lata po Tadziu na wspinaczkową chorobę zapadł jego starszy brat: – Z górami byłem związany od zawsze, podobnie jak brat i cała rodzina. Przecież w Tatrach spędziliśmy wiele wakacji i świąt. Gdy miałem cztery lata, a Tadzio był malutki, mama chodziła z nami na wyprawy w góry – brat siedział w nosidełku na piersiach, ja na plecach. Później tata zabierał nas na wędrówki po Tatrach i pamiętam, że siedziałem mu na barana.

Z powodu swojego hobby za najpiękniejsze święta wielkanocne uważają te w 2005 r. Spędzili je z mamą, dziadkiem, Pauliną i Alą w Puciówce. I oczywiście się wspinali.

Główną „sponsorką" wspinaczkowych zainteresowań synów była Agata. – Od początku byłam całym sercem po stronie Stasia i Tadzia – mówiła. – Oni wybrali taki styl życia w opozycji do tego, co działo się i dzieje w naszej rodzinie. W ten sposób zaistnieją na tle rodziny pełnej silnych osobowości, tradycji artystycznych i historycznych. Znaleźli swoją koleinkę.

LUDZIE PATRZĄ

Przez lata Paulina była zakopiańską korespondentką radia, potem paryską. Dla przechodniów – osobą anonimową. Kiedy w 2005 r. związała się z telewizją, zaczęła być rozpoznawana.

24 marca Wojciecha Młynarskiego żegnały tłumy.

I w ten sposób jej córka zaczęła odczuwać plusy i minusy popularności, o których do tej pory słyszała jedynie z opowieści Stasia i Tadzia. Oni nie znosili tego, że ktoś interesował się ich mamą, prosił ją o autograf, a wszystkie oczy zwracały się w ich kierunku. Mieli wtedy ochotę zapaść się pod ziemię.

Agata śmiała się z tych narzekań, bo sama przeszła taką szkołę. – Pamiętam, jak miałam 17 lat i szłam z tatą po Krupówkach – wspominała. – Nagle za plecami usłyszałam przeciągły gwizd i stwierdzenie: „Patrzcie, Młynarski z jakąś młódką".

Największym poruszeniem, jakie udało się na początku 2006 r. wywołać rodzinie, był zdaniem Stasia i Tadzia wspólny wypad na przedstawienie „Romea i Julii". Oprócz mamy towarzyszył im wówczas dziadek. Tadeusz: – Mama twierdziła, że nikt nie patrzy, ale widziałem, że ludzie w kolejce się oglądali. Czułem się fatalnie. Miałem ochotę uciec. Ale mama i dziadek nie uciekną przed sobą.

Przed „Galą" żadnej gazecie nie udało się namówić braci na sesję zdjęciową. W szkołach nieliczni wiedzieli, kto jest ich mamą, bo na ich prośbę nigdy nie pojawiała się na wywiadówkach, a nazwisko noszą po tacie. Nigdy więc nie słyszeli od nauczycieli uwag, że powinni lepiej napisać wypracowanie. Najwyżej wytykano im braki w historii, bo rodzina ojca to znani historycy. – Kiedyś nauczyciel mnie spytał: „Czy jesteś z tych Kieniewiczów?" – opowiadał Tadzio. – Przytaknąłem. I wiedziałem, że będzie uważał, że powinienem umieć więcej.

„MŁYNARZE" W PIEKARNI

Byli jak paczka przyjaciół. W 2006 r. Paulina i Agata mieszkały blisko siebie, często się odwiedzały. Chłopcy mówili po imieniu Paulinie, Ala Agacie. Co łączyło ich poza więziami rodzinnymi? Oczywiście góry i Puciówka. A także specyficzny humor Młynarskich. – Nas pociąga humor abstrakcyjny, coś takiego, co jest ponad warstwą zjawisk normalnych, jakaś mgiełka lekkiego absurdu. To nas najbardziej bawi – mówił Wojciech Młynarski. – I na to wszystko najszybciej reagują i dzieci, i wnuki. Wystarczy rzucić hasło i od razu jest ono łapane. Może się tak zdarzyć, że jeśli w naszym towarzystwie jest ktoś z zewnątrz, spoza „klanu" Młynarskich, nie wie, o co nam chodzi. Aczkolwiek to nie jest takie częste.

FOT. AKPA, MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS, DIGITAL/EAST NEWS, VIPHOTO/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl b7ef0e37e9

W czasie sesji zdjęciowej wystarczyło, by ktoś z rodziny rzucił nazwę klubu Piekarnia, a rozlegał się chichot. „Młynarze" w Piekarni – to przecież niezły greps. Małomówny Tadek, który przez pół wieczoru nie otwierał ust, nagle potrafił powiedzieć coś tak zabawnego – w typie humoru „młynarskiego" – że Ala przez kwadrans turlała się ze śmiechu po podłodze. Agata szalenie ceni u synów poczucie humoru, podobne do tego jej ojca i mamy, bo pozwoliło im przetrwać najtrudniejsze chwile, których w rodzinie nie brakowało. – U Młynarskich wszyscy są zakręceni w niewymuszony, naturalny sposób. Każdy ma swoją korbę – twierdził Staś. – To nas łączy. Kolejna nić porozumienia to muzyka. Wojtas Dziadas jest wybitnym wielbicielem samby. Po nim i babci Adriannie odziedziczyliśmy słabość do tej muzyki. Nasze serca grają sambę.

11 LAT PÓŹNIEJ

Od wielkanocnej sesji zdjęciowej minęło 11 lat. Agata jest szczęśliwą żoną Przemysława Schmidta, Paulina singielką. Jan wrócił ze Stanów, ożenił się, ma dwie córki: Helę i Różę. Jest znanym perkusistą, gra w zespole Warszawskie Combo Taneczne, wydaje płyty, w 2016 r. był nominowany do nagrody Wdechy 2015 w kategorii Człowiek Roku.

Stanisław Kieniewicz, 32-letni, przed końcem 2010 r. ożenił się z wieloletnią narzeczoną Kają. Mają dwie córki: sześcio- i czteroletnią. Tadeusz Kieniewicz, 28-letni, ukończył Warszawską Szkołę Filmową, jest operatorem. W 2016 r. miał premierę holenderski film „Bezness as usual", opowiadający o seksturystyce, w produkcji którego uczestniczył. Na Facebooku Agata napisała wówczas: „Miał przyjemność odpowiadać za część narracyjną zdjęć do tego filmu. Jestem dumna z Tadzia i szczerze mu gratuluję pasji, talentu i wytrwałości". Podobno na razie młodszy z braci nie planuje założenia rodziny.

Alicja Nauman, córka Pauliny, 24-latka, w 2013 r. razem z mamą napisała książkę „Kochaj i rozmawiaj". W lipcu 2015 r. debiutowała jako dziennikarka – była współautorką artykułu „Mścicielki gender", który opublikowała „Krytyka Polityczna". W internecie przedstawia się jako tancerka i antropolożka. Jak widać, nie wyrosła z zamiłowania do tańca. Nie przeszła jej też pasja do happeningów ani walki o słuszną sprawę.

U Młynarskich wszyscy są zakręceni w niewymuszony, naturalny sposób. Każdy ma swoją korbę.

W rozmowie z portalem i-D Polska opowiedziała o udziale w „czarnym poniedziałku", który połączył trzy pokolenia, bo – jak wyjawiła – pod kolumną Zygmunta spotkała się ze swoimi babciami, mamą i ukochaną.

W piątek, 24 marca, klan Młynarskich pożegnał Mistrza. Wojciech Młynarski spoczął w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach.

Ewa Smolińska-Borecka

eprasa.pl b7ef0e37e9

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale

CAŁKOWITE ZAĆMIENIE

– Ja mam z trumienką, a ty z czym? – Ja z impotencją. – Ej, ma ktoś z dziurą w krtani?

Jest sobotni wieczór, na stole jednej z wrocławskich knajpek oprócz wina lądują paczki papierosów. W nowych, słynnych opakowaniach: z fotogeniczną trumienką, nad którą – w towarzystwie gromnicy – stoją smutni rodzice. Ze skulonym na łóżku mężczyzną, przygnębionym brakiem erekcji. Także z pornograficzną dziurą w krtani, z gnijącym paluszkiem i wampirzycą krwiście opluwającą chusteczkę. – Ja zawsze biorę te z impotencją – odzywa się pewien fotograf. – Tak, jednak impotencja jest najmniej inwazyjna – przytakuje koleżanka.

Oglądamy opakowanie z fotką, na której pan jest smutny, bo zawiodło go własne ciało. Fotka jest zabawna i groteskowa, jak nieudana pantomima, choreografia, podczas której ktoś pokazuje ręką, jak „zdusić w sobie nienawiść". – W sklepie wszyscy zawsze proszą, żeby raka wymienić im na impotencję. – E, nieprawda – ktoś czujny podnosi palec. – Słyszałam, jak facet zapytał, czy może prosić o męskie z rakiem, bo wylosował jakieś babskie o ciąży. – Ty, ale to z zaćmą jest niesamowite – fotograf profesjonalnie rzuca okiem na inną paczkę. – Takie oko zaćmione, lśniące matowo, dziwnie, jak nefryt? jak laka. – Co ty pieprzysz, chłopie, jaki nefryt. Jakby cię zaćmiło, toby ci nie było przyjemnie. – Już mnie zaćmiło – fotograf dolał sobie porcyjkę z karafki.

– Ja mam z trumienką, a ty z czym? – Ja z impotencją. – Ej, ma ktoś z dziurą w krtani?

Wszyscy przy stole studiowali zdjęcia na opakowaniach, jakby dokonywali medycznych oględzin lub zgłębiali jakąś awangardową *contemporary art* na wystawie. – Dziwne, skąd oni wzięli te stylizacje z lat 80.? – ktoś stuknął palcem w paczkę z białą trumienką. – Ci rodzice mają dziwne fryzury. A facet jest wąsaczem. – Co masz do wąsaczy?! – krzyknął z głębi sali jakiś wąsacz.

– Nie, no serio. Ale dziwni ci ludzie. Czemu nie dali na te foty jakichś pięknych kobiet, hipsterów, którym przez papierosy przytrafia się coś złego? Na przykład przystojny brodacz z kucykiem (– Ubrany w białą koszulkę w groszki! – dorzuca kumpela) dostał zlecenie: ma zrobić projekt okładki nowej książki Jakuba Żulczyka. Ponieważ jest grafikiem. Przez tydzień robił ten projekt, miał *flow*, totalne natchnienie, szło mu fantastycznie i jest pewny na bank, że projekt przejdzie. Na rozmowę o projektach zaproszono jego i dwóch innych grafików, więc facet wie, że szanse ma 1 do 3. Musi ich jeszcze tylko oczarować, a w tym akurat jest dobry, to naprawdę potrafi. Wypachniony i odpicowany chce wsiąść do metra, ale czuje, że strasznie chce mu się palić. Maca kieszenie, obczaja torbę – kurde, fajki zostały na biurku. W jednej chwili marzy już tylko o tym: o maszku, nikotynie krążącej w żyłach, natychmiastowej stymulacji ośrodkowego układu nerwowego. Czym bardziej nie ma petów, tym bardziej chce mu się palić. (– Jak zwykle – dodaje ktoś kwaśno z głębi własnego doświadczenia). Facet zerka na zegarek: ma jeszcze 40 minut, swobodnie zdąży kupić paczkę i wyjarać na pełnym luzie, refleksyjnie, przed wejściem do metra. Idąc po fajki, jest rozkojarzony i zderza się z niesforną rowerzystką, która jedzie po chodniku, ponieważ zatruła się szczypiorkiem i czuje, że właśnie dostaje sraczki tysiąclecia. Śpieszno jej więc do domowego zacisza, kameralnej intymności (– O Jezu, no srać jej się chce – dodaje ktoś przy stole, zirytowany). W każdym razie zderzają się: ona spada z roweru i rani sobie łokietek, on zaś rozdziera koszulkę w groszki i brudzi kolanko słodko-kwaśnym sosem, który ktoś rozciapciał na ziemi, bo obok był niezły Chińczyk. Nasz grafik sprawdza, czy nic się nie stało dziewczynie (ona bagatelizuje sprawę, naprawdę ma teraz inny problem), klnie i wraca do domu, żeby się przebrać. Przebiera się w koszulę w małe hipopotamki, zamawia taksówkę, lecz pechowo zacina się zamek. Gość nie może wyjść z domu. Wszystko przepada. W ten sposób – przez nałóg nikotynowy – nasz hipster bezpowrotnie stracił szansę na zrobienie okładki do nowej książki Jakuba Żulczyka.

– Dooobreee – mówi wzruszona koleżanka, która słuchała historii z szeroko otwartymi oczami, jak dziecko, któremu ktoś opowiada bajkę do snu. – Ale jak to pokazać na obrazku? Fotograf zignorował to (chamskie) pytanie i uśmiechnął się z zadowoleniem. Koleżanka zaś podsunęła mu następną paczkę, tę z trumienką. – A teraz o tym – powiedziała rozmarzona. – Wymyślmy historie do wszystkich pudełek. I one powinny się znajdować w środku, jak historyjki w gumach Donald.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Wejdź, czytaj! Wyraź opinię!

www.tygodnikprzeglad.pl
www.facebook.com/TygodnikPrzeglad
https://twitter.com/TygPrzeglad

eprasa.pl b7ef0e37e9

KURTYNA W GÓRĘ

KTO TY JESTEŚ?

Tadeusz Słobodzianek, „Historia Jakuba", reżyseria Ondrej Spišák, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Scena na Woli im. Tadeusza Łomnickiego, prapremiera 17 marca 2017

Nie wystarczy odpowiedzieć: jestem człowiekiem. Otoczenie żąda szczegółów. Pyta o rasę, narodowość, płeć, wyznanie, przynależność klasową, zawodową. Ciągle oczekuje samookreślenia. W szczegółach. A jeśli ktoś dowiaduje się, że jest z pochodzenia kimś innym, niż myślał? Ten właśnie problem, a nawet walkę wewnętrzną, ukazuje Tadeusz Słobodzianek w dramacie „Historia Jakuba", nawiązującym do losów ks. Romualda Jakuba Wekslera- Waszkinela. Żyd i ksiądz katolicki w jednej osobie? Ten paradoksalny zrost okazuje się nie tylko możliwy, ale wręcz pożądany przez bohatera. Tyle że nie znajduje on nikogo, kto taki sposób istnienia by wsparł. Podwójna „tożsamość" bohatera, polska i żydowska, stawia go wobec pytania, kim jest. Wciąż jest traktowany jak bliski-obcy. Dramatyzm opowieści splata się z żywiołowym humorem, łagodzącym przeżycia Jakuba, które Łukasz Lewandowski maluje wyrazistą kreską. Rzecz rozgrywa się na prawie pustej scenie, pośrodku stoi tylko długi stół i kilka krzeseł. W głębi sceny stare szafy. Nikt do nich nie zagląda, ale może kryją trupy?

Autor nie ucieka od wciąż trudnych związków polsko-żydowskich, od pełzającego jak zaraza antysemityzmu. Nikogo nie oszczędza. Może dlatego widzowie oglądają spektakl w narastającej ciszy, a po ostatnich słowach Jakuba: „Scalić to wszystko. Naprawdę chcę. Było cicho. Było pusto. Nie było nikogo. Wyszedłem na ulicę i zamknąłem za sobą drzwi", aktorzy nie wychodzą do oklasków. Ważne, poważne przedstawienie – teatr podstawowych pytań.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Cixin Liu

PROBLEM TRZECH CIAŁ

tłum. Andrzej Jankowski
Rebis, Poznań 2017

Kawał rzetelnej *science fiction*, z nadzieją na więcej, bo to dopiero początek trylogii. Temat całkowicie uniwersalny, a osadzenie akcji w nieogranych dla nas realiach chińskich, od rewolucji kulturalnej do współczesności, tylko podnosi atrakcyjność książki. Amerykanie jako herosi ocalający ludzkość mieli prawo już się znudzić, tu paru jedynie statystuje. Ziemię zaś wypadałoby dla nas uratować, nawet jeśli niektórzy przedstawiciele rasy ludzkiej uważają, że jako ogół wcale na to nie zasługujemy i najazd kosmitów będzie dla nas nauczką. „Między naiwnością i dobrocią, jaką ludzie przejawiają wobec Wszechświata, a ich stosunkiem do bliźnich jest dziwna sprzeczność. Na Ziemi mogą wyruszyć na inny kontynent i bezmyślnie zniszczyć cywilizacje, które tam zastaną, ale gdy patrzą na gwiazdy, stają się sentymentalni", pisze autor w posłowiu i przestrzega przed obdarzaniem Obcych zaufaniem i życzliwością. Tę okazujmy tu, na miejscu. Można przy okazji pozastanawiać się nad mentalnością ideologa, wyznawcy i terrorysty.

Aleksandra Pańko

NA EKRANACH

LOGAN: WOLVERINE

reż. James Mangold, prod. USA, już w kinach

Ledwie kończy się pierwszy kwartał 2017 r., a „Logan: Wolverine" już wyrasta na poważnego kandydata do tytułu filmu roku. Obraz Jamesa Mangolda („Wolverine", „Spacer po linie") do kina o superbohaterach wprowadza powiew świeżości, oddalając go od Avengersów i Batmanów. Chociaż akcja gna na złamanie karku, naznaczeni fatalizmem bohaterowie miotają się niczym postacie z antycznego dramatu, w pełni świadomi, że nie uda im się oszukać przeznaczenia. O napisanie scenariusza można by podejrzewać Jeana-Paula Sartre'a, gdyby parał się podobnymi historiami. W świecie przedstawionym piekło to bez dwóch zdań inni (ludzie), a narodziny rosomaków są takim samym absurdem jak ich śmierć, bo regulowaniem obu fenomenów dawno przestała się zajmować natura. Mimo pesymizmu, bezsensownej przemocy i topienia bólu egzystencji w używkach „Logan" jest oczyszczający, bo niepozbawiony nadziei. Ta przychodzi z najmniej spodziewanego kierunku. Nonszalancki Hugh Jackman i wybitna scena z krzyżem w końcówce czynią seans emocjonalnym doświadczeniem.

Artur Zaborski

eprasa.pl b7ef0e37e9

ZAJRZYJ TU

NIE JESTEM JUŻ PSEM

„Nie jestem już psem" – tak Radosław Perlak, artysta osadzony w Zakładzie Karnym w Rawiczu, określił zmianę w swoim życiu, odkąd zaczął tworzyć. On i kilkanaście innych osób to bohaterowie katowickiej wystawy. Postacie kultowe i nieznane, z dyplomami i bez, samotne wilki i ludzie undergroundu. Ich sztukę łączy kontestacja systemów politycznych i estetycznych oraz łamanie społecznych tabu. Scenografię wystawy przygotował Zbigniew Libera.

KATOWICE, MUZEUM ŚLĄSKIE, DO 10 WRZEŚNIA

STEPHEN KALTENBACH
Indeks możliwości

Stephen Kaltenbach jest pionierem sztuki konceptualnej (czyli pokazującej sam proces twórczy, koncept) w Stanach Zjednoczonych. W drugiej połowie lat 70. wcielał się w role fikcyjnych artystów, których nazwał Es Que? i Clyde Dillon. Uprawiali oni programowo „słabą" sztukę. Powołał do życia także postać Regionalnego Artysty (Regional Artist), budującego swoją karierę w środowisku kalifornijskim. W Łodzi można oglądać prace z kilku cyklów artysty – to pierwsza w Polsce tak obszerna prezentacja jego twórczości.

ŁÓDŹ, MS[1], DO 4 CZERWCA

SERIAL

BROADCHURCH

Ostatni sezon trzymającego w napięciu serialu kryminalnego. David Tennant i Olivia Colman powracają jako Alec Hardy oraz Ellie Miller. Trzy lata od wydarzeń przedstawionych w drugim sezonie para detektywów musi rozwiązać sprawę brutalnego gwałtu na Trish Winterman. Jak wykaże wstępna analiza, sprawca prawdopodobnie starannie zaplanował swój czyn. Czy w miasteczku grasuje groźny przestępca, gotów zaatakować w każdej chwili? Jaką tajemnicę skrywa ofiara? Co może łączyć ten czyn z okrutnym morderstwem z pierwszego sezonu?

ALE KINO+, OD 5 KWIETNIA, ŚRODY, GODZ. 20.10

MIĘDZY OKŁADKAMI

Agnieszka Kowalska, Aga Bilska, Filip Marek Klimaszewski
WARSZAWA. WARSAW

Polsko- i anglojęzyczny przewodnik pokazuje Warszawę w jej najlepszym wydaniu, nowoczesną, dzisiejszą, atrakcyjną. Subiektywnie, oczami dziennikarki Agnieszki Kowalskiej oraz fotografów: Agi Bilskiej i Filipa Marka Klimaszewskiego, którzy starają się wskazać, gdzie zjeść dobre śniadanie i napić się najlepszej kawy, a gdzie posłuchać muzyki i pójść na wieczorne piwo. No i co kupić na pamiątkę z Warszawy. Autorzy opowiadają o ludziach, którzy robią tu coś ciekawego. Odzew jest niesamowity! Goście chwalą miasto i chcą tu wracać.

ZASŁUCHAJ SIĘ

Harpsichorduo
Johann Sebastian Bach, Wilhelm Friedemann Bach, Wolfgang Amadeus Mozart

DUX

Dawne instrumenty przeżywają drugą młodość, więc wykonawcy muzyki dawnej dwoją się i troją. Na płycie mamy dwojenie – duet klawesynowy Harpsichorduo. Jego skład to dwie panie, prof. Elżbieta Stefańska, mistrzyni tego instrumentu, i jej wychowanka, dziś także pedagog, Mariko Kato. Na program składają się utwory trzech kompozytorów żyjących na przełomie XVII i XVIII w., kiedy klawesyn był w ciągłym użyciu, choć technicznie się zmieniał, by w końcu, w XIX w., wydać piękne potomstwo, fortepian. Oczywiście te utwory – koncert na dwa klawesyny J.S. Bacha oraz sonaty na dwa klawesyny Bacha syna i Mozarta – można dziś grać właśnie na fortepianach, ale warto posłuchać, jak to brzmiało kiedyś. Na pierwszy rzut ucha dawni artyści mieli trudniejsze zadanie, bo klawesyn nie daje takiej palety barw jak fortepian, a jego dźwięki są cichsze. Nie martwmy się tym – nagranie CD pozwala uzyskać brzmienie urozmaicone dynamicznie.

(bt)

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KATARZYNA CHMURA-CEGIEŁKOWSKA

eprasa.pl b7ef0e37e9

Rozmawia Agnieszka Nabrdalik

OD LAT UKŁADAM JEDEN EROTYK

Nigdy nie wynosiłam na ołtarze ani pisania męża, ani mojej skromnej profesji. Dom ma być domem

WACŁAWA MYŚLIWSKA

Co pani czyta?

– Właśnie skończyłam – i niemal oczy sobie popsułam – książkę autobiograficzną Izabelli Cywińskiej „Dziewczyna z Kamienia". Najpierw mąż przeczytał, a potem ja się dorwałam. Nie ubierałam się, chodziłam po domu w szlafroku i tylko czytałam. Bardzo bogata i ciekawa książka, napisana ładną polszczyzną, nie ma „zadziorów", co podczas lektury jest ważne dla byłego redaktora. Długo o niej rozmawialiśmy, tym bardziej że przyjaźnimy się z Izą.

Książki męża też pani czyta jednym tchem? To nie tajemnica, że jest pani ich pierwszym recenzentem.

– Mąż mówi, że najsurowszym. Za każdym razem bardzo przeżywa moje pierwsze czytanie. Wykonuje w tym czasie różne prace fizyczne, coś naprawia albo czyści. Czeka w napięciu. (…)

Gdy już pani kończy, mąż przychodzi jak po wyrok?

– No tak. Siada blisko mnie. Nie miażdżę go krytyką. (…)

Zdarzyło się, że pierwsze wrażenie było złe?

– Tak. Miałam duże wątpliwości przy ostatniej książce pt. „Ostatnie rozdanie", bo nie wiedziałam, czy wątku głównej bohaterki czytelnicy nie uznają za zbyt ckliwy. Koncepcja listów Marii bardzo mi się podobała, tylko bałam się, czy zostanie w nich odczytana mądrość, z jaką Maria mówi o miłości.

Mąż bronił swojej koncepcji?

– Pewnie! Jak niepodległości! (śmiech). Zawsze wszystkiego broni. Jest autorem, który pisze w sposób przemyślany, pracuje nad każdym zdaniem, nie uznaje pustych fraz. A jak pisze się tak, żeby zdania miały głębię, podszewkę, to potem każdego szkoda. Czasami pisanie mu idzie samo, niezależnie od niego, i zwykle są to najlepsze fragmenty. Ale zdarza się, że nie może utrafić w ton, który by go niósł.

Wyobrażam sobie, że takie utknięcie jest uciążliwe dla otoczenia.

– Pisanie porządkuje życie, ustawia dzień za dniem – człowiek wchodzi w rytm. Gdy mąż pisze, czuję się spokojniejsza, mam też więcej czasu dla siebie. Jak nie pisze, jest w dołku. Chodzi zdekoncentrowany, niespokojny, widzę, że ta sytuacja go męczy. To okres oczekiwania, w którym ja też uczestniczę. Wtedy ma większe zapotrzebowanie na moją obecność. Nie lubi, gdy wychodzę, woła mnie pod byle pretekstem. Uwalniam się, dopiero jak znowu siada do pisania. (…)

Jest pani szalenie wymagająca wobec wielbicieli twórczości męża.

– Wiem, że jego powieści są trudne, a to, że mają tak duże nakłady, jest dla mnie wielkim zaskoczeniem. Niektórzy najchętniej czytają to, co łatwo wpada w oczy, co jest tylko fabułą. Ale są też inni, którzy nie boją się trudu i chcą dotrzeć do czegoś więcej. To lubię. Jeśli czegoś oczekuję od czytelników, to myślenia.

> Jeśli czegoś oczekuję od czytelników, to myślenia.

W jakim teraz jesteście państwo momencie? Pani strój wskazuje, że to jeszcze nie jest etap czytania.

– Mąż właśnie pisze, ale trudno powiedzieć, kiedy skończy.

Myśli pani, że długo to jeszcze potrwa?

– Może długo potrwać, może się nawet źle skończyć. Zdarzyło się raz, że bardzo dużo napisał i potem z tego zrezygnował, odłożył i już do tego nie wrócił. Tak było z jego debiutem – wyrzucił prawie gotową książkę i napisał inną, „Nagi sad" w 1967 r. Boję się tego, bo chciałabym, żeby wreszcie odpoczął od pisania, tak przecież kosztownego psychicznie. Poza tym obiecałam sobie, że jak dożyjemy 60. rocznicy ślubu, zaprosimy wszystkich, których lubimy, i zrobimy wielkie przyjęcie. Chyba będę musiała je przesunąć.

Czy mąż podczas pisania traci kontakt z rzeczywistością? Z panią?

– Nie, ale bardzo często ma przerwy w tym kontakcie. Często, gdy do niego mówię, widzę, że myśli o czymś innym. Nigdy jednak nie separuje się od spraw bieżących, nie zostawia mnie z nimi. (…)

Gdy namawiała pani męża na studia polonistyczne, pewnie nie przyszło wam do głowy, że będzie żył z pisania książek?

– To w ogóle nie wchodziło w grę. Wyobrażałam sobie, że może jak się czasy zmienią, to zostanie profesorem, bo wiedziałam, że ma predyspozycje do czegoś większego. Wyobrażałam sobie, że będzie kiedyś bardzo dobrym naukowcem. Od zawsze był dociekliwy. To, co w dużym stopniu mnie ukształtowało, a na pewno wzbogaciło, to jego intelektualne oddziaływanie przez prawie 70 lat, bo znamy się od gimnazjum. Czuję się też wtajemniczona we wszystkie etapy twórczości. Tego nie wyczyta się w książkach.

Za młodych lat chciał budować okręty. Podobał się pani ten pomysł?

– Wziął się z jego zainteresowań matematyczno-fizycznych. Mąż ma ścisły umysł, ja za to byłam urodzoną polonistką, tylko że mój ojciec, którego głos najbardziej liczył się w rodzinie, powtarzał, że to nie są czasy dla humanistów. Mówił: „Wybierz studia, które dadzą ci konkretny zawód, zapewniający utrzymanie i niezależność, a myśleć i czytać i tak będziesz mogła". Posłuchałam go i zdecydowałam, że będę zdawać na stomatologię. Mąż pojechał do Gdańska zdawać na budownictwo okrętów. Pamiętam, że był bardzo tajemniczy. Mówił, że na pewno się nie

eprasa.pl b7ef0e37e9

Wacława Myśliwska z mężem, 2008 r.

WACŁAWA MYŚLIWSKA – urodziła się w Sandomierzu. Studiowała filologię polską na KUL. Po studiach w 1956 r. wyszła za mąż za Wiesława Myśliwskiego. Pracowała jako redaktorka w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, w Wydawnictwie Wiedza Powszechna i od 1969 r. do przejścia na emeryturę w Państwowym Instytucie Wydawniczym.

dostanie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam o tym, że tuż przed maturą, którą zdawaliśmy w 1951 r., w czasach ekstremalnego stalinizmu, wezwał go przewodniczący Związku Młodzieży Polskiej i oświadczył, że ma szansę otrzymać dyplom przodownika pracy w nauce i pracy społecznej, zapewniający dostanie się na studia wyższe bez egzaminów wstępnych, ale musi złożyć samokrytykę i zerwać znajomość ze mną, osobą tak nieprawomyślną. Jeśli tego nie zrobi, nie zostanie przyjęty na politechnikę. Odmówił. I rzeczywiście, niebawem się okazało, że mimo bardzo pomyślnego zdania egzaminów wstępnych z fizyki i matematyki nie został przyjęty na studia, jak mu „wyjaśniono": z braku miejsc.

Taki sam los spotkał oczywiście mnie. Ja byłam w jeszcze gorszej sytuacji wyjściowej, bo nie należałam do ZMP, co wówczas, w latach 50., było obowiązujące, jeśli myślało się o studiach wyższych. Mój ojciec nie uznawał takiego kompromisu. Był socjalistą od wczesnej młodości. Po wojnie polsko-bolszewickiej z 1920 r. został w wojsku, w czasie okupacji niemieckiej należał do Armii Krajowej. Po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną nie zaakceptował nowego ustroju Polski i poszedł na wewnętrzną emigrację. Z tych wszystkich względów nie pozwolił mi zapisać się do ZMP, więc uznano mnie za czarną reakcję i tzw. wroga klasowego. Chyba też ojciec nie wierzył, że jako dobra uczennica mogę nie być przyjęta na studia. Dla mnie był to szok. Nie złożyliśmy jednak broni. Dowiedziałam się skądś, że we wrześniu

Dom, praca zawodowa i jeszcze pisanie... Co tu dużo gadać, temu trzeba się poświęcić.

są dodatkowe egzaminy wstępne na Katolicki Uniwersytet Lubelski, i ucieszyłam się, że będę studiować to, co naprawdę chciałam – polonistykę. Mój przyszły mąż miał zamiar pracować zarobkowo, namówiłam go jednak, żeby pojechał ze mną do Lublina i zdawał na polonistykę, jak ja. (...)

Pod względem zainteresowań byliście z mężem zupełnie gdzie indziej.

– Geograficznie też – po czwartym roku wróciłam do rodziców, a mąż w tym czasie zaczął pracować w Warszawie. Studia scementowały nasz związek, bo chociaż oddzielnie mieszkaliśmy (ja na stancji z koleżankami, on w wynajętym pokoju) i fizycznie byliśmy od siebie daleko, to żyliśmy razem – razem chodziliśmy na wykłady, na seminaria, do stołówki, razem się uczyliśmy do egzaminów. Nie mając gdzie się podziać, łaziliśmy po parku i szukaliśmy

Do końca życia będę nosić wysokie obcasy!

wolnych ławek, a gdy wszystkie były zajęte, rozkładaliśmy się z książkami na trawie. Planowaliśmy się pobrać, tylko że przyszłość nie wyglądała różowo. Oboje wiedzieliśmy, że po KUL nie dostaniemy normalnej pracy, ale to on bardziej się denerwował. Był dojrzalszy niż ja. Ta praca spadła nam z nieba. Moja teściowa przypomniała sobie przyjaciela, z którym działała w Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". Podkochiwał się w niej, bo była bardzo piękną kobietą. Na jej prośbę użył kontaktów w stolicy i załatwił mężowi posadę redaktora w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Tak zaczęła się jego zawodowa przygoda. Po roku ja też tam wylądowałam.

Dla młodej dziewczyny praca w Warszawie była życiową szansą.

– Wychowywałam się w Sandomierzu, małym, historycznym mieście. Zabytek na zabytku, kościół na kościele. Rodzice nas krótko trzymali, nauczyciele też. Trudno było się wyrwać i pójść drogą wymyśloną przez siebie. W liceum moim największym marzeniem były pantofelki na obcasie. Zawsze chciałam być kilka centymetrów wyższa, do tej pory mąż mówi do mnie „Mała". Niestety, po okupacji w sklepach panowała pustka. Jedyne ładne rzeczy docierały z Ameryki w paczkach pomocowych UNRRA. Byłam przeszczęśliwa, gdy udało mi się kupić buciki na małym obcasie. Nauczycielka mnie skarciła, a ja w ogóle się tym nie przejęłam i dalej w nich chodziłam. Wie pani, do tej pory noszę tylko buty na obcasie. Podobna jestem w tym do mojej bab-

eprasa.pl b7ef0e37e9

ci, która była staroświecka i kochała sznurowane trzewiczki. Kiedy mama kupiła jej, osiemdziesięciolatce, zwykłe, płaskie czółenka, powiedziała, że nie będzie w nich chodzić. Ja też na płaskim obcasie nie wyjdę z domu. Czuję się nieubrana. Dopiero jak założę pantofelki, czuję się sobą. Do końca życia będę nosić wysokie obcasy! Chyba że w ogóle nie będę mogła chodzić albo będę chodziła o lasce... Nie, wtedy też będzie wypadało mieć troszkę wyższy obcas (śmiech).

Miała pani „charakterek".

– Zawsze byłam uparta, co często wypomina mi mąż. Myślę, że zawdzięczam to ojcu. Marzył o tym, żeby nikomu nie podlegać, chciał pracować u siebie, być sobie panem. Uprawiał hektarowy ogród z warzywami i owocami, z którego utrzymywaliśmy się za okupacji niemieckiej i po wojnie. Cenił sobie niezależność, chciał jej też dla swoich dzieci. Pamiętam, jak dyktowałam mu swoją pracę magisterską, a on przepisywał ją na maszynie. Był taki przejęty... Dzieciństwa nie miałam najgorszego, mimo niedostatku i strachu przed wojną. Wyjeżdżałam z domu przekonana, że dam sobie radę w świecie. Bardzo chciałam się usamodzielnić i wreszcie żyć po swojemu.

Na tym właśnie polega bycie we dwoje, aby dostrzegać kryzysy i umieć na nie reagować.

Udało się?

– Mieliśmy pracę w stolicy, ale nie mogliśmy się tam zameldować. Znajomi ze studiów znaleźli nam mieszkania w Legionowie – najpierw mężowi, potem mnie, więc wciąż nie żyliśmy razem. To był trudny okres. Przyjechałam w środku ciężkiej zimy 1956 r. Warunki w mieszkaniu były okropne. Do wydawnictwa docieraliśmy pociągami, które notorycznie się spóźniały. Wszystko w nich było brudne i poobdzierane, ale po dwóch, trzech godzinach czekania na strasznym mrozie czuliśmy się w nich jak w raju. Potem trzeba było dostać się do przepełnionego tramwaju z „winogronami", czyli pasażerami na schodkach, trzymającymi się przy wejściu poręczy i stłoczonych sąsiadów. W pierwszym dniu mojej pracy spóźniłam się trzy godziny do wydawnictwa, bo nie mogłam wsiąść do tak przeładowanych kolejnych tramwajów. Plusem było to, że zarabialiśmy i mimo codziennych trudów używaliśmy życia. Mieliśmy dobrze sytuowanych znajomych w Warszawie, chodziliśmy z nimi do lokali, na dansingi, imprezy sylwestrowe. Nikt nie miał prawa mówić nam, co wolno, a czego nie wolno. Właściwie najlepsze, różowe lata przeżyłam dopiero przy mężu.

Z doskoku nic dobrego nie wyjdzie.

Czym zajmowała się pani w wydawnictwie?

– Marzyłam, żeby trafić do redakcji, tak jak mąż, ale najpierw musiałam jakiś czas pracować w korekcie. Nie miałam wielkich zawodowych ambicji, po prostu chciałam mieć ciekawą pracę. Czułam gorszość mojego stanowiska, tyle że wtedy to nie miało dla mnie znaczenia. Mogłam się rozwijać. Zastępca redaktora naczelnego miał bzika na punkcie interpunkcji. Uważał, zresztą słusznie, że w języku polskim to jedyna dziedzina, która ma niezmienne zasady. Sprawdzał po nas teksty i tępił wszelkie braki. Mówiliśmy na niego: stary, zawzięty grzyb. Byliśmy młodzi i jak ktoś miał choćby dziesięć lat więcej, wydawał nam się „wiekowy". Dziś jestem mu wdzięczna, bo nauczył mnie stawiania przecinków. Pamiętam, że pierwszym tytułem, którego korektę robiłam, była „Ulana", powieść ludowa Ignacego Kraszewskiego. Maleńka taka, ale podali do druku moje imię i nazwisko. Byłam tak z tego dumna, że wysłałam egzemplarz rodzicom. W końcu dostałam się do redakcji, mimo to zwolniłam się i kilka lat pracowałam w Wiedzy Powszechnej, potem i stamtąd odeszłam i już do emerytury pracowałam w Państwowym Instytucie Wydawniczym.

Próbowała pani pisać?

– Napisałam kilka recenzji do tygodników literackich, żeby udowodnić, że potrafię. Potem zainteresowałam się poezją, śledziłam współczesnych autorów, nawet próbowałam pisać wiersze, ale jakoś mi nie szło. Poezją jednak interesuję się do dziś.

Nigdy nie wróciła pani do pisania wierszy?

– Od lat układam jeden – erotyk. Bardzo ładny, ale mam dopiero dwa wersy (śmiech). Czasami, jak nie mogę zasnąć, to myślę o nim, próbuję coś dodać i nic mi nie przychodzi do głowy.

Może prozą byłoby łatwiej?

– Nie sądzę. Dom, praca zawodowa i jeszcze pisanie... Co tu dużo gadać, temu trzeba się poświęcić, odłożyć wszystko na bok. To nie tak, że trochę posprzątam, ugotuję, potem siądę i dopiszę pięć zdań. Z doskoku nic dobrego nie wyjdzie. Żadne pisanie. Trzeba po prostu być wytrwałym, mieć mocne postanowienie i umieć rezygnować z wielu rzeczy ważnych czy przyjemnych. No i trzeba mieć talent. Stwierdziłam, że to przekracza moje możliwości. (…)

Namawiała pani męża do pisania?

– Nie. Samo to od niego wyszło. Wydaje mi się ważne, że był już wtedy dojrzałym człowiekiem. Pierwsza jego książka zresztą opowiadała o dojrzewaniu. Myślę, że głównym impulsem była praca w wydawnictwie, bo żeby być dobrym redaktorem, to trzeba wiedzieć, jak książka ma być napisana i co w niej ewentualnie zmienić. Mąż po prostu stwierdził, że spróbuje. Myślę, że nie nastawiał się na sukces. (…)

Nie potrzebowała pani jego zaangażowania, pomocy, gdy urodziło się wam dziecko?

– Wściekałam się, że nie może mi pomóc, ale też cieszyłam, że coś mu z tego pisania wychodzi. To było późne macierzyństwo. Chcieliśmy troszkę pożyć beztrosko i dość długo nie myśleliśmy o dziecku. Ale jak już zapragnęliśmy je mieć, to stało się. Kompletnie wtedy oszalałam. Świata nie widziałam poza swoim maleństwem. Byłam tak w nie wpatrzona i zakochana, że wszyscy ludzie wydawali mi się potwornie brzydcy. Widziałam u nich wytrzeszczone oczy, wielkie nosy, porowatą cerę. Wyglądali fatalnie. Mogłam patrzeć tylko na tego mojego ślicznego synka. Załatwiłam sobie rok urlopu, co w tamtych czasach nie było łatwe, ale Wydawnictwo Wiedza Powszechna poszło mi na rękę, bo byłam już doświadczonym redaktorem.

Tygodnie mijały mi na zachwycaniu się tym małym cudem. Tylko o nim myślałam i mówiłam. Mąż zauważył, że zatracam się w tym za-

eprasa.pl b7ef0e37e9

Wacława i Wiesław Myśliwscy.

chwycie. Zaniepokoiło go, że nic mnie nie ciekawi, że intelektualnie stanęłam w miejscu. Postanowił oderwać mnie od dziecka Bergmanem, którego oboje jesteśmy wielkimi fanami. Kupił karnet na przegląd jego filmów. Oczywiście wolałabym zostać w domu i dalej wpatrywać się w moje piękne dziecko, ale akurat była z nami teściowa, która mogła się nim zająć. Mąż postawił na swoim. Po kilku seansach oprzytomniałam, przypomniał mi się świat. Gdy wróciłam do pracy, z powrotem stałam się sobą (śmiech).

Pani mąż wykazał się niesamowitą czujnością. Niejeden mężczyzna w takiej sytuacji uznałby, że został odtrącony.

– Na pewno mógł się tak poczuć. Był dla mnie prawie nieobecny. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że się oddalam. Nikt się nie liczył oprócz tego małego. Ale na tym właśnie polega bycie we dwoje, aby dostrzegać kryzysy i umieć na nie reagować. Mój mąż widział szerzej i zawalczył o mnie, o nas. To, że tak dzielnie zniósł ten kryzys, jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyło. Dziecko dorastało, a ja czułam, że moja miłość do syna nie osłabła, ale stała się normalniejsza, zdrowsza. Widziałam, że zaczyna mieć swój własny świat, i zdałam sobie sprawę, że lada moment mnie opuści, a ja zostanę sama. Zrozumiałam, że właściwie jedyną osobą, która się liczy i chce przy mnie trwać, jest mój mąż. Dlatego też postanowiłam być z nim pełniej i zabiegać o nasz związek. (…)

> Wieś była jego pierwszym światem, a pierwszy świat jest najważniejszy dla pisarza.

Oboje lubicie „wiejskie klimaty"?

– Klimaty – owszem, urlopowe. Nigdy nie przepadałam za wsią. „Stary grzyb" od interpunkcji mówił, że typowa ze mnie mieszczka, a koleżanka w pracy nazywała mnie „Wacunią-Sandomierzanką". Bardzo za to tęsknię za rodzinnym miasteczkiem. Wie pani, Sandomierz jest jedynym miejscem akcji moich snów. Rzadko śni mi się coś gdzie indziej. Te same pejzaże zawładnęły też wyobraźnią mojego męża, tak że umieścił w nich „Widnokrąg". Może to wydawać się dziwne, ale on nie tęskni tak do swojej wsi jak do Sandomierza.

To dlaczego o wsi pisze?

– Bo wieś była jego pierwszym światem, a pierwszy świat jest najważniejszym światem pisarza. Pisze o wsi, mimo że doznał w swoim wiejskim dzieciństwie wielu przykrości, co siedzą w nim głęboko, nosi w sobie jakiś rodzaj traumy. Ale może dzięki temu, jak powiedział mi kiedyś, stworzył sobie mit chłopskiej kultury na własny użytek i może z niego wywieść cały świat. Nazwałabym to trudniejszym wsi kochaniem. (…)

Ma pani poczucie, że żyje z wielkim pisarzem?

– Nigdy nie wynosiłam na ołtarze ani jego pisania, ani mojej skromnej profesji. Dom ma być domem. Nasz syn długo nie wiedział nawet, że jesteśmy redaktorami. Gdy w przedszkolu ktoś zapytał go: „Kim jest tatuś?", odpowiedział, że aktorem. W życiu nie chodzi o to, kim jesteśmy, tylko jak i z kim jesteśmy. Zauważyłam, że ludzie na stare lata zamiast cieszyć się sobą, gorzknieją i robią się zrzędliwi. Kiedyś czekałam w kolejce do lekarza. Nie wzięłam nic do czytania, więc patrzyłam tępo dokoła. Weszła para starszych ludzi. Potwornie się kłócili, ziali nienawiścią. Zobaczyłam kobietę, która z pogardą zwracała się do swojego schorowanego męża. Obiecałam sobie, że nigdy nie dopuszczę do tego, żebyśmy tacy byli i tak wyglądali. Gdy mam o coś do męża pretensje i chętnie bym się z nim pokłóciła, myślę: „Nie warto. Mamy tak mało czasu". (…)

Wywiad pochodzi z książki Agnieszki Nabrdalik *Dzisiaj rozmawiamy o Pani*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017. Oprócz rozmowy z Wacławą Myśliwską znalazły się w niej wywiady z Moniką Gawlińską, Alicją Kapuścińską, Karoliną Niedenthal, Jolantą Pawlik, Anną Religą i Wiesławą Starską.

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA LITERACKIEGO

eprasa.pl b7ef0e37e9

KOBIETY SĄ OFIARAMI MIEJSCA URODZENIA

Zdarzało mi się płakać podczas wywiadów, nie mogłam znieść nienawiści i przemocy wymierzonej przeciw kobietom, z którymi rozmawiałam

Lynsey Addario

(…) Wojna w Sudanie wybuchła w 2003 r., kiedy zbuntowane oddziały rdzennych czarnych Afrykanów zaczęły atakować sudański rząd – złożony głównie z Arabów – protestując przeciwko instytucjonalnemu rasizmowi i niesprawiedliwemu traktowaniu własnych plemion. Rząd Sudanu odpowiedział bezlitosnym odwetem. Zbombardowano i zaatakowano własnych obywateli w Darfurze, dokonywano nalotów, wykorzystując stare rosyjskie samoloty Antonow, potem wysłano konne oddziały uzbrojonej milicji, dżandżawidów, by gwałciły i mordowały mieszkańców i pustoszyły ich domy. Konflikt miał podłoże etniczne, ale chodziło też o dostęp do wody i ziemi. (…) Mieszkańcy Darfuru z plemion Fur, Masali i Zaghaw utworzyli dwie zorganizowane grupy milicji, Ruch Wyzwolenia Sudanu (SLA) i Ruch Sprawiedliwości i Równości (JEM), by odpierać ataki zdominowanego przez Arabów rządu. W 2004 r. rebelianci całkowicie okopali się na pozycjach pozwalających im walczyć z rządem, pomagali cywilnym uchodźcom przedostać się do sąsiedniego Czadu i strategicznie współpracowali z dziennikarzami, którzy prześlizgnęli się przez granicę do Darfuru, wspierając ich w dokumentowaniu spustoszeń w kraju zasłanym ciałami pomordowanych. (…)

•

Spotkałam się z Somini [Somini Sengupta, korespondentka „New York Timesa" – przyp. red.] w Ndżamenie, stolicy Czadu, skąd poleciałyśmy do Abéché, miasta w pobliżu granicy z Sudanem. (…) W Abéché spędziłyśmy noc w kwaterze ONZ, a rano wyruszyłyśmy ku odległej miejscowości Bahai, dokąd tłumnie napływali uciekinierzy z Darfuru. Pod koniec 2004 r. w obozie dla uchodźców prawie nie było infrastruktury: Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców i międzynarodowe organizacje niosące pomoc humanitarną były przytłoczone nagłym napływem dziesiątek tysięcy uciekinierów, dla większości nie było ani schronienia, ani żywności, korzystali z wody ze zbiorników ratunkowych rozmieszczonych na pustyni przez organizacje pozarządowe.

Kiedy jechałyśmy do Bahai, zdałam sobie sprawę, jak potworna to przeprawa dla uchodźców, dookoła i na horyzoncie tylko piach. Widziałam prowizoryczne namioty pełne niedożywionych cywilów o przerażonych oczach. Wieśniacy przybyli kilka sekund wcześniej, żywe szkielety, gnieździli się pod powykręcanymi, karłowatymi drzewkami. Byli głodni, spragnieni i zbyt apatyczni, by o cokolwiek prosić i się poruszać. (…) W Darfurze nie było klęski głodu, ale po raz pierwszy widziałam ludzi, którzy po prostu nie mieli jedzenia, a byli tak osłabieni ucieczką, że prawie nie mogli chodzić.

W oszołomieniu obeszłam pustynny obóz, ja – biała, dobrze odżywiona kobieta – dreptałam przez ich nieszczęście. Ludzie rozumieli, że jestem zagraniczną dziennikarką, ale wciąż nie wyobrażałam sobie, jak mam robić im zdjęcia, nie naruszając ich godności. (…)

Kiwali głowami lub odwzajemniali uśmiech. Nigdy nie odmawiali.

Kryzys w Darfurze szybko narastał i społeczność międzynarodowa zaczęła używać określenia „ludobójstwo". Niewielu fotografów robiło wówczas

Darfur pokazał mi oblicze wojny, podczas której ludzie zabijali swoich, w ich własnym kraju.

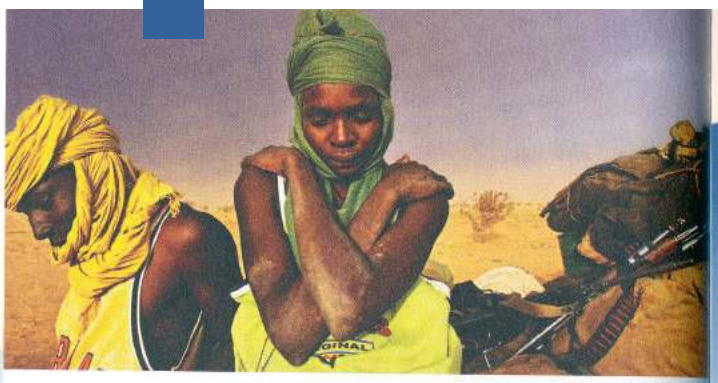

jedni polowali na gazele – danie smakosza – a inni drzemali. Jakimś cudem ciężarówkę zawsze udawało się uruchomić, ale potrzebne były aż trzy dni, by pokonać trzydzieści kilometrów na północny zachód w kierunku Darfuru.

Przy każdym źródle wody rebelianci stawali i napełniali butelki brązowym błotem zmieszanym z wodą, ale wiedzieliśmy, że dla nas, chawadży, czyli obcych białych, nawet łyk oznacza śmiertelne zatrucie. Racjonowaliśmy wodę z kilku butelek, które przywieźliśmy, i zastanawialiśmy się, co możemy zrobić, bo dręczyły nas pierwsze objawy odwodnienia: wyczerpanie, letarg, ból głowy. Znalezienie wody

eprasa.pl b7ef0e37e9

zdjęcia uchodźcom. (…) Miałam nadzieję, że rozdzierające serce obrazy z Sudanu – zwłaszcza na pierwszej stronie „New York Timesa" – sprawią, że ONZ i organizacje pozarządowe szybciej zareagują na ten kryzys. Rząd Sudanu konsekwentnie zaprzeczał, jakoby krzywdził kogokolwiek w Darfurze, więc fotoreporterzy mogli przygotować historyczne świadectwo prawdy.

•

Sudański rząd nie wydawał dziennikarzom wiz do Darfuru, więc jedyna droga prowadziła przez nielegalne przejścia graniczne z Czadem. Dziennikarze często przekraczali granice wraz z oddziałami SLA (…). Przywódcy ruchu byli wystarczająco sprytni, by zrozumieć, że relacje w mediach mogą przysłużyć się ich sprawie, więc uciekali się do wszelkich sposobów, by ułatwić wyprawy do Darfuru.

(…) Podczas mojej wyprawy SLA, z braku środków, zebrała czworo zagranicznych dziennikarzy, żeby zorganizować wyjazd do Darfuru, nie zważając na rywalizację ekip reporterów, z których każdy chciał mieć daną historię na wyłączność: ja, Somini, fotograf wolny strzelec Jehad Nga i Jahi Chikwendiu z „The Washington Post". (…) Plan zakładał, że podjedziemy w pobliże granicy Czadu, potem pieszo pokonamy kilka kilometrów ziemi niczyjej między Czadem a Sudanem i spotkamy się z rebeliantami w Darfurze. Wiedzieliśmy, że w Darfurze będziemy musieli wszystko nosić na plecach, więc zabraliśmy jak najmniej rzeczy, zostawiając obiektywy, akumulatory, ubrania, buty i niezbyt inteligentnie – kilka butelek wody. Rozpoczęliśmy pięciodniową podróż przez Sahel, południowy skraj Sahary.

Było potwornie gorąco. Nawet lekki bagaż, jaki miał każdy z nas, w pustynnym upale wydawał się zbyt ciężki. Kiedy tylko wyruszyliśmy, spotkaliśmy nomadów z wielbłądami, którzy zaoferowali, że umocują naszą wodę, namioty i inne pakunki na garbach zwierząt, by nam ulżyć. (…) Żaden z nomadów nie napił się nawet łyka wody podczas trzygodzinnej wędrówki. Ja pochłonęłam pierwszą z moich dwóch butelek. Trzeba było wziąć więcej wody.

W czasie pory deszczowej i po niej Sahel pokrywały *wadi*, strumyki błotnistej wody niczym arterie przecinające pustynny krajobraz. Kusiło nas,

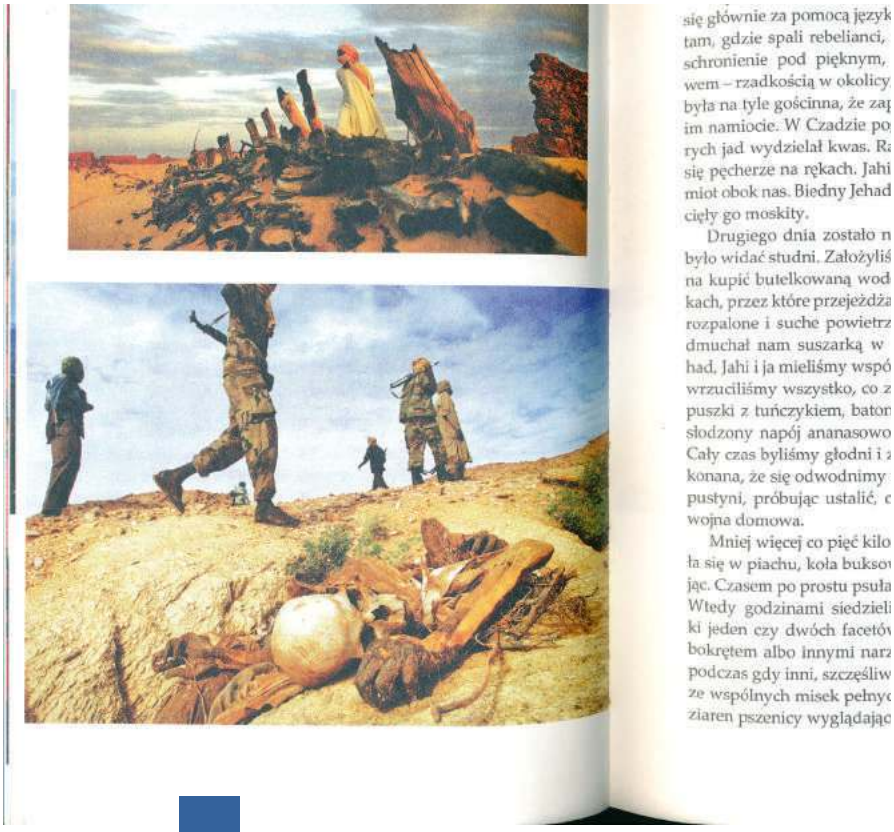

się głównie za pomocą język
tam, gdzie spali rebelianci,
schronienie pod pięknym,
wem – rzadkością w okolicy
była na tyle gościnna, że zap
im namiocie. W Czadzie po
rych jad wydzielał kwas. Ra
się pęcherze na rękach. Jahi
miot obok nas. Biedny Jehad
cięły go moskity.

Drugiego dnia zostało n
było widać studni. Założyliś
na kupić butelkowaną wod
kach, przez które przejeżdża
rozpalone i suche powietrz
dmuchał nam suszarką w
had. Jahi i ja mieliśmy wspó
wrzuciliśmy wszystko, co z
puszki z tuńczykiem, baton
słodzony napój ananasowo
Cały czas byliśmy głodni i
konana, że się odwodnimy
pustyni, próbując ustalić,
wojna domowa.

Mniej więcej co pięć kilo
ła się w piachu, koła bukso
jąc. Czasem po prostu psuła
Wtedy godzinami siedzieli
ki jeden czy dwóch facetów
bokrętem albo innymi narz
podczas gdy inni, szczęśliw
ze wspólnych misek pełny
ziaren pszenicy wyglądając

Spomiędzy kości szkieletów wystawały fragmenty skóry w różnym stadium rozkładu.

by z nich pić, ale woda była brązowa i lepka. Gwarantowała natychmiastową biegunkę. (…)

Przeszliśmy na drugi brzeg, kilka kilometrów w głąb ogarniętego rebelią Sudanu, i spotkaliśmy bojowników z SLA – zbieraninę zwinnych, muskularnych młodych mężczyzn. Większość miała na sobie kolorowe turbany i stare amerykańskie bluzy sportowe lub koszulki, które spokojnie mogli zwinąć w sklepie Goodwill w Minnesocie. „Pojazd", jaki nam obiecano w Czadzie, okazał się rozpadającym pikapem, ogołoconym ze wszystkiego z wyjątkiem kół i maski. (…)

Drugiego dnia zostało niewiele wody, a w okolicy nie było widać studni. Założyliśmy, że w Darfurze będzie można kupić butelkowaną wodę. Jacy byliśmy głupi! W wioskach, przez które przejeżdżaliśmy, nie było sklepów, drgało rozpalone i suche powietrze, czuliśmy się tak, jakby ktoś dmuchał nam suszarką w twarz i do gardła. (…)

Przy każdym źródle wody rebelianci stawali i napełniali butelki brązowym błotem zmieszanym z wodą, ale wiedzieliśmy, że dla nas, chawadży, czyli obcych białych, nawet łyk oznacza śmiertelne zatrucie. Racjonowaliśmy wodę z kilku butelek, które przywieźliśmy, i zastanawialiśmy się, co możemy zrobić, bo dręczyły nas pierwsze objawy odwodnienia: wyczerpanie, letarg, bóle głowy. Znalezienie wody stało się moją obsesją. Nigdy nie byłam w sytuacji, w której pod ręką nie byłoby kranu, studni, czystych strumieni – żadnego źródła wody, naprawdę żadnego. Słońce paliło naszą jasną skórę, płyny parowały z ciała szybciej, niż się pociliśmy. Rebelianci byli tak pochłonięci piciem błota ze strumieni, że niemal nie zauważali naszej desperacji w poszukiwaniu czegokolwiek choć trochę przypominającego wodę. Zbierali puste butelki, które wyrzucaliśmy. W Darfurze plastik był na wagę złota, a pieniądze nie znaczyły prawie nic.

W końcu trzeciego dnia dotarliśmy do bazy rebeliantów w wiosce Shigekaro. Pustka i jeszcze więcej piasku, kilka chat krytych strzechą i maleńki sklep, w którym można było kupić sztucznie barwione napoje, sól, cukier, makaron i parę innych produktów. Wyschnięte *wadi* otaczało wieś, drze-

eprasa.pl b7ef0e37e9

wa osłaniające miejsce, które stało się naturalną toaletą. Wody nie było.

SLA miała w Shigekaro mały obóz szkoleniowy, więc rozłożyliśmy się tam i fotografowaliśmy przyszłych żołnierzy trenujących o świcie i o zmierzchu. Nasi bojownicy rozdzielili się i odpoczywali. Obeszłam wioskę w poszukiwaniu wody niczym wampir węszący za krwią. Rzuciłabym się nawet na dziecko, gdyby miało wodę. Potem zobaczyłam napis. Nigdy nie sądziłam, że tak się ucieszę, widząc te słowa w Darfurze: „SAVE THE CHILDREN". Studnia! (...)

Większość buntowników miała podstawowe wykształcenie, jednak słuchali BBC przez krótkofalówki i sypali nazwiskami oficjeli z całego świata zaangażowanych w konflikt w Darfurze, od ONZ po przedstawicieli rządu Stanów Zjednoczonych i drobnych graczy z Sudanu. Chcieli pokazać nam żniwo wojny, nie wyłączając scen, których dotychczas raczej nie oglądali zagraniczni dziennikarze: zgliszcza spalonych wiosek, opuszczonych i splądrowanych. W jednej z nich wśród zwęglonych resztek wsi sterczał osmalony garnek. Mogłam sobie wyobrazić panikę i przerażenie, jakie zapanowały, gdy dżandżawidzi wypędzali mieszkańców z domów, gonili za nimi, gwałcili uciekające kobiety. Ziemia była usłana szkieletami. Spomiędzy kości niektórych szkieletów wystawały fragmenty skóry w różnym stadium rozkładu. Na jednych zachowały się resztki odzieży, na innych nie, za to z prawie wszystkich trupów zdarto buty. Dobre buty zawsze przydawały się na wojnie.

•

Przez następne pięć lat wracałam do Darfuru co rok, mniej więcej na miesiąc. Pracowałam dla „New York Timesa", „The New York Times Magazine", a później dostałam grant z agencji Getty Images. W miarę jak sytuacja w Sudanie się pogarszała, rząd coraz bardziej ograniczał wydawanie wiz dziennikarzom i legalny wjazd do kraju stał się prawie niemożliwy. Wizy nie były jedyną przeszkodą w relacjonowaniu konfliktu w Darfurze. Niemal nie do pokonania była również biurokracja: zezwolenia, niepotrzebne papierki, pieczątki i fotokopie. Zawsze z uporem i cierpliwością ponawiałam wniosek o wizę i wypełniałam dokumenty, dzięki czemu jako jedna z niewielu fotografów

Te kobiety nie miały nic, kiedy się rodziły, i nie będą miały nic w chwili śmierci.

nieprzerwanie dokumentowałam konflikt od 2004 do 2009 r.

Darfur był jednym z miejsc, gdzie głęboko pojmowałam podłoże konfliktu, rozumiałam, według jakich reguł grają strony, i wiedziałam, jak poruszać się w tym systemie, by pracować. (...) Darfur pokazał mi oblicze wojny, podczas której ludzie zabijali swoich, w ich własnym kraju. Może i ta wojna zaczęła się jako ludobójstwo, ale przekształciła się w wojnę domową, gdzie każda ze stron miała na sumieniu mordy, gwałty, rabunki. Wszyscy gracze byli winni. Na przestrzeni lat zmuszałam się do kreatywności, do pokazywania wciąż tych samych scen w odmienny sposób. (...) Choć konflikty były ohydne, ich uczestnicy byli piękni, nosili kolorowe stroje i mimo codziennych trudów szeroko się uśmiechali. Sudańczycy byli wspaniali, przyjaźnie nastawieni, wytrzymali – i to chciałam podkreślić w swoich pracach. (...)

•

W przerwach między wizytami w Darfurze często jeździłam na teren innej wojny domowej, która w 2006 r. rozpoczęła się na wschodzie Demokratycznej Republiki Konga. Setki tysięcy mieszkańców wysiedlonych z wiosek na wschodzie kraju mieszkało teraz w przeludnionych obozach w Kiwu Północnym i Kiwu Południowym. Ataki ze strony sił rządowych i rebelianckich spowodowały miliony ofiar śmiertelnych, niezliczona rzesza Kongijek padła ofiarą gwałtów. Żołnierze gwałcili kobiety, by zaznaczyć swoje terytorium, by niszczyć więzy rodzinne (zgwałcone kobiety często spotykał ostracyzm ze strony bliskich) i by zastraszyć ludność cywilną, tym samym ustanawiając władzę. Zmuszali rodziny ofiar do przyglądania się gwałtom. Dopuszczali się zbiorowych gwałtów na kobietach, często używali broni, żeby dodatkowo je ranić (...). Historie, jakie słyszałam, były niewyobrażalnie okrutne. Jako fotoreporterka czułam, że nie mogę zrobić dla kobiet z Konga nic więcej oprócz utrwalenia ich opowieści. Miałam nadzieję, że świadomość potworności, przez jakie przechodzą,

eprasa.pl b7ef0e37e9

może je w pewien sposób ocalić. I za rok wracałam.

W 2008 r. dostałam grant (…). Miałam dokumentować przemoc dotyczącą płci i gwałty jako broń wojenną. Objazdowa wystawa „Kobiety Konga" obejmowała też zdjęcia z DRK wykonane przez moich kolegów Jamesa Nachtweya, Rona Haviva i Marcusa Bleasdale'a i była pokazywana ponad 15 razy w Stanach Zjednoczonych i Europie. Towarzyszyła jej zbiórka pieniędzy na operacje dla Kongijek, pozwalające usunąć przetoki. (…)

Spędziłam dwa tygodnie, podróżując po Kiwu Północnym i Kiwu Południowym, rozmawiając z kobietami, które były ofiarami przemocy seksualnej, i fotografując je. Byłam zaskoczona tym, jak wiele kobiet zgadzało się otwarcie opowiadać o swych przeżyciach. Jedne mówiły o tym, że zostały zarażone HIV, opuszczone przez mężów, którzy dowiedzieli się o gwałtach. Inne uprowadzono i były przetrzymywane jako seksualne niewolnice nawet przez kilka lat, rodziły dzieci gwałcicieli. Zdumiało mnie, że wszystkie były tak dojrzałe i miały tyle serca, by kochać dzieci niezależnie od tego, w jakich okolicznościach zostały poczęte.

Tyle kobiet było ofiarami miejsca urodzenia. Nie miały nic, kiedy się rodziły, i nie będą miały nic w chwili śmierci. Żyły z tego, co dawała ziemia, i dzięki oddaniu rodzinie, dzieciom. Rozmawiałam z dziesiątkami Afrykanek, które przeszły więcej nieszczęść i tragedii, niż przeciętny człowiek Zachodu może sobie wyobrazić, a jednak nie poddały się. Zdarzało mi się płakać podczas wywiadów, nie mogłam znieść nienawiści i przemocy wymierzonej przeciw kobietom, z którymi rozmawiałam.

Bibiane

Urodziła troje dzieci, choć kiedy ją poznałam, miała dwoje. Jedno zmarło, prawdopodobnie z niedożywienia. Opowiadała, jak walczyła o każdy grosz. Znajoma zaoferowała jej pieniądze za przenoszenie mąki z manioku przez las i właśnie tam spotkała trzech mężczyzn. Nie mogła uciec. Trzymali ją trzy dni i na zmianę gwałcili. Kiedy jej mąż wrócił z podróży i usłyszał, że została porwana i zgwałcona, odszedł. Wkrótce okazało się, że zarażono ją HIV i że jest w ciąży. Jutro ma urodzić dziecko – była w ósmym miesiącu ciąży, chuda jak bambus – a nie stać jej na opłacenie porodu. Nie miała nawet cukru. Spytałam, czy bierze leki na HIV. Otworzyła fioletową torbę, w której trzymała tabletki i kartofel stanowiący jej obiad. Płakała, ponieważ była bezdomna, mieszkała na ulicy.

Vumila

Spała, kiedy usłyszała łomot. Dziewięciu mężczyzn mówiących kinyarwanda, językiem używanym w Rwandzie, wyważyło drzwi, wpadło do środka i podartymi ubraniami i sznurkami związało ręce jej i dzieciom, by ich obrabować. Męża nie było w domu. Kiedy ograbili dom, rozwiązali Vumilę i kazali jej dźwigać zrabowane rzeczy na plecach przez las. Po tygodniu wspinania się na wzgórza, schodzenia z nich i przedzierania się przez las przewracała się z wyczerpania. Wówczas ją kopali. Dotarli do pierwszego punktu kontrolnego rebeliantów. Mężczyźni – niektórzy w mundurach, inni w dresach – rozwiązali jej ręce. Co najmniej dziewięciu gwałciło ją i inne kobiety w wielkim, otwartym pomieszczeniu, inni się przyglądali. Dowódca obozu wybrał Vumilę „na żonę" na czas niewoli. Musiała przebywać w jego domu w dzień i w nocy. Przez osiem miesięcy była bezustannie gwałcona. Kiedy potrzebowała się umyć, uwiązywali ją na sznurku, jak zwierzę, i prowadzili do rzeki. Wszystkich, którzy próbowali ucieczki, zatłukli kijami, a ich ciała wystawili na widok publiczny ku przestrodze innych więźniów. (…)

Mapendo

Prawdopodobnie umierała na AIDS. Słyszałam, że padła ofiarą zbiorowego gwałtu, wkrótce zachorowała, ale nie miała jak dojechać do szpitala. Zjawiliśmy się bez zapowiedzi, siedziała z matką i siostrami przed chatą. Dygotała mimo upału, miała wysypkę. Jej skóra, niegdyś czarna i lśniąca, była matowa i pokryta plamami. Wychudzona i osłabiona Mapendo prawie nie miała siły, by uścisnąć mi dłoń na powitanie. Pięć miesięcy wcześniej udało się jej uciec i wrócić do chaty, po tym jak porwało ją pięciu żołnierzy mówiących kinyarwanda. Przed uprowadzeniem nigdy nie oddalała się od wioski. Nie miała pojęcia, skąd pochodzili. Wiedziała jedynie, że każdy z nich regularnie ją gwałcił, że zarazili ją chorobą, która wywoływała ból w całym ciele. Nie miała pieniędzy na szpital. Leżała na drewnianej desce służącej za materac. Była zmęczona.

Nie chciałam pozbawiać jej resztek energii, zmuszając do rozmowy, ale nie mogłam tak po prostu odejść. Krótko porozmawiałyśmy. Zrobiłam kilka zdjęć, jak leży. Do najbliższego szpitala były dwie godziny drogi, mój samochód był pełen Kongijczyków z pomocy humanitarnej, pracowników ONZ i innych ludzi, którzy dołączyli, licząc na napiwek za jakąkolwiek formę pomocy. Powiedziałam im, że bierzemy Mapendo do szpitala, i to zaraz, lecz ku mojemu zaskoczeniu zaprotestowali. Głosili, że niosą pomoc humanitarną, a odmówili ratunku umierającej kobiecie. Oświadczyłam, że mogą jechać w samochodzie z Mapendo i jej przeciekającą przetoką albo przesiąść się na dach. Tak czy siak, ona z nami jedzie. Pomogłam matce Mapendo wnieść dziewczynę do gigantycznego SUV-a. Zawieźliśmy ją do Bukavu, gdzie została przyjęta do szpitala.

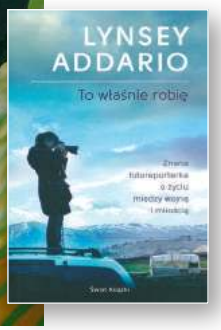

Fragmenty książki Lynsey Addario *To właśnie robię. Znana fotoreporterka o życiu między wojną i miłością,* przekład Małgorzata Maruszkin, Świat Książki, Warszawa 2017

FOT. MACARTHUR FOUNDATION, REP. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (4)

eprasa.pl b7ef0e37e9

Krystyna Rożnowska

ZAWAŁ, SZPITAL... I CZARNA DZIURA

Brak opieki kardiologicznej niweczy skutki leczenia

Sukcesy kardiologii interwencyjnej i kardiochirurgii zmniejszyły nieco lęk o serce. Bo skoro w ciągu roku w Polsce wykonuje się, na ogół z powodzeniem, ok. 27 tys. operacji kardiochirurgicznych, i to na wysokim poziomie, ponad 200 tys. koronarografii i więcej niż 110 tys. zabiegów angioplastyki wieńcowej, łatwo uwierzyć, że serce zawsze można wyleczyć.

Wadliwe czy uszkodzone zastawki wymienia się, wchodząc do serca przez niewielkie nacięcie tętnicy udowej. Także bez otwierania klatki piersiowej poszerza się naczynia wieńcowe doprowadzające krew do serca lub je protezuje. Rozwija się elektrokardiologia umożliwiająca wykonywanie ablacji, czyli niszczenia w sercu miejsc odpowiadających za arytmię. Wszczepia się coraz mniejsze i doskonalsze rozruszniki serca. W dodatku te zabiegi prowadzone są w taki sposób, że zwykle chory przebywa w szpitalu tylko kilka dni.

Zawał też już nie przeraża tak bardzo jak kiedyś. Co prawda, występuje u ponad 87 tys. osób rocznie, ale w pierwszych dobach w szpitalu umiera mniej niż 10% dotkniętych nim chorych. Pozostali wracają do domu, zwykle po czterech-pięciu dniach.

LECZENIE MUSI TRWAĆ

Mimo tych sukcesów w leczeniu choroby serca i układu krążenia nadal są przyczyną prawie połowy wszystkich zgonów (45,8%), a w pierwszym roku po wyjściu ze szpitala umiera ok. 10% osób, które przeżyły zawał. Są to skutki braku dobrze zorganizowanego systemu terapii i opieki kardiologicznej. – Gdyby chorzy po operacjach kardiochirurgicznych i zabiegach kardiologicznych oraz po zawałach serca byli objęci dobrą opieką i rehabilitacją kardiologiczną, żyliby na pewno znacznie dłużej – twierdzi prof. Piotr Jankowski, przewodniczący Komisji Promocji Zdrowia Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. – Dzięki właściwej rehabilitacji i edukacji prowadzącej do zmiany stylu życia można by zmniejszyć ryzyko ich zgonu nawet o kilkadziesiąt procent.

Wychodząc ze szpitala po zabiegu czy leczeniu zawału, chorzy zazwyczaj czują się dobrze i wielu z nich uważa się za wyleczonych. Przestają więc zajmować się swoim zdrowiem i wracają do dotychczasowych nawyków: niewłaściwego odżywiania, biernego odpoczynku, palenia papierosów. Nie wszyscy rozumieją, że nadal muszą się leczyć. Zabieg operacyjny czy wyleczenie zawału nie usunęły przecież przyczyn ich głównej choroby – miażdżycy albo nadciśnienia, które doprowadziły do zagrożenia życia. Niektórzy zaniedbują nawet przyjmowanie leków.

Tylko ok. 26% chorych po zawale zostaje objętych programem rehabilitacyjnym, a są rejony, gdzie ten odsetek jest jeszcze mniejszy. Tymczasem pacjenci po zabiegach kardiologicznych lub po zawale serca z powikłaniami powinni być rehabilitowani w warunkach szpitalnych.

> W ciągu roku w Polsce wykonuje się ok. 27 tys. operacji kardiochirurgicznych i ponad 310 tys. zabiegów kardiologii interwencyjnej.

Natomiast w rehabilitacji prowadzonej ambulatoryjnie uczestniczy tylko ok. 6% tych chorych. Choć zdaniem prof. Jankowskiego bywa ona nawet skuteczniejsza od szpitalnej, ponieważ zwykle trwa dłużej, a wskazówki dotyczące zmiany stylu życia, jakie pacjent otrzymuje, może on od razu wprowadzać do codziennego życia. Co więcej, za jego pośrednictwem porady docierają do całej rodziny, edukacja kardiologiczna ma więc większy zasięg.

KOLEJKA DO KARDIOLOGA

Po wyjściu ze szpitala pacjent najpierw idzie zazwyczaj do najbliższej przychodni – do lekarza pierwszego kontaktu. Ten przepisuje mu te same leki, jakie zaordynowano w szpitalu, i kieruje go do specjalisty. Kolejki do kardiologa są jednak długie, więc czeka wiele miesięcy. Z badań przeprowadzonych na Śląsku, gdzie opieka medyczna jest lepsza niż w innych regionach, wynika, że tylko co drugi pacjent po zawale trafia w ciągu roku do kardiologa, a w pierwszych trzech miesiącach jedynie co czwarty. Chorzy wychodzący ze szpitala po zawale mogą liczyć na konsultację kardiologa dopiero po średnio 95 dniach. W wielu rejonach kraju czekają znacznie dłużej. Tymczasem prof. Jankowski przekonuje: – Dysponujemy badaniami, które wskazują, że konsultacja kardiologiczna w pierwszych tygodniach po szpitalnym leczeniu zawału czy operacji kardiologicznej wiąże się z mniejszym ryzykiem śmierci.

Mamy za mało specjalistów, także kardiologów, znacznie mniej w stosunku do liczby mieszkańców niż w innych krajach europejskich. Z drugiej strony kolejki do specjalistów byłyby mniejsze, gdyby lekarz pierwszego kontaktu nie kierował do nich także pacjentów niewymagających specjalistycznego leczenia. Kiedy więc powinien skierować pacjenta do specjalisty, a w jakich sytuacjach sam prowadzić jego leczenie? Czy może odmówić wypisania skierowania? Niełatwo to stwierdzić, nie ma takich kryteriów, które lekarzowi pierwszego kontaktu ułatwiałyby podjęcie decyzji. Nie chcąc narażać się na niezadowolenie podopiecznych, najczęściej zatem spełnia ich prośby. Kardiolog z kolei nie może nie przyjąć skierowanej do niego osoby, choćby dlatego, że nie wie, jaki jest stan jej zdrowia, czy nie wymaga jego inter-

eprasa.pl b7ef0e37e9

wencji i leczenia. W ten sposób do kardiologa i innych specjalistów trafia dużo więcej chorych, niż powinno, i kolejki się wydłużają.

– Jednak w pierwszym okresie po wyjściu ze szpitala chorzy powinni być prowadzeni przez kardiologa, który zaplanuje ich dalsze leczenie farmakologiczne, rehabilitację, a jeśli stwierdzi taką potrzebę, skieruje ich na badania czy dodatkowe zabiegi – podkreśla prof. Jankowski. – Dopiero kiedy stan chorego będzie już stabilny, jego prowadzenie może przejąć lekarz podstawowej opieki.

Najgorzej jest ze zmianą stylu życia chorych. Nawet operacja kardiochirurgiczna czy zawał nie zawsze są do tego dostateczną motywacją. Ludzie wierzą w działanie leków, ale trudno im zmienić dietę, zwiększyć aktywność fizyczną, rzucić palenie czy odstawić alkohol.

Wśród 10 najważniejszych zagrożeń chorobami krążenia i przyczyn zgonów w Europie, czyli tzw. czynników ryzyka, są: niezdrowa dieta, brak ruchu, nadciśnienie tętnicze, wysoki poziom cholesterolu, palenie tytoniu, otyłość, a także zanieczyszczenie powietrza. Smog wpływa niekorzystnie nie tylko na układ oddechowy, ale i krążenia, gdyż najdrobniejsze cząsteczki zanieczyszczonego powietrza przedostają się z płuc do krwi i uszkadzają ściany tętnic. Jak twierdzi prof. Jankowski, badania wykazują, że przyśpieszają także rozwój miażdżycy, podnoszą ciśnienie tętnicze i stężenie cholesterolu. Nieprzypadkowo w czasie występowania smogu więcej jest zawałów serca i udarów mózgu; oszacowano, że odpowiada on za ok. 6-8% wszystkich zgonów. Oczywiście im bardziej zanieczyszczone powietrze, tym większa jego szkodliwość.

W Polsce ok. 10 mln osób ma nadciśnienie tętnicze, ok. 18 mln – podwyższony cholesterol, tyle samo nadwagę i otyłość, a ponad 2 mln choruje na cukrzycę, która niszczy także układ krążenia. Tylko niewielki procent tych pacjentów muszą leczyć specjaliści, pozostałych mogliby prowadzić lekarze pierwszego kontaktu, jedynie w najtrudniejszych przypadkach odsyłając do specjalistów. Czasem wystarcza jedna konsultacja u specjalisty, po czym chory może wrócić do lekarza w przychodni.

Na Śląsku, gdzie opieka medyczna jest lepsza niż w innych rejonach, tylko co drugi pacjent po zawale trafia w ciągu roku do kardiologa.

Dopiero właściwa rehabilitacja i zmiana stylu życia pozwolą zmniejszyć ryzyko ponownego zawału.

JEST SYSTEM, CZY BĘDĄ PIENIĄDZE?

Polskie Towarzystwo Kardiologiczne od dawna proponowało zmiany mające poprawić opiekę nad chorymi, którym w szpitalu, dzięki nowoczesnej, kosztownej medycynie, uratowano życie. Teraz wreszcie, przy współpracy z Agencją Oceny Technologii Medycznej i Taryfikacji, opracowało system tej opieki, mający zmniejszyć śmiertelność pacjentów po hospitalizacji z powodu zawałów czy zabiegów kardiologicznych.

Chodzi o to, by pacjent po wyjściu ze szpitala nie był pozostawiany sam sobie i nie gubił się wśród różnych niewspółpracujących ze sobą instytucji, mających prowadzić jego dalsze leczenie i rehabilitację. System ma obejmować rehabilitację, farmakoterapię i edukację, a w razie potrzeby także wykonanie dodatkowych badań i zabiegów. Z medycznego punktu widzenia najlepiej by było, żeby chorzy rozpoczynali rehabilitację kardiologiczną w ciągu 14 dni po opuszczeniu szpitala. – Zakładamy, że każdy chory po zawale serca lub zabiegu kardiologicznym będzie miał możliwość konsultacji u kardiologa w ciągu pierwszych kilku tygodni po wypisie ze szpitala – mówi prof. Jankowski. – W pierwszym roku zaplanowaliśmy cztery takie konsultacje. Procedury w ramach tego systemu nie powinny być limitowane.

Za pomocą kilku parametrów, które zostaną opracowane, będzie można ocenić jakość tego leczenia i rehabilitacji, bo dotąd NZF płacąc za poszczególne procedury, właściwie nie interesował się jakością ich wykonania.

Czy ten system zostanie wprowadzony? Można w to wątpić, gdy słyszy się o zamiarach obniżenia nakładów na leczenie kardiologiczne, nawet na kardiochirurgię dziecięcą. Chociaż Polska pod względem finansowania ochrony zdrowia znajduje się na 25. miejscu wśród 28 krajów europejskich. Nasuwa się więc obawa, że system pozostanie na papierze. Bez pieniędzy przeznaczonych na jego wprowadzenie stanie się tylko kolejnym punktem na liście niespełnionych obietnic i zamierzeń. ■

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl b7ef0e37e9

Karolina i Maciej Szaciłło
Jem (to co) kocham i chudnę
Wydawnictwo Zwierciadło

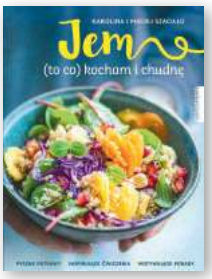

Autorzy dzielą się przepisami na zdrowe dania oraz wiedzą psychodietetyczną. Karolina zmagała się ze zbędnymi kilogramami. Rozpoczynała diety cud, intensywne treningi. Waga spadała, a potem wracała z nawiązką. Po poznaniu Macieja, eksperta od zdrowego odżywiania, zaczęła pracować nad zawartością nie tylko talerza, ale i… głowy. Udało się jej. Jest szczupła i szczęśliwa. I ty możesz to zrobić.

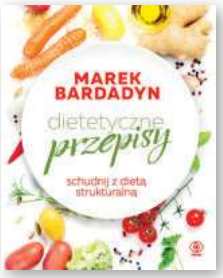

Marek Bardadyn
Dietetyczne przepisy
Rebis

Poradnik odkrywający tajniki ekspresowego przyrządzania niskokalorycznych dań, które pozwalają trwale schudnąć, zapewniają mnóstwo energii i doskonale wpływają na stan zdrowia oraz wyniki badań i samopoczucie. Na czym polega fenomen receptur zamieszczonych w tej książce? Doskonale zbilansowane, różnorodne dietetyczne dania: szybkie przekąski, koktajle, zupy, dania główne i desery, zapewniają długotrwałe poczucie sytości. Jednocześnie dostarczają organizmowi nawet o połowę mniej kalorii niż podobne potrawy przyrządzane tradycyjnie.

Elżbieta Lange
Nie t(ł)ucz się dietami
Wydawnictwo Zwierciadło

Ten osobisty przewodnik pomoże wyrwać się z błędnego koła odchudzania i schudnąć raz na zawsze. Dzięki ćwiczeniom dowiesz się, jak zapanować nad chwilowymi zachciankami, odnajdziesz wewnętrzną motywację i zmienisz nawyki. Autorka uświadamia kobietom, że nie tylko to, co i jak jedzą, ma wpływ na ich wagę.

Katarzyna Błażejewska-Stuhr, Magdalena Chorębała
Adios kilogramos
Wydawnictwo Zwierciadło

Wydawca książek Magdalena Chorębała miała za sobą wiele diet i nieudanych prób powrotu do dawnej sylwetki. Na jej prośbę doświadczona dietetyczka Katarzyna Błażejewska-Stuhr oraz trenerzy Ada Jakimowicz i Marcin Markiewicz stworzyli tę książkę. Stosując się do programu, przez 90 dni zgubiła „nadwyżkę" ciała. Starannie przygotowane menu i plan aktywności fizycznej pomogą i tobie pożegnać się ze zbędnymi kilogramami.

Karolina Szostak, Marta Kordyl
Moja spektakularna metamorfoza
Edipresse Książki

To naprawdę pani? Takie pytanie najczęściej słyszy dziennikarka sportowa Karolina Szostak. Następne to: jak pani to zrobiła? No właśnie, jak? O tym jest ten poradnik. Karolina zdradza krok po kroku, jak udało jej się schudnąć w rok prawie 30 kg. Przepisy, ćwiczenia, motywacje, rady, ostrzeżenia, drobne potknięcia i ogromny sukces. Słowem – spektakularna metamorfoza od podszewki.

Monika Walecka
Opowiadania drewnianego stołu
125 przepisów, jak sprawić przyjemność sobie i bliskim
Septem

Stary, drewniany stół – miejsce rodzinnych i przyjacielskich spotkań, gorących dyskusji, serdecznych toastów i wspaniałych przyjęć. Na takim stole nie wypada postawić byle czego. On zasługuje na coś więcej: na potrawy przygotowane z uczuciem, fascynacją, odrobiną kuchennej alchemii. Na jedzenie, w które tchniesz nieco własnej fantazji. W tej książce znalazły się przepisy na przepyszne dania na każdą porę dnia i roku, wymyślone i sprawdzone przez niezwykłą kucharkę. Zachwyć rodzinę, przyjaciół, a także samego siebie! Gotuj, eksperymentuj i rozkoszuj się jedzeniem!

Kate Rhéaume-Bleue
Witamina K2 i paradoks wapnia
Jak niepozorna witamina może uratować ci życie
Vivante

Kompendium wiedzy na temat witaminy K2 niezbędnej do właściwego funkcjonowania układu kostnego i krwionośnego. Autorka opisuje zalety i działanie witaminy: przytacza wyniki badań, podaje wartości dotyczące dziennego zapotrzebowania, podkreśla współzależności między witaminami K2, A i D oraz różnice między K2 a K1, analizuje współczesne nawyki żywieniowe i wpływ masowej produkcji na zawartość substancji odżywczych w żywności, a przede wszystkim przedstawia procesy zachodzące w naszych organizmach. A gdzie można znaleźć witaminę K2? Najwięcej jest jej w japońskim natto (sfermentowane ziarna soi), ale dobrym źródłem są gęsina, sery twarde i miękkie, żółtka jaj i masło.

Agnieszka Mielczarek
Detoks dla opornych
Edipresse Książki

Używki, farmaceutyki, smog i nadmiar węglowodanów – to nie pomaga przeciętnemu człowiekowi na wiosnę. Autorka uspokaja, że w detoksie wcale nie chodzi o głodowanie ani wyrzeczenia. Wręcz przeciwnie – ma na celu dostarczenie organizmowi kompletu enzymów, witamin, błonnika i minerałów, których brakuje w codziennej diecie, a które pozwalają nam świetnie funkcjonować i nabrać sił do działania. Dzięki diecie, ruchowi oraz zwiększonej dawce relaksu umysł zaczyna funkcjonować na wyższych obrotach. 21-dniowy program ćwiczeń motywacyjnych i odżywiania.

Katarzyna Burzyńska-Sychowicz
Bez cukru #kasiuniagotuje
Edipresse Książki

Czy można rozpieszczać domowników słodkimi i dietetycznymi deserami? Entuzjastka zdrowego stylu życia, dziennikarka i prezenterka programów telewizyjnych, przekonuje, że można. W książce proponuje 67 przepisów na wypieki bez mąki oraz słodycze bez cukru i wyrzutów sumienia, takie jak czekoladowa owsianka ze smażonym bananem, naleśniki z batata z czekoladowym wnętrzem czy wegańskie ciasto czekoladowe ze słonym karmelem.

eprasa.pl b7ef0e37e9

Jolanta Naklicka-Kleser
Lodovo
czyli domowe zdrowe lody, zimne desery i smoothie
Wydawnictwo Zwierciadło

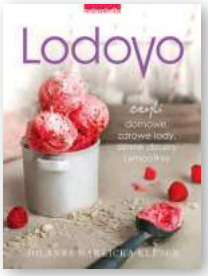

Mrożone smakołyki uwielbiają dzieci i dorośli. Różnorodność smaków przyprawia o zawrót głowy. Chcesz podawać bliskim lody z przekonaniem, że jedzą rzeczy pyszne i zdrowe? Postaw na domowe lody, desery i smoothie!

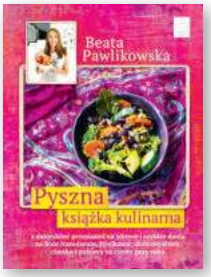

Beata Pawlikowska
Pyszna książka kulinarna
Edipresse Książki

Ulubione przepisy na dania z naturalnych, nieprzetworzonych produktów. Podróżniczka podkreśla, że warto gotować w zgodzie z porami roku i korzystać z sezonowych, lokalnych składników. Wiosną pojawia się zielony groszek, który można przyrządzić z ziemniakami i orzechami pekan czy z młodymi ziemniakami i koperkiem.

Ina Rybarczyk
Łowcy smaków
Rebis

Otwórz okno na świat kuchni roślinnej, bez glutenu i rafinowanego cukru. Wyczarowuje się tu burgery i kotleciki z fasoli, makarony z cukinii, a także parmezan, który tak naprawdę serem nie jest! Naleśniki są tu zielone, a risotto nie zawiera ani grama masła. Na deser jemy ciasta z chia, serniki z kaszy jaglanej, banoffee z karmelem z daktyli oraz mocno czekoladowe brownie z… batatów. W kuchni roślinnej nie ma ograniczeń!

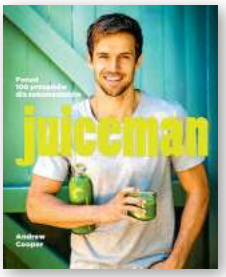

Andrew Cooper
Juiceman
Buchmann

Łatwe przepisy na posiłki w szklance, pełne zdrowych pyszności. Brytyjski aktor i model propaguje zdrowe odżywianie w Wielkiej Brytanii. Nie wyobraża sobie życia bez kolorowych i zdrowych własnoręcznie robionych soków i koktajli. Andrew Cooper używa do robienia smacznych napojów wyłącznie naturalnych, nieprzetworzonych produktów. Proponuje nowe połączenia, przypomina tradycyjne smaki. Wśród przepisów różowy uzdrowiciel, który wspomaga trawienie, zielony ninja wspaniale dbający o skórę i włosy i alkaliczny czarodziej, który odkwasza organizm.

Dr Maya Shetreat-Klein
Zdrowy brud
Vivante

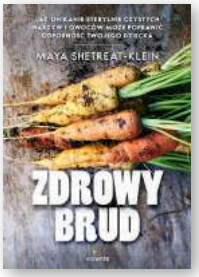

Świeże jedzenie, mikroby (tak, zgadza się – zarazki właśnie) i naturalne elementy natury mogą skutecznie zapobiec chorobom naszych dzieci lub wyleczyć te już istniejące. Bo to właśnie kontakt z brudem i zarazkami pomaga dzieciom zbudować odporność na całe życie – przekonuje neurolog dziecięca Maya Shetreat-Klein. I przypomina o naszym nierozerwalnym związku z naturą: glebą, słońcem, powietrzem oraz… brudem, od których zależy zdrowie. „Zdrowie jest to proces, który zaczyna się od jedzenia i życia w zgodzie ze światem przyrody", pisze.

Weronika Madejska
Słodkie sekrety,
czyli bezglutenowe, roślinne historie pisane lukrem
Septem

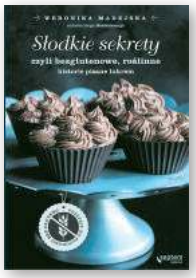

Jak przygotować bezjajeczne bezy i roślinny biszkopt? Z czego zrobić polewę czekoladową dla alergika? Mleko, jajka, gluten, orzechy, owoce i przyprawy – wszystko to może nagle się okazać zakazane dla ciebie lub twoich bliskich. Można wówczas się załamać i skazać na życie w kulinarnej próżni – ale nie trzeba! Ba, to może być początek fascynującej podróży po nowych smakach i niecodziennych ich połączeniach.

Monika Mrozowska
Słodko, zdrowo, świątecznie
Wydawnictwo Zwierciadło

Trudno wyobrazić sobie urodziny bez tortu, a stół wielkanocny bez mazurka. Wydawać by się mogło, że zdrowe słodycze nie istnieją, a to, co zdrowe, nie może być równocześnie smaczne. A jednak zdrowe łakocie nie tylko mogą, a wręcz powinny znaleźć się w świątecznym menu. Jedzenie ich może więc wyjść nam na zdrowie!

Marta Bąkowska
Za mamusię, za tatusia – sposób na niejadka
Wydawnictwo Rea-SJ

Marudzenie, odchodzenie od stołu, zabawa jedzeniem, płacz, zgniłe banany w plecaku – dla wielu rodziców i dzieci posiłek zamienia się w pole walki. Najbardziej zatwardziali bojownicy już w wieku przedszkolnym nie wezmą do ust nic poza kilkoma ulubionymi produktami. Autorka podpowiada, jak kształtować prawidłowe nawyki związane z jedzeniem u dzieci na różnych etapach rozwoju. Rodzice, nie traćcie ducha!

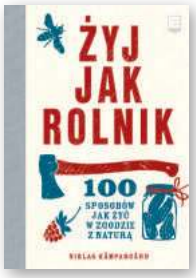

Niklas Kämpargård
Żyj jak rolnik
100 sposobów jak żyć w zgodzie z naturą
Edipresse Książki

Ilu z nas jednak wie, jak zbierać własne nasiona w ogrodzie, odstraszyć komary lub zbudować ziemiankę? Zrobić domowy podpiwek, wydajnie przechowywać żywność, założyć własny ul, las lub sad i wykorzystywać to, co daje natura? Właśnie taką wiedzę praktyczną na temat prowadzenia gospodarstwa domowego i bycia samowystarczalnym zebrał Niklas Kämpargård.

Najlepsze przepisy najlepszych restauracji
Wydawnictwo Restaurant Week

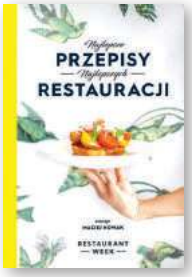

Na ponad 300 stronach albumu znalazły się wskazówki i przepisy 39 najlepszych polskich restauracji. Poprzedza je wstęp Macieja Nowaka o historii polskich restauracji, a uzupełniają życiorysy restauratorów i ponad 250 pięknych zdjęć. Szefowie kuchni nie tylko pokazują swoją pracę, ale i dzielą się niepublikowanymi dotąd przepisami. Restauratorzy zaś zdradzają tajemnice gościnności, która przynosi im sukces i sławę.

Zebrała Agata Gogołkiewicz

eprasa.pl b7ef0e37e9

Targi praca.pl

INTERVIEW IN THE SKY

#targipracapl

30 marca 2017

Stadion Legii Warszawa
ul. Łazienkowska 3

Prestiżowi pracodawcy

Doradcy kariery

Strefa profesjonalnego wizerunku

Konsultacje Native Speakers odbierz certyfikat

www.targi.praca.pl

Partnerzy

Patroni medialni

eprasa.pl b7ef0e37e9

Kendo czyni mistrza

Pisaliśmy już o tym, jak wygląda klucz selekcji ambasadorów. Że do krajów z punktu widzenia PiS ważnych, takich jak Niemcy, Wielka Brytania czy USA, wysyłane są osoby zaufane, walczący pisowcy, dla których najważniejszym zadaniem będzie organizacja pokazu filmu „Smoleńsk". A do krajów dalszego rzutu, leżących poza horyzontami prezesa PiS, delegowani są ludzie z tylnych szeregów, byle tylko nie kojarzyli się z zaciągiem Geremka.

To powoduje, że wiceszefowie MSZ, przedstawiając sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych kandydatów na ambasadorów, wyczyniają najśmieszniejsze wygibasy, aby podnieść ich rangę.

Aleksandra Kropiwnickiego, ambasadora kierowanego do Etiopii, wiceminister Ziółkowski przedstawiał w ten sposób: „Spośród publikowanych przez niego reportaży i komentarzy prasowych wiele było poświęconych problematyce afrykańskiej. Kilkakrotnie podróżował jako reporter do Republiki Południowej Afryki. Drukował także reportaże z Egiptu, opisując m.in. znaczenie Egiptu w regionie Bliskiego Wschodu". No proszę, między RPA i Egiptem leży Etiopia, więc jak się było w Egipcie i RPA, to ma się pojęcie i o innych państwach afrykańskich, prawda? Owszem, Kropiwnicki pracował jeszcze przez trzy lata w ambasadzie w Kenii, ale o tym wiceminister się nie rozwodził, za to nie zapomniał dodać czegoś ważniejszego – że w ostatnim czasie w MSZ Kropiwnicki „odpowiadał za działania w ramach dyplomacji historycznej, a w 2016 r. także za prace związane ze wzmocnieniem pionu historycznego i powołaniem odrębnego wydziału dedykowanego tym zadaniom. Koordynował działania w ramach przygotowań do Światowych Dni Młodzieży w Krakowie".

Eureka! To są niebagatelne kompetencje w dyplomacji IV RP!

Zdarza się też, że MSZ, przedstawiając kandydata, pewne sprawy przemilcza. Tak było z Waldemarem Dubaniowskim, rekomendowanym na ambasadora w Tajlandii. Przedstawiając go, wiceminister Renata Szczęch ani razu nie wspomniała nazwiska Aleksandra Kwaśniewskiego, pod którego skrzydłami Dubaniowski wyrastał. Za to dwukrotnie wymieniła nazwisko prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Po pierwsze, jako patrona Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, której nasz kandydat jest absolwentem, a po drugie, jako tej osoby, która wręczała Dubaniowskiemu w roku 2008 nominację na stanowisko ambasadora w Singapurze.

Oto dyplomacja w pełnej krasie!

Tej zręczności pani Szczęch zabrakło, gdy przedstawiała kandydata na ambasadora w Tokio, Jacka Izydorczyka, profesora prawa z Łodzi, który w latach 2005-2007 przebywał na stypendium na uniwersytecie w Kiusiu. Mówiła o nim bowiem tak: „W czasie pobytu na stypendium w Japonii odbył także intensywny, sześciomiesięczny kurs języka japońskiego, co pozwala mu się komunikować w tym języku. Oprócz tego warto również wspomnieć, że pan profesor czynnie uprawia kendo, czyli japońską szermierkę, co poświadcza jego zrozumienie zwyczajów i mentalności Japończyków".

W Polsce jest zarejestrowanych ok. 450 zawodników uprawiających kendo. Okazuje się, że są to wybitni znawcy japońskich zwyczajów i mentalności. Podobnie jak stypendium sprzed 10 lat pozwala poczuć się ekspertem w sprawach Japonii i jej polityki.

Gołym okiem widać, że przez polską dyplomację przechodzi huragan rewolucyjnych zmian… *Attaché*

Historia wiecznie żywa – 10-miesięczny łoś Grisza na spacerze z mieszkanką białoruskiej wsi Abramy, w ciekawych okolicznościach przyrody i sztuki.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b7ef0e37e9

JOLKA

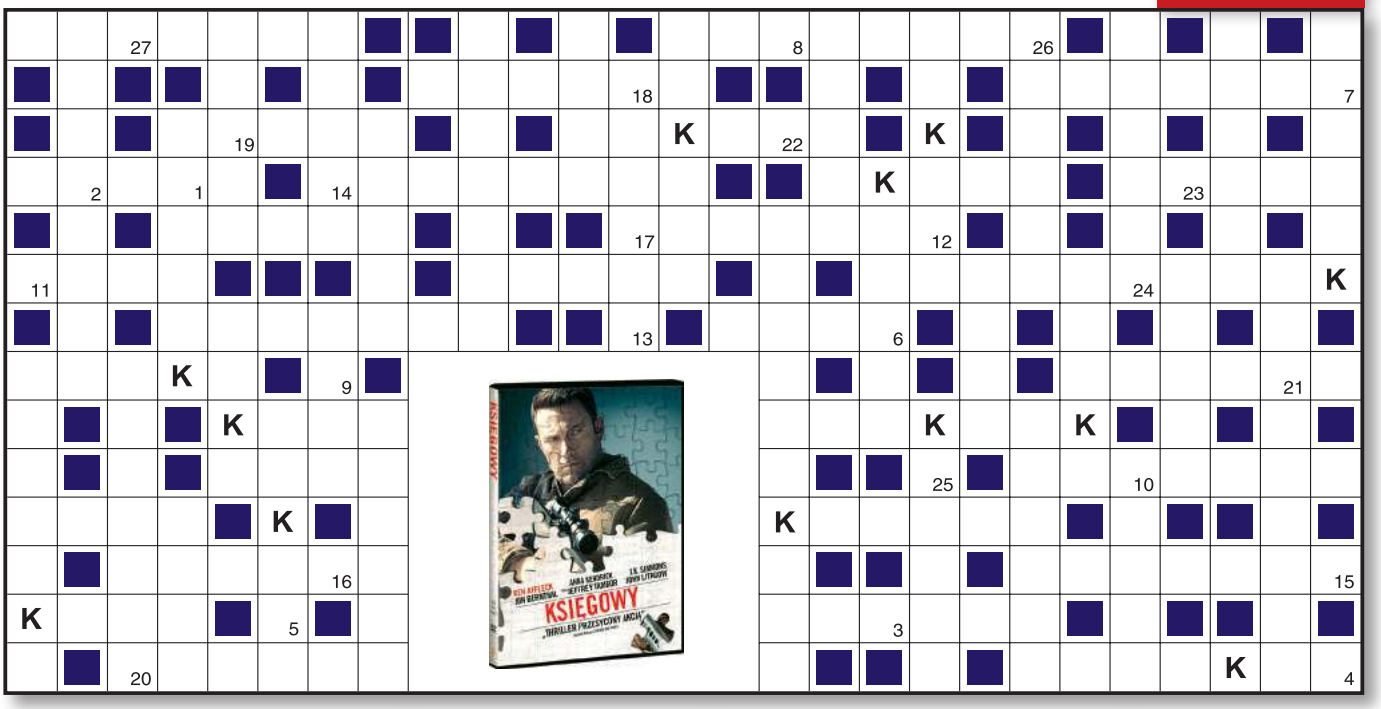

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- maksyma, sentencja
- bez barwnika w skórze, włosach
- typ aktora i adorator
- stolica Kazachstanu
- ekspercka kontrola przedsiębiorstwa
- miał wyjątkowo brudną stajnię
- jadą nim wycieczkowicze
- na mur… to na pewno
- pęk np. róż
- wycięcie pod szyją
- z piłką przy nodze mijanie przeciwnika
- kraj opływający w bogactwa
- nowo obrany na wysokie stanowisko
- ...Romania w północnych Włoszech
- tytuł honorowy dostojników kościelnych
- urządzenie przesyłające teksty
- pokonany olbrzymi Filistyn
- bohaterstwo, męstwo
- nie tłumacz go dosłownie
- pobieranie pieniędzy z tytułu weksli, czeków
- oszklona skrzynia z nowalijkami
- uczy na kursach, w sporcie
- rzeka z powieści Miłosza
- rodzinna wyspa Odyseusza
- zdradził Jezusa
- …bezpieczeństwa do obezwładniania
- pracownik z łopatą lub oskardem
- boczna przyczepa motoru
- ciężkie zasłony
- kopce w ogrodzie to jego ślad
- sprzęt sportowy Anissiny i Peizerata
- wielkie mi specjały
- Koronacyjna C-dur Mozarta
- radiowe over po polsku
- Zamknięty rockowy
- kopia lub odliczenie
- krewniak żyrafy
- damski kostium plażowy
- układ nitek wzdłuż tkaniny
- zarośnięta wyspa rzeczna
- dyrygent WOŚP
- miejscowość reklamowej cioci Johna Cleese'a
- tygodnik młodzieżowy Porazińskiej
- żołnierz tam pełni straż
- zakasywane
- koń Don Kichota
- rozstawienie nóg na boki
- gruba – osobistość
- koszyczek łopianu
- zlatujący się padlinożercy
- obcisłe majtki bez nogawek
- zbiorowy z pracodawcą
- sędzia dający sygnał biegaczom
- w nie układane siano
- Armstrong lub Stańko
- wygłaszana górnolotna mowa
- dobrze jest go zachować
- Leigh, zagrała Scarlett O'Harę
- ued
- nieraz musi ją tłumić policja
- uciekinier
- wyraz powstały z połączenia

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie" i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-800". Do rozlosowania DVD z thrillerem „Księgowy" ufundowane przez Galapagos. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.800.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 2 kwietnia 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-797" z 12 marca: *U literata pusta chata.*

Nagrody otrzymują: Jan Biernacki z Warszawy, Czesław Czerwiński z Kożuchowa, Maria Przybylska ze Zgorzelca.

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

Pierwszy kurczak zaczyna, za nim następny z jedną różnicą itd. – szukaj jednej zmiany. Gdy ustalisz kolejność, czytaj czerwone litery od lewej, a zielone od prawej. Masz na to pół minuty.

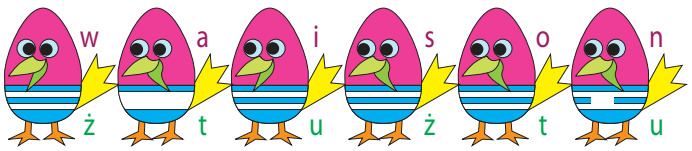

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl b7ef0e37e9

NOWE KSIĄŻKI

PROF. PAWEŁ KOZŁOWSKI
o książce prof. Łagowskiego „Polska chora na Rosję"

Polska dlatego właśnie jest „chora na Rosję", ponieważ tak ją kształtuje nasza „cyganeria polityczna" (określenia używane przez Łagowskiego są precyzyjne, a więc ostre), „obsługujący ją dziennikarze" czy inne środowiska formujące zbiorowy nastrój i opinie. Filozof nie zajmuje się partiami, taki punkt widzenia deformowałby rzeczywistość. Partie oraz ich ludzie różnią się teraz u nas tylko szczegółami, niuansami identycznych zasad i jednolitego rozpoznawania świata. Fałszywych. Wszystkie dotknięte są tą samą chorobą, z której można było przynajmniej dwukrotnie w przedstawianym okresie wyjść. Wskazywał na to Andrzej Walicki. Stało się inaczej.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

OLGIERD PORĘBSKI,
LIDER PROTESTU RODZICÓW PRZECIWKO REFORMIE OŚWIATY

Nie zgadzam się na takie podejście do sprawy: trzy roczniki poświęcimy, a potem będzie cudownie. Mamy 600 tys. nauczycieli, 30 tys. szkół, które są prowadzone przez samorządy, a nie przez ministerstwo. Nie ma żadnego środowiska naukowego chwalącego reformę edukacji, choć wiele z nich wcześniej krytykowało gimnazja. Edukacja musi się nieustannie zmieniać. Nawet Konferencja Episkopatu Polski postanowiła zmienić swoją podstawę programową dotyczącą nauki religii. Dała sobie na to dwa lata – to wzór do naśladowania dla ministerstwa. Nasza edukacja wymaga modyfikacji. Jednak przemyślanych i spokojnych.

MONDE diplomatique

STEFAN ZGLICZYŃSKI,
DYREKTOR PUBLIKACJI

W Izraelu pamięć o pomordowanych i wyrzuconych Palestyńczykach jest jak pamięć o Ormianach w Turcji – wyparta i zakłamana. Arabską historię Izraela zaciera się do dziś. Całe zespoły archeologów, historyków i kultywatorów przestrzeni zielonych pracują od lat nad zniszczeniem jakichkolwiek śladów wielusetletniej arabskiej kultury tych ziem. Ta skrajnie prawicowa, opresyjna polityka podboju i uciemiężenia cieszy się niestety w Izraelu coraz większym poparciem. W Polsce również – ze strony zarówno władz, które robią wszystko, aby ukryć współudział Polaków w Holokauście (co Izraelowi szczególnie nie przeszkadza na zasadzie „antysemita, który popiera Izrael, to dobry antysemita"), jak i kół liberalnej inteligencji za antysemityzm uważających każdą krytykę Izraela.

FOT. AFP/EAST NEWS

Na debiut nigdy za wcześnie – siedmioletnia Michelle Nkamankeng to najmłodsza pisarka Afryki i jedna z 10 najmłodszych na świecie.

Aby język giętki…

PROF. WOJCIECH SADURSKI O KONFERENCJI PRASOWEJ JULII PRZYŁĘBSKIEJ
To była pogawędka przekupki i lumpa. Pokaz prostactwa, bezczelności i ignorancji.

PROF. HENRYK DOMAŃSKI O RADYKALIZACJI SPOŁECZEŃSTWA
To jest tylko przejściowe i po jakimś czasie racjonalne podejście znów stanie się normą.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O ODCZUCIACH
Czuję, że obracam się w rzeczywistości, która jest coraz bardziej pozbawiona sensu.

DANIEL PASSENT O KONIU Z RZĘDEM
Konia z rzędem Sasinowi czy Szczerskiemu, który odważy się mówić *per* „magister Przyłębska".

PROF. JADWIGA STANISZKIS O ANACHRONIZMIE KACZYŃSKIEGO
Według niego to nie prawo, ale cel działania określa, czy coś jest legalne.

JAN NOWICKI O ROZMOWACH ZE SOBĄ
Lubię czasem porozmawiać ze sobą, bo żyję ze sobą w zgodzie, a to najlepsze, co mogło mnie spotkać w dzisiejszej Polsce.

OLGA FRYCZ O ROZBIERANEJ SCENIE
Grałam ją tylko raz. W filmie „Wszystko, co kocham" i uważam, że to jedna z najpiękniejszych scen miłosnych w polskim kinie.

KRZYSZTOF KALISZEWSKI O ANICIE WŁODARCZYK
Może złamać granicę 85 m, i to nawet w tym roku. Nigdy nie była w tak dobrej dyspozycji.

BEATA ŚCIBAKÓWNA O KOBIETACH W WIEKU 40+
Wyrosłyśmy w kulturze, w której kobieta nie musi już udawać skromnej i powściągliwej, dla której seks to tylko droga do macierzyństwa.

ADAM MAŁYSZ O ZAWODZIE DEKARZA
Dekarstwo oswoiło mnie z przebywaniem na wysokości kilkunastu czy kilkudziesięciu metrów. Gdyby mi nie wyszło w skokach, to mógłbym spokojnie utrzymywać się z dekarstwa.

JULIA KAMIŃSKA O SESJACH ZDJĘCIOWYCH
Każde ujęcie to efekt pracy stylistów i magików komputerowych. Trzeba mieć dystans, by nie nabawić się kompleksów.

eprasa.pl b7ef0e37e9

MEMY BEZ ŚCIEMY

Czyż nie jest prawdą, że nie suknia zdobi człowieka? Uczestnicy corocznej Konwencji Sztuki Tatuażu, w Chicago.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

POLSKA JAK RWANDA

Rządowe media pękały z dumy, informując, że Polska została zaproszona na szczyt G20 do Baden-Baden. Ciszej już mówiono o tym, że to za sprawą Niemca, bo przecież listę dodatkowych gości – a w takim charakterze była Polska – ustalał jako gospodarz szczytu minister finansów Niemiec Wolfgang Schäuble. A zupełnie przemilczano fakt, że znaleźliśmy się tam np. obok Rwandy, Senegalu czy Wybrzeża Kości Słoniowej, bo także te państwa zaprosił minister Schäuble.

GDZIE TE KOBIETY?

W Arabii Saudyjskiej odbyło się pierwsze spotkanie Rady Kobiet. Na zdjęciu z zebrania, które stało się sławne w internecie, widać jednak 13 mężczyzn i ani jednej kobiety. Organizatorzy tłumaczą, że prawo dotyczące segregacji płciowej nie pozwalało im na przebywanie w jednym pomieszczeniu z mężczyznami i dlatego z kobietami komunikowano się za pomocą połączenia wideo.

SZOK SZOPA

Moskiewski ogród zoologiczny chce pozwać agencję reklamową, gdyż wypożyczony z ogrodu szop doznał urazu psychicznego po udziale w reklamie. Okazało się, że po sesji zdjęciowej z roznegliżowaną modelką szop wykazywał symptomy obsesji na punkcie kobiecych piersi, co skończyło się wysłaniem zwierzęcia na terapię. Ogród zoologiczny informuje, że nie było mowy o tym, że w reklamie będzie brała udział naga kobieta.

LEWE ZWOLNIENIE

Na ostatnim spotkaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego Rosji nie pojawił się premier Dmitrij Miedwiediew. Jego nieobecność wytłumaczył grypą sam Władimir Putin. Pech chciał, że dwa dni później Miedwiediew został przyłapany na kawie w jednym z najbardziej luksusowych rosyjskich kurortów narciarskich. Czyżby wyjechał tam do sanatorium?

SZWEDZI LUBIĄ PRZYJEMNOŚCI

Radny miasteczka Övertorne na północy Szwecji zaproponował, by pracownicy w jego miejscowości otrzymywali godzinną płatną przerwę na seks. Pro-

ZE SMAKIEM

Sałatka Don Corleone z focaccią STEFANA TERRAZZINA

Składniki: Focaccia – 350 g mąki, 140 ml wody, 15 g świeżych drożdży, 2 łyżki oliwy z oliwek, sól gruboziarnista. Sałatka – 4 dojrzałe pomarańcze, sałata rzymska, fenkuł, owoc granatu, pestki słonecznika do dekoracji, oliwa z oliwek.

Przygotowujemy focaccię. Drożdże rozpuszczamy w odrobinie ciepłej wody i dodajemy do mąki z solą i oliwą. Całość wyrabiamy ręcznie lub mikserem, dolewając w trakcie wyrabiania ciepłej wody, tak aby ciasto na koniec było miękkie i elastyczne. Z ciasta formujemy kulę, którą przykrywamy wilgotną ściereczką i odkładamy na minimum godzinę w ciepłe miejsce do wyrośnięcia. Kiedy ciasto podwoi objętość, ponownie je wyrabiamy, a następnie rozwałkowujemy. Powierzchnię focaccii nakłuwamy widelcem i delikatnie smarujemy oliwą oraz posypujemy solą gruboziarnistą. Pieczemy w temperaturze 200°C przez ok. 30 minut.
W tym czasie pomarańcze obieramy ze skórki i dzielimy na cząstki. Fenkuł w miarę drobno kroimy, sałatę rwiemy na drobne części. Wszystkie składniki przekładamy do miski. Posypujemy pestkami granatu oraz opcjonalnie podprażonymi pestkami słonecznika. Polewamy oliwą i mieszamy. Podajemy z focaccią.

Przepis pochodzi z programu „Ugotowani" TVN

„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC Warszawa 101 FM DAB+

RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDŹ:

wiosna tuż tuż

eprasa.pl b7ef0e37e9

pozycja wynika z troski o pary, które nie mają dla siebie wystarczająco dużo czasu. Nie sprecyzował jednak, dlaczego ma to się odbywać w godzinach pracy. Zwłaszcza że Szwedzi i tak mają sporo czasu na przyjemności w ciągu dnia, m.in. dwa lub trzy razy robią sobie przerwy na kawę i słodycze, co jest wręcz rytuałem, zwanym *fika*. Teraz doszedłby nowy rytuał. A co z tymi, którzy mieszkają daleko od miejsca pracy?

SADŹCIE DRZEWA

Kiedy w Polsce trwa masowa wycinka drzew, przywódca afgańskich talibów Hajbatullach Ahundzadeh wezwał swoich zwolenników i wszystkich obywateli kraju do sadzenia drzew. Apeluje, by każdy Afgańczyk zasadził na rzecz Ziemi i ku chwale Allaha jedno lub kilka drzew owocowych lub ozdobnych. Wylesienie stanowi poważny problem Afganistanu, gdzie drzewa ścina się na opał lub nielegalnie na sprzedaż.

JAK TRWOGA, TO DO BOGA

Naukowcy z Instytutu Psychologii UJ zbadali reakcje mózgowe katolików i wykazali, że w momentach trudnych czy stresujących dogmatyczne przekonania religijne mogą przynosić chwilową ulgę. Naukowcy przypuszczają, że wyniki tego badania dotyczą nie tylko przekonań religijnych, ale też społecznych czy politycznych. Według prof. Małgorzaty Kossowskiej z UJ jeśli przekonania są dobrze ugruntowane i dogmatyczne, zawsze będą pełniły funkcję przeciwlękową.

FOT. FB.COM/SEKCJAGIMNASTYCZNA, FB/ZANTONIM, ABACA/EAST NEWS, STEFANO TERRAZZINO, ARCHIWUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Bartosz Machalica, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Agnieszka Szeszko
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
p.o. Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł, kwartalna – 70 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
ART REPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl b7ef0e37e9

Na wystawie będzie można zobaczyć ok. 50 prac Krzysztofa Grzondziela, uznanego polskiego karykaturzysty, rysownika, malarza i grafika. Indywidualna wystawa artysty jest nagrodą Muzeum Karykatury w konkursie „Cztery pory karykatury. Rysunki roku 2015". Grzondziel porusza różnorodną tematykę, często łączy jaskrawe, krzykliwe barwy z ciepłymi, subtelnymi odcieniami, wywołując w ten sposób u odbiorcy skrajne emocje.

Jako karykaturzysta zadebiutował w czasopiśmie „Karuzela" w 1978 r. W 2002 r. odbyła się jego pierwsza indywidualna wystawa w legnickiej galerii sztuki. Brał udział w wielu wystawach rysunku satyrycznego w Polsce i za granicą.

Krzysztof Grzondziel

Auto-lustracja

Jako druga przy ul. Koziej 11 zaprezentowana zostanie wystawa „Cztery pory karykatury. Rysunki roku 2016", pokaz najlepszych rysunków satyrycznych ubiegłego roku.

Uroczysty wernisaż odbędzie się 30 marca 2017 r. w siedzibie Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego w Warszawie.

MUZEUM KARYKATURY
im. Eryka Lipińskiego
Warszawa
ul. Kozia 11

Wystawa trwa
od 31 marca do 21 maja

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b7ef0e37e9

stowarzyszenie
ICHLEPSZEJUTRO
www.ichlepszejutro.pl

LAUREAT PRESTIŻOWYCH NAGRÓD

ZŁOTA RÓŻA TEMI

KRYSZTAŁY SOLI

Podaruj nam 1% podatku
KRS 0000237677

Od ponad 10 lat pomagamy dzieciom z niepełną sprawnością

1% od Państwa
to konkretna pomoc najmłodszym

w naszych placówkach:

- Aktywnej Świetlicy Terapeutycznej
- Przedszkolu „Mały Książę" dla dzieci z autyzmem
- Gabinecie Integracji Sensorycznej
- Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej

organizacja pożytku publicznego opp.

1% NIEJEDEN UŚMIECH!

Dziękujemy, że zmieniają Państwo ICH JUTRO na LEPSZE

eprasa.pl b7ef0e37e9

WARSZAWSKI FESTIWAL FILMOWY

MFF W KITZBÜHEL NAJLEPSZY FILM

TRIBECA FILM FESTIVAL 2016 NAGRODA JURY DLA NAJLEPSZEGO FILMU MIĘDZYNARODOWEGO /NOMINACJA/

OSCAR 2017 NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY ESTOŃSKI KANDYDAT

TALLINN BLACK NIGHTS FILM FESTIVAL 2016 ESTOŃSKA NAGRODA FILMOWA DLA NAJLEPSZEGO FILMU

MFF W HAMBURGU NAGRODA KRYTYKÓW ZA REŻYSERIĘ /NOMINACJA/

STOWARZYSZENIE KRYTYKÓW FILMOWYCH Z SAN DIEGO NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY /2. MIEJSCE/

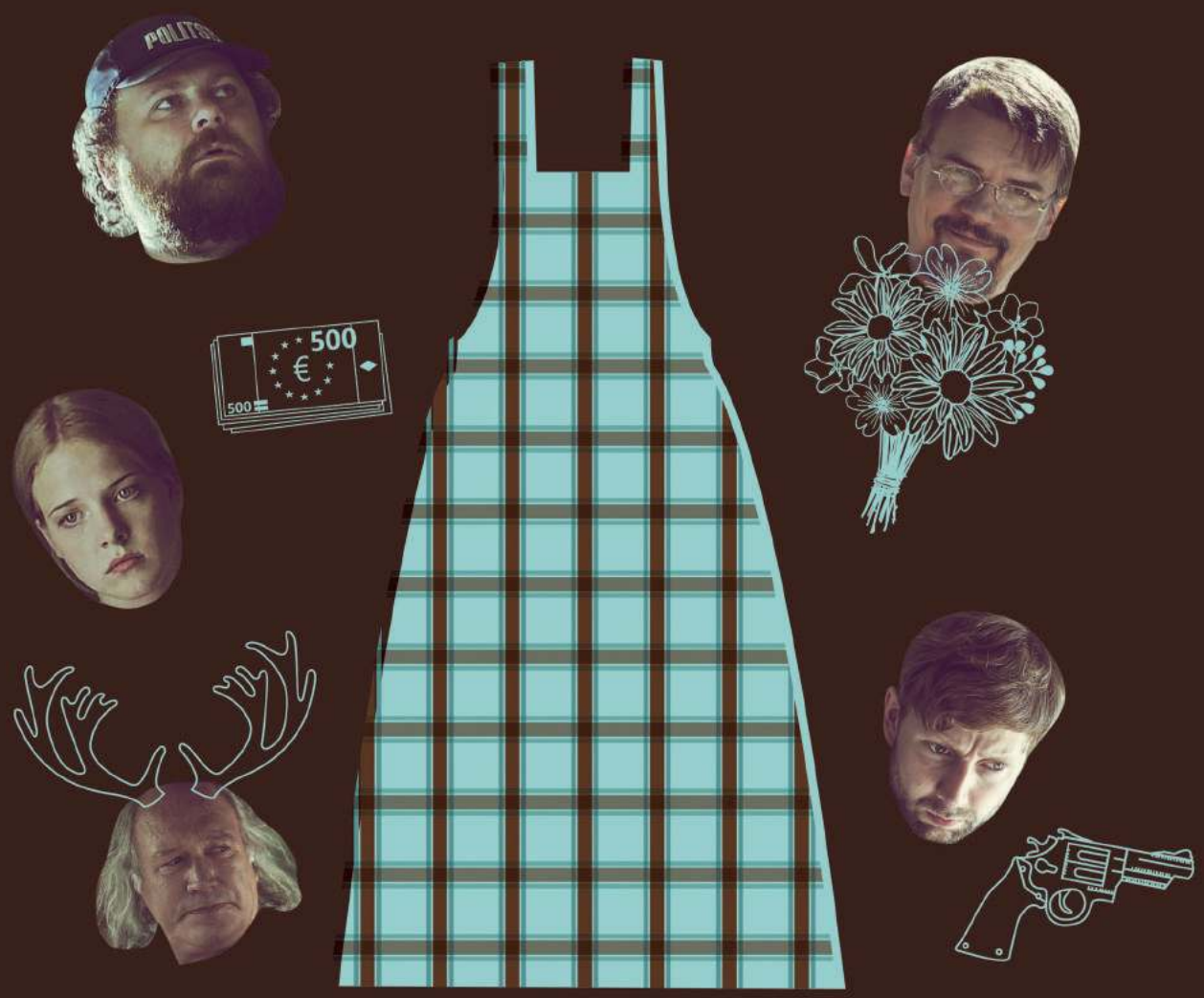

Tragikomiczne spojrzenie
na małomiasteczkową rzeczywistość

MATKA

ORYGINALNY THRILLER W STYLU AGATHY CHRISTIE

Co-funded by the European Union Creative Europe MEDIA

w kinach od 7 kwietnia

AURORA

eprasa.pl b7ef0e37e9